AMERYKA POLSKA



Nr 2

AMERYKAŃSKO-POLSKA IZBA HANDLOWO-PRZEMYSŁOWA W POLSCE

Warszawa, Nowy-Świat 74, Pałac Staszica
Tel. 26-62 — Adres tel.: „WARINDCOM"

Art. 2 statutu:

W celu osiągnięcia zadań, wyszczególnionych w art 1, Izba:

1) zbiera, opracowuje i publikuje materjały statystyczne, dotyczące życia ekonomicznego Polski i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej we wzajemnem ich oddziaływaniu;
2) przeprowadza badania nad wzajemnemi zapotrzebowaniami wytwórczości i zbytu, celem unormowania wzajemnego współdziałania rozwoju wszelkich gałęzi handlu, przemysłu, finansów i transportu;
3) informuje o stanie obustronnych rynków za pośrednictwem wszelkiego rodzaju wydawnictw, odczytów,— urządza wystawy i muzea wzorów;
4) podejmuje starania u władz o przeprowadzenie pożądanych reform i ulepszeń w dziedzinie handlu, finansów i transportu, dla osiągnięcia czego Izba komunikuje się bezpośrednio z władzami, Izbami handlowemi, Komitetami Giełdowymi i innemi odpowiedniemi instytucjami w Polsce i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, oraz prywatnemi organizacjami handlowemi, przemysłowemi i finansowemi;
5) współdziała wszelkiemi sposobami Rządom Polskiemu i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w pracach, dążących do skoordynowania i rozwoju stosunków ekonomicznych między Polską a Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej;
6) inicjuje i popiera wszelkiemi sposobami zrzeszenie się kupców i przemysłowców, zakładanie instytucyj handlowych, przemysłowych i kredytowych, któreby swą działalnością przyczyniały się do rozwoju akcji, określonej przez Izbę
7) wskazuje bezpośrednie i najdogodniejsze źródła zakupu oraz ułatwia w zakresie wzajemnych stosunków polsko-amerykańskich zawiązanie wszelkich umów i tranzakcji handlowych, przemysłowych i finansowych, dokonywanych przez państwowe, komunalne, społeczne i prywatne organizacje, jak również przez osoby prywatne obydwóch krajów.

CZŁONKOWIE RADY:

1. *Konstanty Hejmowski*, Mecenas.
2. *Ks. Stanisław Lubomirski*, Prezes Banku Zjednoczonych Ziem Polskich
3. *F. A. Liszewski*, Przedstawiciel American Express Co.
4. *Stanisław Dębczyński*, Dyrektor Warszawskiego T-wa Transportu i Żeglugi.
5. *Z. Słuszkiewicz*, Dyrektor Polskiego Banku Przemysłowego we Lwowie.
6. *Marceli Szejnman*, Przedstawiciel International General Electric Co.
7. *Kazimierz Wejchert*, „L. J. Borkowski S. A.".
8. *Stanisław Budkiewicz*, Dyrektor Banku Spółek Zarobkowych.
9. *Ks. Michał Woroniecki*, Dyrektor „St. Majewski i S-ka" T. A.
10. *August Iwański.*
11. *Wacław Walter*, Dyrektor Banku Śląskiego.
12. *Frank W. Morse*, Przedstawiciel N/E Europe, The Baldwin Locomotive Works.
13. *Leigh Ballenberg*, Dyrektor „B-cia Nobel" S. A.
14. *King M. Clark*, Przedstawiciel International Harvester Co.
15. *Bolesław Grodziecki.*
16. *Walenty Miler.*
17. *Stefan Szumański.*
18. *Leopold Kotnowski.*
19. *Jan Raue*, Dyrektor Polsko-Bałtyckiego T-wa Handlowo-Transportowego S. A.
20. *Michał Kwapiszewski.*
21. *Leighton W. Rogers.* Acting American Commercial Attache.
22. *Antoni Roman*, Biuro Emigracyjne, Gdańsk.
23. *Charles C. Paine*, Przedstawiciel Foreign Trade Supply Co.
24. *Feliks Kowalewski.*
25. *Stanisław Arct*, b. Wysoki Komisarz Rządu Polskiego.
26. *Admirał Kazimierz Porębski.*
27. *Antoni Wieniawski*, Vice-prezes Rady Banku Handlowego.
28. *Jerzy Iwanowski.*
29. *A. B. Barber.*

PREZYDJUM:

1. *Leopold Kotnowski*, Prezes. 2. *Frank W. Morse*, Vice-Prezes. 3. *Stanisław Arct*, Vice-Prezes. 4. *F. A. Liszewski*, Vice-Prezes.

KOMITET WYKONAWCZY:

1. *Leopold Kotnowski*. 2. *Frank W. Morse*. 3. *F. A. Liszewski*. 4. *Konstanty Hejmowski*. 5. *Feliks Kowalewski*. 6. *Stefan Szumański*. 7. *Stanisław Arct*. 8. *Antoni Wieniawski*.

KOMISJA REWIZYJNA:

1. *Helena ordynatowa Bisping*. 2. *K. Kowerski*. 3. *Jan Hebdzyński*. 4. *Aleksander Leszczyński*. 5. *Generał J. Lipkowski*.

AMERYKA-POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY LITERACKO-EKONOMICZNY

ROK III | LUTY 1925 | Nr. 2

VADE MECUM

FILMONA, filmopis, film — oto nowe dźwięki w naszym języku, nowe pojęcia w naszych myślach, nowe koncepcje w dziedzinie sztuki. Powieść M. H. Szpyrkówny, której druk rozpoczynamy w numerze niniejszym, wprowadza nas właśnie w ten nowy świat słów, pojęć i sztuki, tak mało znany, a raczej wcale jeszcze nieznany w literaturze polskiej.

CZYTAJĄC „Rozmach amerykański", ma się złudzenie, że oto Michał Anioł lub zgoła sam Fidjasz odłupał kawał góry Kararyjskiej — jeszcze ziemią, jeszcze darniną pokryty, i kilkoma mocnemi, zdecydowanemi ruchami dłóta zaklął go w kształt aczkolwiek marmurowy, to jednak życiem i potęgą i pięknem tętniący. Tak też Ossendowski kilkoma krótkiemi sztrychami pióra stwarza przedziwnie prawdziwy typ przeciętnego Amerykanina. A ponieważ z takim samym artyzmem szkicuje on i typy odmienne, więc też wre teraz w Europie „Walka z książkami Antoniego Ossendowskiego".

WIĘZIEŃ Szlisselburga, matematyk i poeta, N. A. Morozow, obdarł z poezji wiekowej i zakuł w martwe cyfry i wzory Apokalipsę św. Jana. P. Juljan Zachariewicz, tłumacząc Apokalipsę literatury polskiej — „44", postąpił odwrotnie: stanął on o całe niebo wyżej od wielu poprzednich interpretatorów, przypisujących wielkiemu Wieszczowi dziecinne zamiary wplatania łamigłówek arytmetycznych w usta swego bohatera.

FINANSIŚCI — to ludzie, którzy umieją handlować najciekawszym w świecie towarem — pieniędzmi. Znając lepiej niż ktokolwiek inny wewnętrzną twórczą energję pieniądza, który jest niczem innem, jak kondensatem pracy ludzkiej, w wielu wypadkach i coraz częściej zużytkowują oni tę energję na najszczytniejsze cele ludzkości. O dwóch takich finansistach, jednym amerykańskim i jednym polskim, piszemy w dwu artykułach: „Wiedza uniwersytecka i byznes" z okazji „Fundacji Bakera" oraz „Za przykładem Ameryki" z okazji „Fundacji Benzefa".

„JAKO BYZNESMEN, uświęcony powodzeniem, Wixon jest stłumionym poetą" — tak pisze jeden z najlepszych znawców duszy amerykańskiej, Rupert Hughes (czytaj nazwisko Juz). „Wyobraźnia i zapał i ład, któremi w przemyśle zdobył majątek, były temi samemi energjami, które dać mu mogły powodzenie w zawodzie pisarskim". Oto wielkie, całkiem u nas nowe zagadnienie skojarzenia władz duchowych i w pracy gospodarczej i w twórczości literackiej.

JAPONJA — to żywy przykład dla wszystkich tych, którzy brak woli w sobie do nowych dróg pracy tłumaczą bezosobowymi „warunkami", psychiką duszy narodowej etc. Diametralnie oddalona od Europy i Ameryki, zdobywając przemocą ich cywilizację, Japonja staje w pierwszych szeregach narodów świata, bynajmniej nie zatracając swej indywidualności. Dr. J. Jakóbkiewicz żywo kreśli nam etapy tej pracy zdobywczej.

POLITYKA—mówią—jest nauką wszech nauk. Można ją też sprowadzić do najelementarniejszych działań i czynów ludzkich. Z nich bowiem wyrastają te wielkie kompleksy zagadnień polityki międzynarodowej, które doprowadzają wkońcu do zgodnego współżycia i współpracy narodów lub do konfliktów, starć i wojen. Leopold Kotnowski, jako prezes Amerykańsko-Polskiej placówki w Warszawie, porusza tak ważny dla naszego Państwa temat stosunku Polski do Stanów Zjednoczonych.

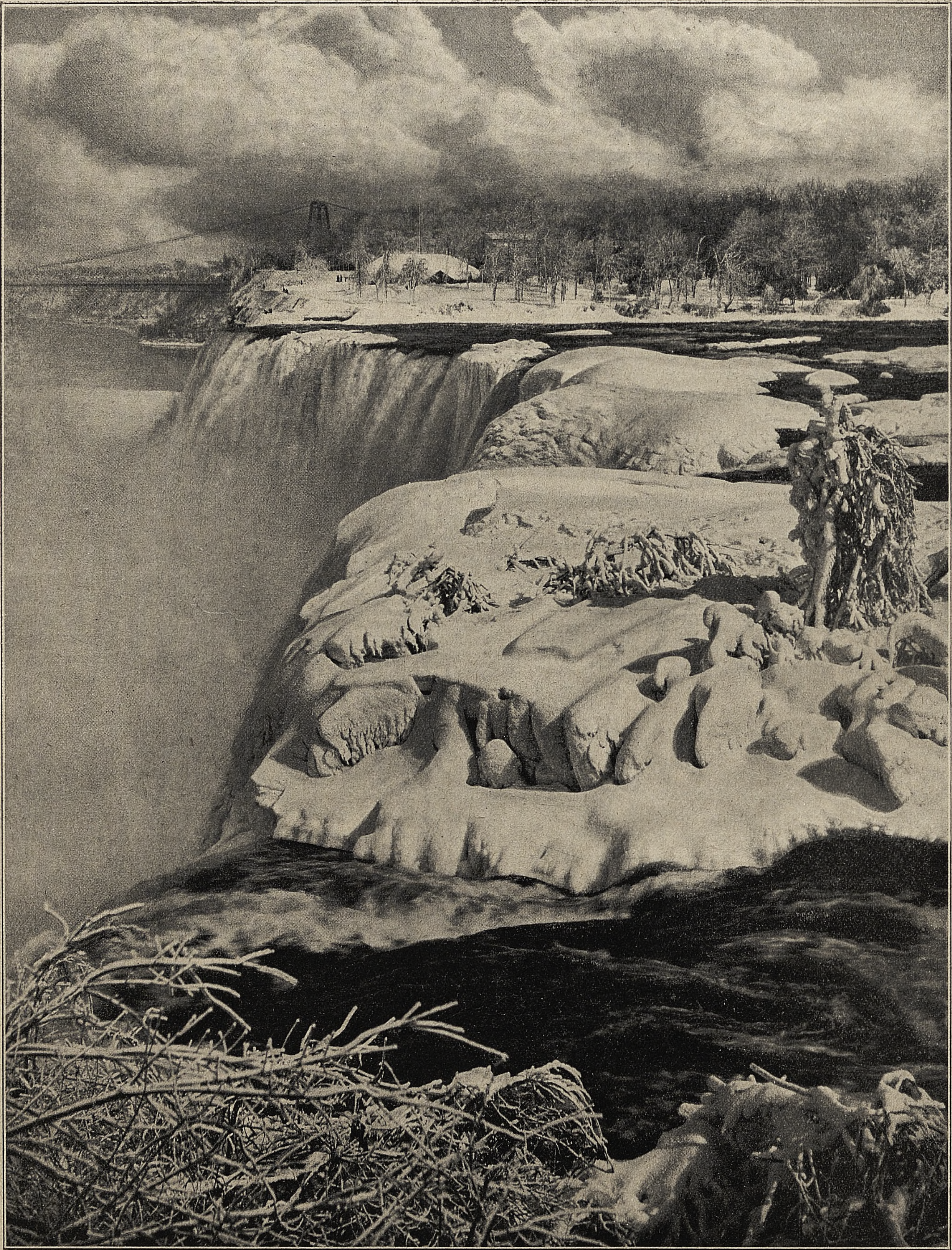
PROF. MIERZWA—którego życiorys podaliśmy w styczniowym zeszycie naszego pisma, zdobył już sobie zasłużoną popularność śród czytelników. Obecnie drukujemy „Polsko-Amerykański Komitet Stypendjalny", który jest jego pierwszem dziełem o wielkiem i praktycznem znaczeniu dla naszego społeczeństwa.

CZYTELNIK, interesujący się temi i innemi ciekawemi artykułami, znajdzie szczegółowy ich spis na ostatniej stronicy.

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA POLSKO-AMERYKAŃSKIEGO
I AMERYKAŃSKO-POLSKIEJ IZBY HANDLOWO-PRZEMYSŁOWEJ W POLSCE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 72 (PAŁAC STASZICA)

NAKŁADEM ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 35



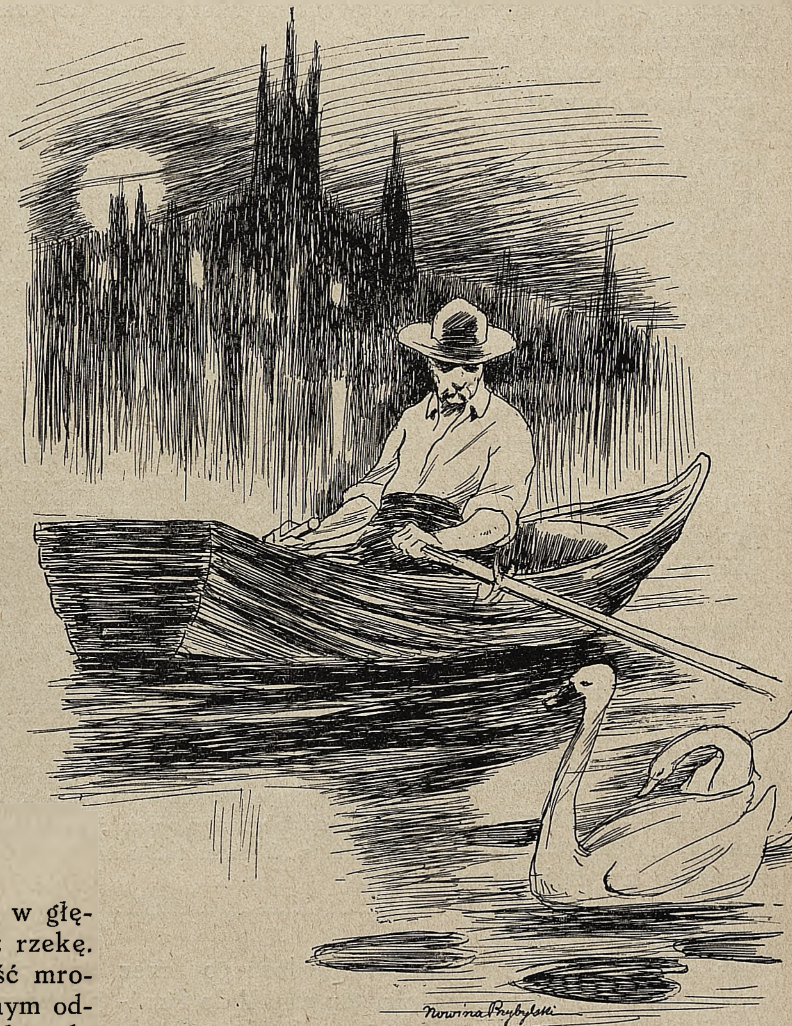
WIDOK NIAGARY PODCZAS ZIMY.

Siłę wodospadów już dawno nazwano „białym węglem". Widok ten i w przenośni i w rzeczywistości robi wrażenie białego węgla.

RUPERT HUGHES PRZEŁ. T. ŻUK SKARSZEWSKI

Ten, co ugrzązł

(„The Stick-in-the-Muds")



Łódź czołgała się wzdłuż rzeki Avon w powolnym zmierzchu angielskim, co niechętnie rozstaje się z brzaskiem i gnuśnie odracza wyiskrzenie nieba gwiazdami. Łódź zanurzała się głęboko, gdyż samotny jej wioślarz nie był lekki. I snać nie bardziej było mu śpieszno niż nadchodzącej nocy. Było to nawet wbrew tradycji, bo był to Amerykanin, co więcej businessman amerykański.

Po wodzie, w której przeglądało się niebo, płynął zwolna chyłkiem, by nie spłoszyć leniwych łabędzi, drzemiących nad własnem odbiciem; by nie zniechęcić słowika, odzywającego się niskimi tonami gdzieś w cieniach wieży katedralnej, co nie wieżą była, lecz drzewem rosnącem nad grobem Szekspira. Amerykanin nigdy wpierw nie słyszał słowika; pierwsza też była to jego pielgrzymka do przybytku tego komedjanta, którego sztuki Amerykanie z Biblją kojarzą, jako spuściznę świętą. Joel Wixon przez cały dzień oglądał ciekawości Stratfordu z innymi przybyszami ze Stanów, z Anglji, z całego świata, lecz teraz zapragnął zetknąć się z samym Szekspirem. Więc wynajął łódź i po Avonie pływa.

Pływa samotny. Cichaczem wkrada się w głęboki mrok, który kościół przerzucił przez rzekę. Wprost nań skierował tył łodzi, by napaść mrokiem oczy. Posuwa się tak wolno, że jedynym odgłosem, który nieci, jest stłumiony jęk wody, gdy łódź pruje ją ostrożnie dzióbem i plusk kropel kapiących z gnuśnego wiosła z dźwiękiem dostrojonym do odległego zawodzenia słowika. Jako businessman uświęcony powodzeniem, Wixon jest stłumionym poetą. Wyobraźnia i zapał i ład, któremi w przemyśle zdobył majątek, były temi samemi energjami, które dać mu mogły powodzenie w zawodzie pisarskim. Lecz pisanie, to nie jego business. Więc staje się niemym i nieporadnym, gdy piękno nim zawładnie; a czyni to pod każdą postacią. Teraz dreszcz go przebiega wobec majestatu tego, na co patrzą oczy, wobec dziejowych wspomnień, któremi widok ten przetkany, niby haftem starożytnego gobelinu. Jednak wszystko to razem nie więcej głosu zeń dobywa niźli z harfy eolskiej wiatr, od którego jej struny drżą niemo. W tem usposobieniu samotność była mu niezbędną, bo wstyd go było, bo strach go ogarniał na myśl, że ktoś mógł go zobaczyć w uniesieniu nie licującem z powagą businessmana.

Jeszcze w południe rozprawiał głośno o tem, że ojciec Szekspira i on, Wixon, obydwaj pracowali w wełnie. I nawet uraził paru skromnych Amerykanów, porównywając marną wydatność handlu starego Szekspira z rekordową wręcz ilością towa-

ru, którą on, Wixon, wydobywa ze swych niezliczonych wrzecion, pędzonych elektrycznością, o czem ani się śniło Szekspirowi. Odkupił, coprawda, te udane przechwałki, przyznając mimochodem:

— Obawiam się wszakże, że mój syn nie napisze drugiego „Hamleta".

Co on mógł jednak wiedzieć o swym własnym synu? Nie byłoby się pewno podobało ani ojcu Szekspira, ani jego zgorszonym sąsiadom, by ten nicpoń-hulaka, co uwolnił wreszcie miasto od swej obecności, by on właśnie uczynił je nieśmiertelnem; by, powróciwszy, żeby spocząć na wieki nad Avonem, on właśnie sprowadził procesje pielgrzymów do nowej Mekki: do przybytkn jedynego, największego poety ludzkości.

I teraz młody jakiś chłopak przewijał się wzdłuż przeciwnego brzegu, tak leniwie nurzając wiosła w wodzie, że nań i łabędzie nie zważały. Wixonowi, jak niema błyskawica, zajaśniała myśl, że ongi Szekspir był tu takim chłopakiem, przeskakującym z kamienia na kamień przez rzeczułkę i myszkującym po drzewach, gdzie słowik się czai. Może kiedyś, po trzech wiekach, inny jakiś przybytek ściągać będzie pielgrzymów, może do gniazda jakiegoś amerykańskiego chłopca, czołgającego się dziś omackiem przez złotą mgłę pacholęctwa, lub gniazda jakiegoś człeczyny, tak wzgardzonego przez sąsiadów jak dorosły Szekspir, gdy wrócił do Stratfordu, by stąd co roku wysyłać po dwie sztuki do teatrów londyńskich.

Jako człowiek praktyczny, to jest człowiek, co stara się uczynić zwidzenia namacalnemi, Wixon pomyślał o swojem mieście rodzinnem, na Środkowym Zachodzie i o zgrai chłopców, co tam się rozbijała. To wiedział, że nikt nie podejmie pielgrzymki do tego miasta, dlatego że on się w niem urodził. On był tylko nabywcą run baranich, wyczesywaczem wełny, prządkiem snującym przędziwo i tkaczem wyrobów, w których ludziom ciepło. Tkaniny jego noszą się dobrze, lecz się znoszą. Tkacze słów są jedynymi, których wyroby trwają niedotknięte czasem, urągając molom. Czy w jego rodzinnem Carthage był kiedyś tkacz taki, coby miastu dał wieczysty rozgłos w uszach ludzkich? Był, był jeden, co mógł zostać tym człowiekiem, gdyby...

Nagle poczuł się z powrotem w Carthage. I tam była rzeka. Nie taki skrawek błyskotliwego jedwabiu, jak ten Avon, który tam zwanoby potokiem. Nie, pod Carthage przewalały się tajemniczo wody starego Missisipi, ojca rzek, głębokiego, szerokiego, rwącego. Niedawno, by wprząść go w jarzmo, narzucono mu tamę: zwalisty mur, wgryzający się kilometrami w toń, i dziś pieniące się jego wodospady obracają nie nikłe koła, lecz wirujące turbiny, co niosą światło i pędzą wozy w krąg na mil setki.

A jednak nie miało Szekspira.

A przecież jednak mogło było mieć, gdyby...

Zmierzch tak już pociemniał, że Wixon odłożył wiosła i w mroku zanurzył się myślą w przeszłość.

I znów był w mroku, jeno mrok to był odwrotny: między wygaśnięciem gwiazd a brzaskiem wschodu.

Dwu małych chłopców, on sam jednym z nich, a drugim Luke Mellows, jego druh wierny, spotkali się na cichej ulicy w chwili, kiedy wszczątek światła wślizgiwać się poczynał od wschodu i przygaszać gwiazdy.

Joel przywiązał był sobie sznurek do wielkiego palca u nogi i sznurek przerzucił przez okno. Luke zrobił to samo. Nie wolno mu było niecić warkotu budzików i psować słodkie ostatki snu po rodzinnych domach. Zmówili się więc, iż, kto zbudzi się pierwszy, zbierze się cichaczem, wymknie z domu ciemnemi schodami w noc gwiaździstą, pobiegnie do domu druha i szarpnie za sznurek. Tego ranka Luke był wcześniejszym i triumfalnem szarpaniem wyciągnął druha nogę ze snu, z łóżka, niemal za okno. Joel szeptem syczał swe jęki w półmrok, aż uwolnił z więzów zbolały palec, wskoczył w przyodziewkę i — na ulicę.

Dwoje dzieci, znalazłszy się na szerokim świecie, o który noc staczała jeszcze walkę, poczuły grozę wobec niebios i tajemnic, co się na nich rozgrywały. Zazdrościli człowiekowi, który wieczora-

R U P E R T   H U G H E S

W Ameryce, w jego Ojczyźnie, zwą go „Amerykańskim Balzakiem". Dostateczne świadectwo jego wielkości. Dla nas jednak jest ono niewystarczające. Hughes dla Polaków to nie tylko literat i wielki artysta: jest on ponadto serdecznym przyjacielem Polski. Na obronę naszej czci narodowej i państwowej oddaje najgorętszy swój zapał, czy to jako artysta w swych utworach literackich, czy to jako publicysta w artykułach politycznych. Oto co ostatnio pisze on w miesięczniku „Poland" o Reymoncie, z którym wiążą go nici osobistej przyjaźni: „Przyznanie nagrody Nobla Reymontowi jest hołdem, złożonym nie tylko wielkiemu artyście, lecz i potężnemu narodowi, który go wydał. A stało się to dlatego, że stylem, co lśni jak najczystszy bursztyn, Reymont w swem dziele epokowem tak przedziwnie ujął ducha narodu polskiego". I dalej: „W pewnem znaczeniu my wszyscy jesteśmy chłopami i chłopi muszą nas wspierać i krzepić. Wszystko to, co ich uszczęśliwia lub dręczy, wciska się niepostrzeżenie w nasz organizm społeczny. Więc „Chłopi" Reymonta—to my wszyscy. Przeto zagadnienie jego jest tak podstawowe i tak ogromne. Rozpościera się ono zarówno na wszystkie narody, jak i na każdy naród oddzielny. Zaś powieść sama jest dziełem wszechludzkiem, któremu żadne inne dorównać nie może."

mi zapalał latarnie, a teraz znów był na ulicy ze swą drabinką i ruchliwością owada, jeno że teraz gasił światła, jak podobna, lecz niewidzialna istota uwijała się snać po niebie, gasząc gwiazdy. Joel wspomina, jak wówczas zauważył:

— Ciekawym, czy tam w górze też na to gaszą światła, by oszczędzić gazu.

Ten żart nie podobał się Lukowi. Odrzekł, wymawiając wyraz „zabawnie" w sposób uroczysty:

— To zabawnie patrzeć, jak światło tłumi światło. Bo gwiazdy świecić będą dzień cały, jeno widzieć ich nie będziemy z powodu słońca.

(Wixon myślał o tem teraz i, jak Szekspira sława przytłumiła też gwiazd mnogość. Ktoś mu był powiedział, że za Szekspira były setki wielkich pisarzów, o których mało kto coś słyszał).

Gdy chłopcy ruszyli z miejsca, powietrze zadrgało zachrypłem „muu!", jakgdyby jakaś krowa-olbrzym nawoływała zaginione cielę. W rzeczywistości był to parowiec upominający się gwizdem by most otworzono i przepuszczono go na południe z ładunkiem drzewa. Obaj chłopcy poznali parowiec po świście, wołając razem: „To Bessie Brown!" I puścili się ku wybrzeżu cwałem, iż krótkość nóg w czwórnasób wydłużała drogę.

Ilekroć Joel stawał na wybrzeżu potężnej rzeki, a bywał tu chyba co dnia na ryby, kąpiel, zabawę, czy gapienie, przejmował go dreszcz taki, jakiego zapewne Balboa doświadczył, gdy w roku 1513-ym po raz pierwszy ujrzał bezmiar oceanu Spokojnego. I tego ranka owiała go wielkość niewymowna: całe podniebie przesiąkłe było zorzą, ponura skała czerni przechodziła w purpurę, w bursztyn, by na wschodzie rozbłysnąć jaskrawo szkarłatem, a parę gwiazd spóźnionych, pochwyconych w sieć słońca, drgały, jak rosa na sieci pajęczej. Bitwa na niebiosach powtarzała się w rozłożystej fali, zwiększającej jej grozę prądem, wirami i bałwanami, wydymanymi przez poranny powiew. Na wyniosłych zboczach stały domy i osiedla, otrząsające się z nocy, a na rzece parowiec, z czerwoną i zieloną latarnią, ciągnął za sobą powłóczyste wstęgi barw wśród syków, dźwięków dzwonu i chlupotania śmigieł bełtających wodę. Z wieżyczki pilota czarnoksiężnik jakiś wywijał statkiem między filarami mostu i plamami świateł, niezgaszonych jeszcze i na wodzie i na moście górą.



Rupert Hughes.

Joel wypełnił małą pierś łykiem powietrza, lecz na swój poemat nie znalazł innych słów, jeno okrzyk:

— Ciewy! A to ci widok, nie w kij dmuchał!

Ku jego zdziwieniu wszakże, Luke, który bywał odeń wrażliwszy, wstrząsnął głową i odwrócił się bokiem.

— Czegóż ci się więcej zachciewa za dwa grosze? — huknął Joel, czując potrzebę wystąpienia w obronie piękności jutrzenki.

Luke się rozbeczał. Rymnął w zielsko gołemi kolanami, a zaciśniętemi pięściami wygnieść chciał z twarzy tak niemęskie objawy bólu. Joel przykucnął przy nim, domagając się dopuszczenia do tajemnicy, aż Luke przepomniał o honorze domu, by nie czuć się samotnym w swym żalu.

— Ja już tu dzisiaj byłem—wyznał — byłem o północy. I odtąd niecierpię tego miejsca.

— Przecież w nocy nie przyszedłeś tu sam?

— Nie. I matka była tutaj także.

— Czemuż cię tu wyciągnęła o tak niesamowitej porze?

— Nie wiedziała, że tu byłem.

— Nie wiedziała? To czegóż tutaj szukała?

— Miała z ojcem straszną kłótnię. Nie słyszałem o co im poszło, lecz to mię zbudziło i słyszałem, jak matka płacze, a ojciec klnie. Aż mama rzekła: „Wolę już pójść i rzucić się do rzeki". A ojciec na to: „Czemu nie? w to mi graj!" Mama przestała płakać i odrzekła spokojnym, ale strasznym głosem: „Tak? To dobrze". Potem posłyszałem kroki i trzaśnięcie drzwiami.

— Co gadasz? Doprawdy?

— Oblokłem jeno koszulinę i nadziałem portczęta, migiem ześlizgnąłem się po rynnie, biegnę pędem: jest! Mama. Pędzi ulicami, ile tchu. Nie śmiałem się zbliżyć. Nie wiem czemu, lecz nie śmiałem. Więc jeno za nią się skradałem. Było całkiem ciemno, gdy jednak mijała latarnię, zobaczyłem, że wciąż płacze, i że potyka się, niby ślepa.

Było tak późno, że nie spotkaliśmy nikogo, i wszystkie okna były ciemne, z wyjątkiem u Jonesów, iż tam ktoś ponoś chorzeje. Lecz nikt nie wyglądał i tak matka dobiegła tu do rzeki. A ja za nią. Stanęła nad wodą i wyciągnęła ręce, jakby chciała skakać, lub wzlecieć, lub coś takiego. Księżyc świecił i woda tak się lśniła, że aż mieniło się w oczach, a matka tak stała z rozpostartemi ramionami, jakby, nieprzymierzając, na krzyżu.

Mnie wziął taki lęk i ziąb, iż trząsłem się, jak w febrze. Aż bałem się, że posłyszy, jak mi zęby dzwonią, więc dałem nura tu w krzaki i zielska. Akurat tutaj, w tem miejscu. A tu matka zatoczyła się, jakby jej ktoś dał szturkańca i znów buchnęła płaczem, załamując ręce. Raz, a może ze dwa razy, zerwała się, by poskoczyć ku wodzie, ja migiem za nią, lecz, rzekłbyś, że ją cosik ztyłu trzymało, więc i ja przycupnąłem chyłkiem. Dobra chwila minęła, jak kręciła głową, niby mocując się ze sobą, wkońcu zawróciła. Nie widziała mię, choć przeszła tuż obok, żem nawet jej szept słyszał: „Nie mogę, nie mogę — moje sieroty!" I znów szła z powrotem ulicami, a ja jej tropem, i tak mi się chciało dopaść jej, pocieszyć... Nie śmiałem. Ona pewnikiem nie chce, by ktoś wiedział. Dość, że nie śmiałem, nie mogłem.

Na wspomnienie swego tchórzostwa Luke znów zaczął beczeć, a Joel, dla pociechy, zaczął go wypytywać niby rubasznie:

— Ej, nie gadaj. Nawet ci się nie dziwię. Sam nie wiem, czy postąpiłbym inaczej. Ale powiedz, skąd im to przyszło?

— Nie wiem. Nic nie wiem. Mama stanęła pode drzwiami, ale były zamknięte. Długo stała, nim ośmieliła się zapukać. Zastukała słabiutko i czekała. Nareszcie ojciec otworzył i rzekł: „Widzicie ją! Jednak wróciła!" Weszła. A ja byłbym się na niego rzucił i udusił, jeno że mi drzwi przed nosem zawarto. Cóż miałem robić? Wdrapałem się po rynnie, a tak byłem zmachany i to wszystko, żem omal nie spadł i karku nie skręcił. Aż żałuję. Ale się więcej nie kłócili. Jeno, gdy raz czy dwa mama się zachłysnęła, ojciec ją oburknął: „Tylko, proszę cię, bez komedji. Wiesz, że mam rano robotę w sklepie. Muszę się wyspać". Ja bo tam niewiele spałem i dlatego pierwszy byłem na nogach i ciebie zbudziłem.

I to było wszystko, czego Joel mógł się wywiedzieć. Darmo; malców mur odgradza od życia dorosłych. Luke siedział przykucnięty, markotny i ponury i rzucał grudkami na koniki polne, by jakoś godność ludzką odzyskać. Wkońcu oświadczył:

— Ale pamiętaj, jakbyś wygadał się przed kimś z tem, co ci zawierzyłem...

— Stul pysk! — zaprotestował Joel, czując się boleśnie dotkniętym w wiernem rycerstwie swej przyjaźni. To uspokoiło Luka.

— Ja to tylko tak sobie powiedziałem! Wiem, że nie zdradzisz. Ale poczekaj — wybuchnął gwałtownie — jak ja tylko zarobię kupę pieniędzy, to mu zaraz matkę odbiorę. Niech sobie robi potem, co chce! Tylko, psia-ci noga, to tyle czasu zajmuje, by wyróść! A niebardzo też wiem, jak się to robi, by zarabiać.

Ale wnet poranek życia porwał obu chłopców w nieprzemożony impet zarania ich własnej młodości, że zapomnieli o nieuleczalnych nieszczęściach starszych, jak ci znów zapomnieli o zagadnieniach narodowych nieszczęść i kosmicznych katastrof. Narazie chłopcy puścili się truchtem po stokach wybrzeża, roztrącając rosę i koniki polne i płosząc ptaki z krzaków, a z jam króliki. Nad samą rzeką trzeba było puścić się torem kolejowym, co u idących na bosaka, wymagało wielkiego skupienia ze względu na kanciastość progów i chropowatość żużli. Z rozkoszą śniadania zwlekali, ile mogli, aż usadowili się na kupie powrozów i wyprawili sobie ucztę z całego łupu jaj na twardo, pieczywa i sera, jaki udało im się ubiegłej nocy zwędzić z rodzicielskich śpiżarń.

(Dalszy ciąg p. na str. 45)



Polska a Stany Zjednoczone

Leopold Kotnowski

Prezes Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce

Przeglądając najbogatsze w świecie piśmiennictwo perjodyczne Stanów Zjednoczonych, bądź to pisma o charakterze ogólnym czy fachowym, bądź to organy różnych urzędów państwowych czy instytucji społecznych, uderza nas przedewszystkiem fakt, jak mało stosunkowo pisze się w nich o Polsce i rzeczach polskich. Nie wyłączając najmniejszych państw Ameryki Południowej i Europy, Polska pod względem propagandy informacyjnej zajmuje zdecydowanie jedno z ostatnich miejsc. Miejmy odwagę otwarcie to wyznać. Każda prawda, choćby najgorsza, jest stokroć korzystniejsza, niż najpiękniejsza iluzja.

Tak się więc złożyły historyczne losy, że po latach wojny, dewastującej nasz kraj, po świetnym okresie Konferencji Pokojowej, gdzie uzyskujemy własne Państwo, po bohaterskiej walce ze wschodnim sąsiadem, wreszcie po regeneracji o własnych siłach naszego systemu pieniężnego — po tych wszystkich wielkich etapach, prowadzących nas do jasnej przyszłości, świadomość nasza musi się coraz więcej godzić z przeświadczeniem, że ocuciliśmy się niejako w stanie „splendid isolation".

Stan taki ma niewątpliwie swoje dodatnie strony. Przebywały w nim dłużej lub krócej wszystkie zkolei państwa. Znane są świetne okresy „wspaniałego odosobnienia" Wielkiej Brytanji, Japonji i typowo odosobnionego państwa Stanów Zjednoczonych. Możemy wyśledzić w tych okresach odnośnych państw wzmożenie się tempa rozwojowego, kondensację energji narodowej, gromadzenie wartości gospodarczych.

Lecz wszystko to do czasu. Państwo, jako organizm, podlega zasadniczym, elementarnym prawom przyrody, a więc żyć i trwale rozwijać się może tylko wtedy, gdy znajduje się w stanie ciągłej wymiany materji z otaczającem je środowiskiem, czyli w danym wypadku z otaczającymi je innymi organizmami państwowymi. Odosobnienie na dłuższą metę powoduje objawy zwyrodnienia.

Nie ulega wątpliwości, że Polska, jako organizm państwowy, znajduje się dopiero w pierwszem stadjum naturalnego przystosowywania się do otaczającego środowiska, a proces taki zawsze wymaga mniej lub więcej silnych przeobrażeń zarówno w organizmie przystosowującym się jak i w układzie sił zewnętrznych.

Stąd też aż nadto zrozumiałe są nasze częste kryzysy i zmiany gabinetowe, brak zrównoważenia w pracy naszych ciał prawodawczych, niepewność i wahania w polityce zagranicznej, wreszcie nadmierna skromność, granicząca z lękiem, w manifestowaniu swych indywidualnych potrzeb państwowych na arenie spraw międzynarodowych (por. ostatnie ze strony Niemiec, Rosji, Czechów i innych).

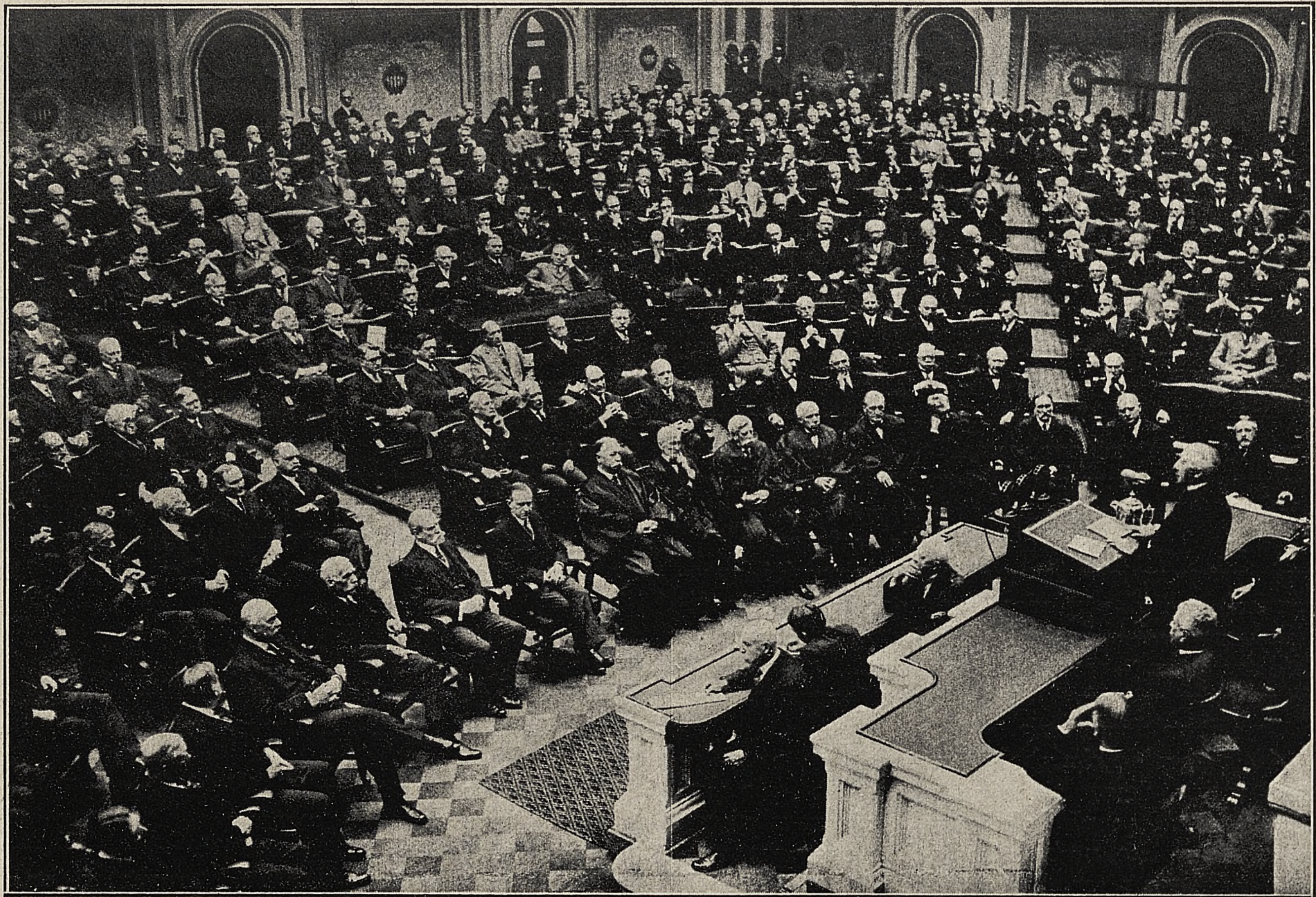
Są to wszystko cechy zdecydowanie ujemne, świadczące o trudnościach w procesie naszego przystosowania się do koncertu, wprawdzie silnie zdyzharmonizowanego, państw europejskich i światowych.

Był jednak moment w niedalekiej przeszłości, u kolebki narodzin naszego państwa, kiedy jutrzenka najpomyślniejszego rozwoju zaświtała nam przedziwnym blaskiem. Ukazała się ona na dalekim zachodzie, z poza wód oceanu Atlantyckiego, z krainy, w której gwiazdy niebieskie są symbolem państwa.

Pomna na tragiczny okres dziejowy, w którym Polska, tracąc swą wolność, oddawała swych synów na obronę wolności ojczyzny Washingtona i Jeffersona, Ameryka była gotowa uczynić wszystko, by spłacić swój honorowy dług wdzięczności na chwałę odradzającej się ojczyzny Kościuszki i Pułaskiego.

Pierwszy z pomocą pośpieszył nie kto inny, jak sam rząd Stanów Zjednoczonych. Pieniędzmi, amunicją, produktami spożywczymi wsparł on Polskę w najkrytyczniejszy jej moment, nie jałmużną, lecz pożyczką, jako równy równemu, na ogólną sumę 168.000.000 dolarów, kładąc materjalne podwaliny pod budowę gmachu państwowego.

Jeżeli uprzytomnimy sobie, że owa pomoc materjalna nie była wynikiem obrachunku bankowego, lecz aktem najwyższego uczucia humanitarnego, wyrazem szczerej sympatji dla narodu naszego, wówczas dopiero w całej swej okazałości uwydatni się czyn rządu Stanów Zjednoczonych, jako wyjątkowy objaw ducha amerykańskiego, a zarazem jako czyn, który dał nam możność pokierowania naszą nawą państwową. Niewiadomo, czy nie natknęlibyśmy się z samego początku na mielizny i skały podwodne, gdybyśmy nie otrzymali tej pomocy materjalnej i moralnej. O tem pamiętać winniśmy każdej chwili i w każdej okoliczności! Nie-



Courtesy of «N. Y. Times» *Posiedzenie Kongresu Waszyngtońskiego w dniu 14 grudnia 1924 r. podczas uroczystości, poświęconej pamięci Woodrow Wilsona. W pierwszym rzędzie po środku siedzi Prezydent Coolidge; po jego prawej stronie zajmują miejsca Sekretarze jego gabinetu (ministrowie): pp. Hughes, Mellon i inni; po lewej—członkowie sądu najwyższego z p. Taftem, byłym Prezydentem, na czele. Przemawia prof. E. A. Alderman. Mowa jego, według opinji Amerykanów, była arcydziełem sztuki krasomówczej oraz świadectwem największej czci dla zmarłego Prezydenta. Prof. Alderman, między innemi, powiedział, że Wilson do złudzenia przypominał wizerunek generała Andrew Jacksona. Ta okoliczność może służyć ciekawym przyczynkiem do oświetlenia tezy p. J. Zachariewicza w zagadnieniu „44".*

stety nasza myśl narodowa i państwowa, w wichrze zdarzeń codziennych i przelotnych często o tem zapomina.

Lecz nietylko rząd Stanów Zjednoczonych niejako ex officio śpieszył nam z pomocą. Wszystkie warstwy i odłamy społeczne rdzennie amerykańskie czynem praktycznym okazały nam tyle dowodów przyjaźni, o jakich myśmy nawet marzyć nie mieli prawa.

Podkreślić tu należy bezinteresowną pomoc organizacyj społecznych, filantropijnych, humanitarnych, takich jak: A. R. A., Y. M. C. A., Metodystów i Kwakrów, które wiele miljonów dolarów, zebranych wśród Amerykanów, przynieśli w ofierze narodowi naszemu, czy to w postaci pieniądza, czy towarów, czy też wreszcie usług osobistych. W tym zakresie działalność Herberta Hoovera, byłego kierownika Misji Amerykańskiej w Polsce, a obecnego Ministra Handlu i Przemysłu, i zdobywającego sobie stopniowo miano jednego z najwybitniejszych mężów stanu — nigdy przez Polaków zapomnianą nie będzie.

Firma Baldwim Locomotive Works daje nam lokomotywy na sumę 7.000.000 dolarów na takich warunkach, które są raczej aktem dobrej woli i grzeczności, niż tranzakcją handlową.

Prezes tej firmy, p. Samuel M. Vauclain, nigdy nie zdradzi nam swej tajemnicy, jaką korzyść firma jego odniosła ze sprzedaży nam tych lokomotyw — dowiedzielibyśmy się raczej o stratach, niż o zyskach. Jednak czcigodny prezes nie zraża się do narodu polskiego i w dalszym ciągu bierze czynny udział w pracach Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowej w Nowym Yorku, a ostatnio przyjmuje na siebie wielce zaszczytną i pożyteczną dla nas godność wice-prezesa Amerykańsko-Polskiego Komitetu Stypendjalnego w Stanach Zjednoczonych.

Cały szereg innych wybitnych przedsiębiorców amerykańskich, mężów stanu oraz przedstawicieli nauki, czynami swymi zadokumentowało nam swe przyjazne uczucia; szukają oni tylko odpowiedniego i właściwego gruntu, by uczuciom swym dać możność realnego rozwoju i rozkwitu.



Courtesy of «The N. Y. Times» *Jeden z najpiękniejszych widoków kanału Panamskiego. Pośrodku płynie statek wojenny, przeznaczony specjalnie do przewożenia aeroplanów. Na jego górnym pokładzie widzimy cztery samoloty.*

Nie należy nam także zapominać jednego szczególnie znamiennego faktu, o którym donosi p. Stanisław Arct, były delegat Pełnomocny Rządu Polskiego w swej broszurze o „Projekcie odbudowy Polski przy pomocy Amerykańskiej". Okazuje się, że opinja publiczna Stanów Zjednoczonych w 1920 roku była już zupełnie przygotowana do przeprowadzenia wielkiej finansowej akcji, mającej na celu zmobilizowanie ogromnych kapitałów na rzecz odbudowy Polski.

Te krótkie, pobieżnie opisane, reminiscencje z okresu pierwotnego nawiązywania stosunków państwowych pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Polską muszą budzić w każdym obywatelu polskim smutne refleksje.

Co się stało, co zaszło tu u nas, czy tam za oceanem, że tak świetnie zapowiadające się stosunki stopniowo uległy zmianie i zapanował gorszy ponad wszystko indyferentyzm polityczny?

Nie może być dwóch zdań, iż przyczyną tej zmiany jest nie kto inny, tylko my sami!

Miast organizować nasze państwo na uznanych i doświadczeniem popartych zasadach wielko-kapitalistycznych, poczęliśmy modernizować prawodawstwo w duchu naszego bolszewickiego sąsiada wschodniego. Wolność Ojczyzny pojęliśmy, jako wolność osobistą, dającą nam prawo do zaniechania wszelkiej pracy.

Praca w Państwie Polskiem stała się odświętną, a codziennem zajęciem robienie polityki wewnętrznej, socjalnej. Warcholstwo demagogiczne zapanowało nad instynktami nieuświadomionych mas i doprowadziło kraj na brzeg państwowej przepaści, na krańce międzynarodowego współżycia.

Nic też dziwnego, że i Rządy nasze, zmieniające się co pewien okres czasu, nie miały żadnej możności nawiązać stałych, trwałych i korzystnych dla Państwa stosunków międzynarodowych.

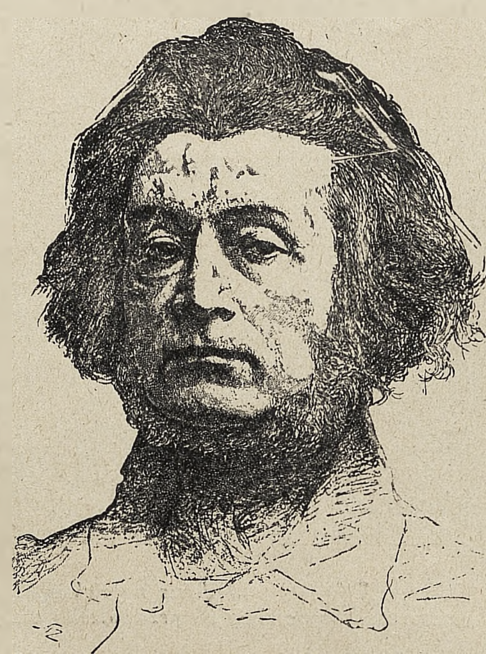
Nie myślano więc o zobowiązaniach pieniężnych względem Rządu Stanów Zjednoczonych, nie myślano o długach względem przedsiębiorstw prywatnych. Często obsadzano placówki zagraniczne, te najczulsze ośrodki nerwowe organizmu państwowego, ludźmi, którzy byli zaprzeczeniem zasady „the right man on the right place". To wszystko sprawiło, że najserdeczniejszy, bo żadnemi względami politycznemi nie obarczony przyjaciel Polski — naród amerykański, widząc jak sobie poczynamy igrać największą naszą świętością, naszem odrodzonem Państwem, skupił się w sobie, przyjął pozę wyczekującą i przeszedł nad nami do porządku dziennego. Obecnie też niema już państwa w Europie, nie mówiąc już o odrodzeniu Niemiec, zapomocą planu Dawes'a, któreby nie korzystało z pomocy finansowej Ameryki. My zaś znaleźliśmy się na ostatnim miejscu, zasadą bowiem Amerykanina jest pomagać temu, kto sam sobie radzić potrafi.

Jednak, bynajmniej nie chcemy urabiać poglądu, że znaleźliśmy się w błędnem kole, z którego niema wyjścia.

(Dalszy ciąg p. na str. 51)

A imię jego 44!

Adam Mickiewicz Dziady cz. III. Widzenie X. Piotra.



Któż ten Mąż?... To namiestnik na ziemskim padole.
Znałem go — był dzieckiem — znałem,
Jak urósł duszą i ciałem!
On ślepy, lecz go wiedzie anioł pachole.
Mąż straszny... ma trzy oblicza
On ma trzy czoła.
Jak baldahim rozpięta księga tajemnicza
Nad jego głową, osłania lice.
Podnóżem jego są trzy stolice.
Trzy końce świata drżą gdy on woła;
I słyszę z nieba głosy jak gromy:
To namiestnik wolności na ziemi widomy
On to na sławie zbuduje ogromy
Swego kościoła!
Nad ludy i nad króle podniesiony,
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony:
A życie jego — trud trudów,
A tytuł jego — lud ludów:
Z matki obcej; krew jego, dawne bohatery:
A imię jego czterdzieści i cztery.
Sława! sława! sława!

Przez lat 80 Proroctwo to było ewangelją Polaka... Wierzył w nią wbrew rozumowi, spodziewał się wbrew nadziei... Analizował, badał, chcąc swoją podświadomą wiarę, zaszczepioną w młodzieńczych latach, zastąpić rozsądną świadomością, że Mickiewicz ukrył pod tym liczbowym symbolem kogoś z sobie współczesnych — a więc, że przepowiednia się nie spełniła. Albo, że miało to być oderwane pojęcie mistyczne—ludu — Litwy?

Genjusz Adama przeczuł to wszystko — nie dał sobie wydrzeć tajemnicy przed czasem.—Aż dopiero, gdy Słowo stało się Ciałem, gdy Polska wskrzesła, a Naród zmartwychwstał — Proroctwo swoje zadanie w duszy polskiej wypełniło i może przejść z nieświadomego odczucia w świadome zrozumienie—zasłona tajemnicy się uchyliła.

Czterdzieści i Cztery—to po przez generała Andrew Jacksona symbol Stanów Zjednoczonych — to Ameryka!

Wielkiego tego odkrycia, a wielkiem można je nazwać bez wahania, dokonał pan Juljan Zachariewicz. Oddamy mu zą chwilę pióro—niech sam to opowie.

Dla „Ameryki-Polski" sprawa ta ma silny urok. Przecież ta Mickiewiczowska Ameryka jeszcze się dla Polski nie skończyła: właśnie zaczynają napływać stamtąd miljony dolarów, aby zasilić nasze gospodarstwo państwowe i wiejskie; kończy budowę w Warszawie potężny Instytut Higjeny fundacji Rockefellera; wychodztwo nasze zbiera fundusze na wielki centralny polski Zakład Badań Technicznych; powstaje Polski Instytut Organizacji Pracy, mający wzorem Ameryki dać Polsce maximum dobrobytu i zadowolenia. A to wszystko jest dopiero cząstką tego, co nam Ameryka dać może, tak w dziedzinie techniki, jak i w królestwie ideału, w ekonomice i polityce.

Stamtąd musimy czerpać, tam się uczyć,— odrzucając wszystko co z Duchem Polskim niezgodne, co go może spaczyć i na manowce sprowadzić, — biorąc wszystko, co go wzmocnić i usprawnić zdoła.

To są zadania i zamierzenia naszego miesięcznika. Dumni jesteśmy, że idąc tą drogą, postępujemy w myśl wskazań największego Wieszcza Narodu.

St. A.

A D A M   M I C K I E W I C Z

Polska i Stany Zjednoczone Ameryki

Artykuł poniższy stanowi esencję moich odczytów, jakie wygłosiłem w Warszawie dnia 21, 22 i 23 grudnia 1923 r. w Sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Zarazem zaś stanowi skrót mojej książki Adam Mickiewicz Polska i Stany Zjednoczone Ameryki, Lwów 1924, podającej rezultaty moich badań, obejmujących wszystkie Dzieła, Listy i Kursa literatury Mickiewicza, w związku i na tle amerykańskiej historji, przedstawionej w dziełach jak Wilson, History of American People, New York 1902, Parton, Life of Andrew Jackson, New York 1860, Buell, History of Andrew Jackson, London 1904, Charles Peck, The Jacksonian Epoch, New York & London 1899.

Książkę powyższą zaszczycił pan Minister Spraw Wojskowych następującym listem:

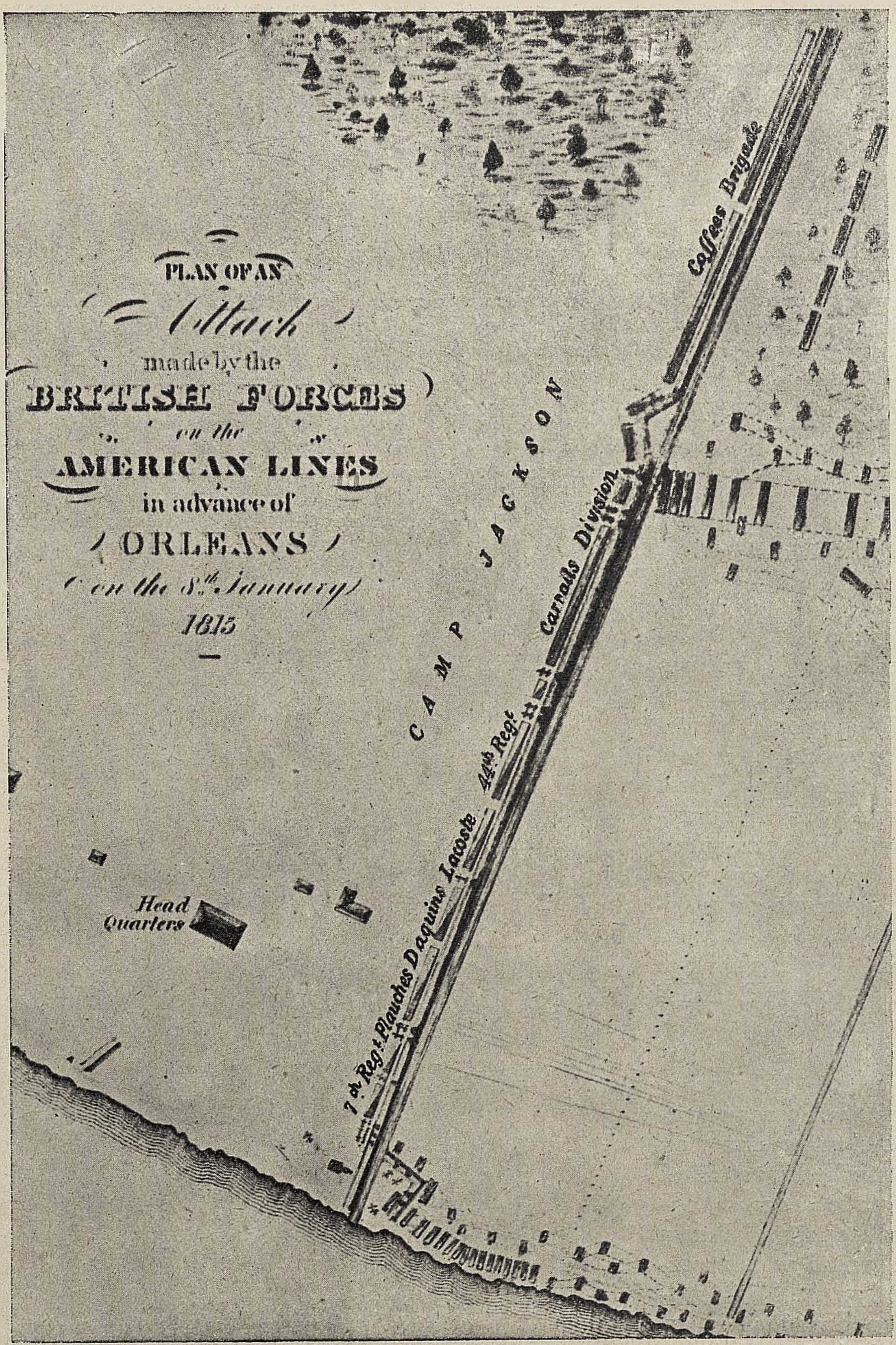
„Szanowny Panie! Za ofiarowaną mi łaskawie książkę p. t. „Adam Mickiewicz Polska i Stany Zjednoczone Ameryki" przesyłam Sz. Panu słowa serdecznej podzięki. To nowe dzieło o naszym wieszczu niewątpliwie zainteresuje najszersze koła społeczne, wzbogacając polską literaturę o jedną jeszcze wybitną pracę. Przy sposobności łączę wyrazy poważania (—) Sikorski, Generał Dywizji, Minister Spraw Wojskowych."

Adam Mickiewicz przepowiedział przed 100 laty wojnę światową, zwycięstwo Ameryki w Europie i wskrzeszenie Polski. W swojem dramatycznem dziele Dziady przedstawił w sposób alegoryczny wskrzesiciela Polski, którego imię jest Czterdzieści i cztery. Sam nie chciał nigdy nikomu swej myśli wyjawić, kiedy go zaś pytano, naprzykład Goszczyński, kto ma być tym przyszłym wskrzesicielem Polski, zbył interpelanta wymówką. Dlatego też od 100 lat prawie gubiono się w domysłach; myślano, że to jest książę Adam Czartoryski, książę Ludwik Napoleon, Towiański, sam Mickiewicz; inni przypuszczali, że to jest Lud, Litwa, Gmina, Papież. Krytycy polscy, wśród nich największy, Stanisław Tarnowski, w swojej wspaniałej Historji Literatury Polskiej już 1900 powiedział, że to jest zagadka niemożliwa do rozwiązania. Aleksander Brückner, w swojej najnowszej Polnische Literaturgeschichte, 1920, twierdzi, że to jest wizja apokaliptyczna, której rysy nie dadzą się objaśnić; Stanisław Szpotański w monografji Adam Mickiewicz i jego epoka, 1921, widzi w mistycznych pismach Saint Martina wpływ na Mickiewicza; Tadeusz Sinko w książce o Tradycjach klasycznych Mickiewicza, 1923, mówi, że ani jedna z prób dotychczasowych rozwiązania prawdziwego nie przyniosła, sam jednak skłania się do przyjęcia, że Konrad z Trzeciej Części Dziadów, z rysami samego Mickiewicza jest Mężem Wolności i wskrzesicielem Polski. Józef Kallenbach wreszcie, ostatni w literaturze Polskiej, w trzeciej edycji swojej monografji o Mickiewiczu 1923, mówi, że ten problem Mickiewicza na zawsze jest do rozstrzygnięcia niemożliwy.

Ten bohater Mickiewicza, wskrzesiciel narodu, to jest siódmy prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, generał Andrew Jackson.



Generał Andrew Jackson.



Plan bitwy między wojskami amerykańskiemi i brytyjskiemi pod Orleanem w dniu 8 stycznia 1815 r.

W tym symbolicznym wizerunku nazwał Mickiewicz Jacksona Namiestnikiem Wolności na ziemi widomym, ponieważ Jackson był nim jako Prezydent Stanów Zjednoczonych wolnej Ameryki i jako były N a m i e s t n i k F l o r y d y, G o v e r n o r o f F l o r i d a. Dlatego opisał go alegorycznie, jako Boga wojny, ponieważ w Ameryce nazywano go God of battle; powszechnie nazywano go T e r r i b l e J a c k s o n, dlatego i Mickiewicz zostawił mu nazwę M ą ż S t r a s z n y, w czem zbiegł się z Woodrow Wilsonem, który charakteryzując swego wielkiego poprzednika, mówi, że dzisiejsi Amerykanie drżą ze strachu, kiedy o Jacksonie myślą. Na trzech stoi koronach, sam zaś jest bez korony, mówi Mickiewicz: jako Prezydent Stanów Zjednoczonych, który korony żadnej nie nosi, stoi na trzech koronach Rosji, Austrji i Niemiec, które odebrały Polsce wolność. „Z matki jest obcej, krew jego dawne bohatery. A imię jego czterdzieści i cztery": Jacksona rodzice pochodzili z Irlandji, skąd wyemigrowali do Ameryki. A imię jego Czterdzieści i cztery!

Co chciał Mickiewicz oznaczyć przez 44? Dlaczego w ten sposób nazwał wskrzesiciela Polski, streszczając wszystkie jego właściwości do tej cyfry? Co i kogo oznaczała liczba 44 w Stanach Zjednoczonych Ameryki?

Mickiewicz pisał Dziady w Dreźnie w marcu 1832 i kreślił alegoryczny wizerunek amerykańskiego Prezydenta, równocześnie kiedy Jackson 4 marca 1832 po raz drugi objął rządy, o czem już poprzednio po wyborach wiedziano. Mickiewcz całe życie zajmował się światową polityką, w tym zaś okresie czasu, z Drezna, pisał do swoich przyjaciół w listach, że nic innego nie czyta, jak tylko gazety; szczególną zaś uwagę poświęcał biegowi wypadków w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

44—to był sławny 44-ty pułk irlandzki, który w wojnie z Anglją odniósł w Ameryce największą liczbę zwycięstw; w nocnym ataku 23 grudnia 1814 i 8 stycznia 1815 roku, została Anglja i wojska brytyjskie pobite na głowę, we wszystkich zaś tych walkach odznaczył się słynny pułk

44-ty, który 8/I 1815 r. stał w samem centrum walki; zwycięstwo nad Anglją odniósł generał Jackson; on sam pochodził z Irlandji: Mickiewicz przeniósł nazwę 44-tego pułku irlandzkiego na generała Andrew Jacksona, i dlatego powiedział: Z matki obcej, krew jego dawne bohatery, A imię jego Czterdzieści i cztery.

W świetnem zwycięstwie Andrew Jacksona nad Anglją 8.I 1815, jak opowiada w swojej wybornej, trzytomowej monografji James Parton, Life of Andrew Jackson, New York, 1860, główna kolumna, prowadząca do ataku, składała się z 4, 21 i 44 pułku, który był przeznaczony na czoło tej kolumny. Wśród kolumny generała Gibbsa, wysuniętej na czoło wśród ognia strzelców, kilku oficerów nagle zawołało:

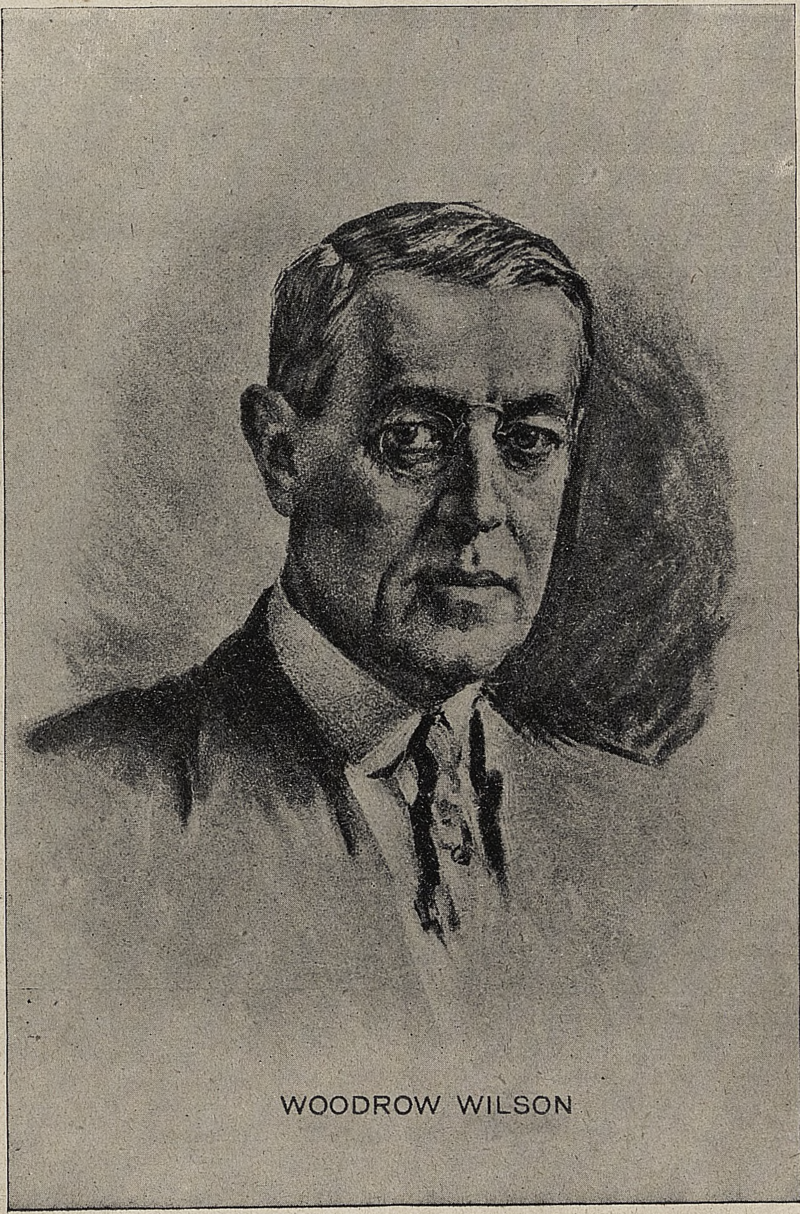
Where are the 44-th? If we get to ditch, we have no means of crossing and scalling the lines! (Gdzie jest 44? Jeżeli przejdziemy przez rów, nie wiemy, jak przejść i dojść do linji!)

Here come the 44-th! Here come 44-th! Shouted the general... (Tu przyjdzie 44! Tu przyjdzie 44! — krzyknął generał Jackson...)

W tym dniu historycznym, Zwycięzca z Nowego Orleanu, Victor of New Orleans Andrew Jackson, zidentyfikował się ze swoim ukochanym i sławnym pułkiem i jego liczbę 44, przeniósł momentalnie jako nazwę na siebie. Mickiewicz zaś, kiedy symbolicznie przedstawił wizerunek wielkiego amerykańskiego bohatera, użył liczby 44 jako znaku, który symbolicznie miał w jednem słowie określić zwycięstwo orleańskie, zarazem zaś stanowić nieomylne kryterjum poznawcze, liczbę, jako matematyczną cyfrę świadczącą z absolutną pewnością, że ten Mąż, którego opisywał, był istotnie tym samym człowiekiem, którego imię jest i będzie Czterdzieści i cztery.

Nie dość zważać co było, zważmy, co się stanie:
Pięćset kręgów za słońcem nie obieży ziemia,
Patrzcie, jaka noc gruba Europę zaciemnia!
Zewsząd płacz, narzekanie, jęk rozległ się głuchy;
Palą się krwawe stosy, brząkają łańcuchy.
Spędzona groźnym trzaskiem samowładców bicza
Rąbie się o ich krzywdę, trzoda niewolnicza.
Patrzcie! zdala wędrowiec na tej przybił stronie;
Ze łzami przez nasute gruzem stąpa błonie,
Z pewnością mu rozwaga nie odgadnie pilna.
Kędy stały Paryże, Londyny i Wilna.
Wtenczas nad światem nowym swobód gwiazda błyśnie.
Cnota się i nauka pod jej promyk ciśnie,
Mnisze więzy, despotów złamią się postrachy.
Złoty Kapitol wolne utkwi w niebie dachy.
Przed nim naród zdumionych ziemian na twarz padnie,
A Lud-Król berłem równym uległych zawładnie.
Do stóp swoich Tyrany staroświeckie pognie
I z wolnej skry w Europie nowe wznieci ognie.

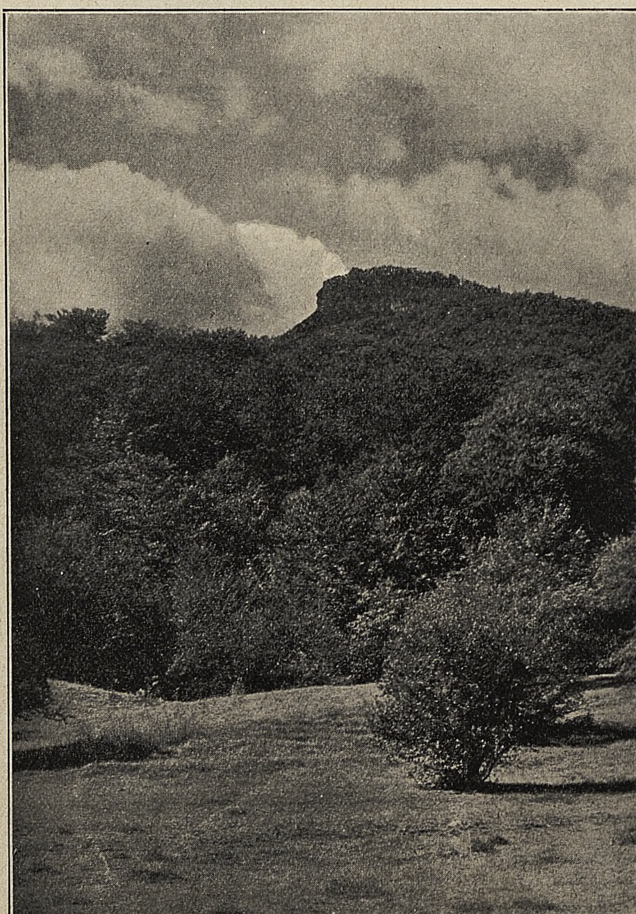
Mickiewicz już w swoim pierwszym wierszu młodzieńczym Kartofla, 1818, był wielbicielem



WOODROW WILSON

Jacksona: nazwał go w tym wierszu L u d k r ó l, przenosząc żywcem i tłumacząc dosłownie nazwę amerykańską Jacksona K i n g M o b; w tym samym wierszu mówi Mickiewicz także najwyraźniej o Złotym Kapitolu, nie dodając tylko, że to jest Kapitol w Waszyngtonie. W tym wierszu, w którym poeta wychodzi z faktu, że kartofla jako nowa potrawa przyjechała z Nowego Świata do starej Europy, już jako 20-letni chłopak przepowiedział równo na 100 lat, wojnę światową, zwycięstwo w niej Ameryki i wskrzeszenie Polski.

Tę ideę amerykańską złączoną z myślą o regeneracji Europy przez Amerykę, Mickiewicz powtarzał i parafrazował we wszystkich swoich dziełach, od Kartofli i Ody do młodości, w ciągu 25 lat. Wrócił zaś do niej jako profesor w Collège de France w Paryżu, w swoich Kursach literatury słowiańskiej. Wtedy wprowadził pierwszy do Europy największego amerykańskiego filozofa Ralf Waldo Emersona, o którym najczęściej w paryskich wykładach mówił. W tych paryskich wykładach w r. 1844 zacytował w pożegnalnej ostatniej swojej lekcji scenę Widzenia z Dziadów i zestawił klęskę Napoleona pod Waterloo z jednem wielkiem zwycięstwem, dokonanem przez innego wielkiego wojownika, co jednak, jak, zawsze, tylko symbolicznie zaznaczył: to było zwycięstwo Jacksona pod Nowym Orleanem 8.I, w tym samym r. 1815, w którym wojska angielskie, pokonane przez Jacksona, w Ameryce, zwyciężyły w Europie Napoleona pod Waterloo 18.6. Te dwa jedyne w dziejach fakta zestawiał sam Napoleon na wyspie Św. Heleny; o nich mówił słynny francuski Generał Lafayette z samym Jacksonem w Ameryce. Ten sam Lafayette był osobistym p r z y j a c i e l e m Mickiewicza, obaj razem byli w przyjaźni z James Fenimore Cooperem, słynnym amerykańskim pisarzem, autorem „The last of the Mohicans", który w Lyonie 1826—1829, był konsulem Stanów Zjednoczonych Ameryki.



Widok pasma Białych gór, gdzie w oddali widnieje słynny profil skalisty.

„Jedźmy do Ameryki, nic już nie da się zrobić w Europie!" „Słowo europejskie straciło już wszelką władzę polityczną", powtarzał Mickiewicz. Wierzył przez całe życie w Amerykę, że przyniesie wolność Polsce i ludom Europy, że ją zregeneruje i stanie się początkiem nowej epoki historycznej. Siłę zaś największą upatrywał w wielkich ludziach Ameryki. Dlatego widział w Washingtonie, którego uwielbiał i wymieniał jego nazwisko, prototyp nowego człowieka rodzaju ludzkiego, z którego zrodzą się inni, tacy sami jak on. Takim był Andrew Jackson, największy i najsławniejszy mąż swego czasu po obu stronach Oceanu, którego pamięć wdzięczni Amerykanie uczcili przez nadanie pięciu miastom Stanów Zjednoczonych imienia Jacksona.

„Człowiek przeznaczenia (założyciel narodu) nosi w sobie całą przyszłość tego narodu. Daną przezeń siłą naród żyje i działa", mówi Mickiewicz, myśląc o Jacksonie. Autor Pana Tadeusza wiedział, że wielka idea nie ginie, że dalej żyje w głowach wielkich ludzi, i że stwarza wypadki historyczne, że w wojnie światowej stworzy Europie nową przyszłość.

Historja potwierdziła przepowiednię Mickiewicza: to, w co nikt jeszcze roku 1918 nie chciał na świecie wierzyć, nastąpiło, co Mickiewicz równo przez 100 laty swoim genjalnym zmysłem p o l i t y c z n y m przewidział: zwycięstwo Stanów Zjednoczonych w Europie w światowej wojnie, i wskrzeszenie wolnej Polski przez ich Wielkiego Prezydenta Woodrow Wilsona.

Juljan Zachariewicz.

Marnotrawstwo w przemyśle

W opracowaniu Cezarego Łozińskiego

Inicjatywa Stowarzyszenia Techników Polaków w Ameryce oraz Amerykańsko - Polskiej Izby Handlowo - Przemysłowej w Polsce przyczyniła się do uświadomienia polskiej opinji publicznej co do konieczności bardziej zorganizowanych metod pracy we wszystkich dziedzinach wytwórczości, niż to miało miejsce dotychczas... Rezultatem tego uświadomienia jest cały szereg poczynań rządowych i prywatnych, zmierzających do wspomnianego celu. Naogół jednakże nie można powiedzieć, abyśmy już wyszli w tej dziedzinie życia poza okres szukania dróg i weszli w okres realnego wykonania. Dlatego też zbyt jeszcze często dążenia te przebywają w dziedzinie teorji.

Obecnie wszyscy już wiedzą, jak wielkie postępy na polu prawidłowej organizacji pracy poczyniły Stany Zjednoczone. Tam też powstało pojęcie naukowej organizacji pracy, które było wykwitem dążności do usystematyzowania metod pracy i które zkolei doprowadziło do najwyższych form systematycznej organizacji. W tym procesie ewolucyjnym obok wieloletnich systematycznych badań i obserwacji o charakterze naukowym, często pozornie nie związanych z praktyką wytwórczości, równocześnie rozumowania doraźne o charakterze empirycznym bardzo wydatnie się przyczyniały i nadal przyczyniają do udoskonalenia organizacji produkcji i powiększenia jej wydajności.

Na tle przeżywanego w dobie obecnej kryzysu wytwórczości przemysłowej w Polsce, który z wzrastającą siłą daje się odczuwać po wprowadzeniu stabilizowanego pieniądza, ciekawem jest zajrzeć właśnie do przemysłowej wytwórczości Stanów Zjednoczonych, które także przeżywają poważny kryzys przemysłowy, jednakże są już na dobrej drodze do wyjścia z przesilenia. Wprawdzie przyczyny kryzysu przemysłowego w Stanach Zjednoczonych były całkiem odmienne niż u nas, będą też musiały być u nas nieraz stosowane odmienne środki zaradcze. Niejedno jednak z doświadczeń amerykańskich powinnoby się przyczynić do oświetlenia drogi także i u nas. Dlatego też podaję poniżej szereg obserwacyj z codziennej praktyki przemysłu amerykańskiego, w których jaskrawie uwidoczniają się tendencje w kierunku jak największej oszczędności we wszystkich procesach wytwórczości.

PRZEMYSŁ STAJE SIĘ SKNERĄ

W okienku rekwizytów wielkiego zakładu przemysłowego ukazał się monter, cisnął na ladę kwitek z zapotrzebowaniem i zawołał do starannie uczesanego młodzieńca przy okienku: „Dajno mi, chłopcze, trochę płótna szmerglowego".

Bez spojrzenia na kwitek chłopak chwycił około tuzina arkuszy z zapasu obok leżącego, podał je monterowi, nasadził kwitek na ostrze i, zadowolony z dokonanej czynności, przygładził swe lśniące włosy.

Odchodząc do swego śrubsztaku robotnik rzucił uwagę:

„Tu mają tego jak śmiecia".

Tak było parę miesięcy przed podpisaniem zawieszenia broni w 1918 r., gdy przemysł wrzał jeszcze w tempie czasu wojennego.

Sześć miesięcy temu ten sam monter poszedł do okienka rekwizytów po nową porcję płótna szmerglowego.

Lecz nie znalazł tam już starannie zaczesanego młodzieńca. Rekwizyty były pod pieczą starszego jegomościa lat 60-ciu; przesunięto go na to stanowisko z lepszego, któremu już nie mógł sprostać. Była także mała zmiana w zażądawczym kwitku: stało w nim 6 arkuszy. Jegomość przy okienku podał 2 arkusze z uwagą: „Jak pan zużyjesz te dwa — przyjdź po nowe dwa. Okienka zawsze otwarte w godzinach pracy. Ten materjał kosztuje, Dżim; firma przestaje szafować rekwizytami bez miary".

NAGANIACZ ZASOBÓW

— Tam do djabła, — zawołał zdziwiony monter i dodał: — to ci się sknera zrobiła z tej firmy! Co się tu stało naraz?

— Bardzo prosto—była prędka odpowiedź. — Stała się oszczędną, bo musi, jeżeli nie ma pracować ze stratą; a zresztą wszelkie marnotrawstwo nie ma najmniejszego sensu. — Dla jakiej wolałbyś pan pracować firmy: dla takiej, co nie marnuje zasobów i panu marnować nie daje, czy też dla rozrzutnej i nieporządnej? Która będzie trwalsza i która będzie w możności płacić stale dobre zarobki?

— Zrozumiałem, Tom — odrzekł monter.

Obecnie nie chodzi on już wcale do okienka po rekwizyty; z czego też jest bardzo zadowolony, ponieważ, pracując od sztuki, chce wykorzystać każdą minutę.

Inny pracownik, przeniesiony z pomniejszego stanowiska nadzorczego, na którem ze względu na swój wiek był już nieodpowiedni, jest teraz naganiaczem zasobów. Chodzi on od imadła do imadła,

patrzy, jakich rekwizytów potrzebuje każdy robotnik i dostarcza mu je. Jest on typowym okazem nowej armji oszczędnościowej, która była sformowana w tym celu, by obniżyć koszty produkcji. Jak dalece „naganiacz zasobów" posuwa oszczędnościową kampanję, widać z tego, iż jest stosowana, gdzie tylko się da, zasada zwrotu zużytych zasobów przy otrzymaniu nowych. Gdy np. robotnik potrzebuje płótna szmerglowego, musi zwrócić stare arkusze. Toż samo z innemi zasobami.

Monter, mówiąc, że firma stała się sknerą, wiele przez to wypowiedział. Jest to właśnie coś, co cały przemysł obecnie przeżywa, nie pomijając w swych dążeniach najdrobniejszego szczegółu.

Incydent opisany powyżej miał miejsce w zakładzie wielkiej firmy, gdzie, z konieczności, każde odchylenie od rutynowej praktyki musi być gruntownie przemyślane i opracowane, zanim będzie zastosowane systematycznie w całej organizacji, obejmującej wiele tysięcy ludzi. Wysoki funkcjonarjusz tej firmy, opowiadając incydent, zauważył:

„Stanęliśmy wobec nieubłaganej konieczności. Wszystkie koszty stałe uparcie trzymają się na wysokości maksymalnej czasu wojennego; jedyna droga zbawienia dla nas szła w kierunku radykalnego obcięcia wszystkich kosztów, nadających się do tego, i w zastosowaniu jak najsurowszej oszczędności.

W każdym większym zakładzie pierwsze pytanie co do jakiejkolwiek radykalnej zmiany ustalonej praktyki brzmi: „Jak przyjmą ją ludzie". Innemi słowy, gdzie pracuje tysiące osób, niema żadnej możności zastosowania nowych metod, o ile nie ma się ludzi za sobą. Ich zachowanie się decyduje o powodzeniu lub niepowodzeniu wszelkiej reformy. Jeżeli się coś wprowadzi, co jest im powszechnie niemiłe, jedni pójdą gdzie indziej, powodując zmiany ludzi i wzrost kosztów robocizny, który pochłonie całą oszczędność osiągniętą. Zaś ci, co zostaną, zdławią nowe poczynania brakiem swego poparcia.

„Gdyśmy byli zmuszeni do narzucenia rygoru oszczędności, sięgającego głęboko i wnikającego we wszystkie szczegóły, funkcjonarjusze i główni pracownicy wykonawczy byli proszeni o wypowiedzenie sądu, co do tego, jak przyjmą to ludzie: czy wezmą nas za dusigroszów, tracąc respekt dla firmy, czy też wykażą racjonalny pogląd na sprawę?

Przeważyło zdanie, że inteligentniejsi z pośród robotników zajmą stanowisko przychylne, zrozumieją bowiem, że firma, która stosuje celowe oszczędności w przeciwstawieniu do firmy rozrzutnej i źle zorganizowanej, stworzy lepsze warunki swej egzystencji i rozwoju, wskutek czego będzie mogła lepiej opłacać swych robotników i pracowników.

Następne pytanie było, jaką drogą ten racjonalny pogląd rozpowszechnić, jak skłonić bardziej inteligentnych pracowników do wywarcia wpływu na tych, którzy sami nie mogą się zorjentować w sytuacji.

Do tego celu poszliśmy wszystkiemi możliwemi drogami: jedna polegała na tem, by wszystkich ludzi, będących w stałej i bliskiej styczności z personelem produkcyjnym, zrobić czynnymi propagatorami idei oszczędności, jako czynnika dodatniego, z punktu widzenia robotnika.

Tu mieliśmy okazję ubić dwa zające jednym strzałem: upatrzyć jednostki personelu nadzorczego, które bylibyśmy zmuszeni pensjonować, przenieść na niższe stanowiska, czy też wydalić; jednocześnie zaś podnieść poziom inteligencji pracowników na mniej odpowiedzialnych stanowiskach.

Człowiek, który był majstrem lub przodownikiem, z natury rzeczy zna się lepiej na rekwizytach, narzędziach i materjałach, niż zwykły chłopak. Prócz tego taki osobnik cieszy się większym autorytetem wśród robotników.

Wszystko to zazębiało się bardzo składnie z naszemi dążeniami w kierunku pozyskania robotników dla naszej kampanji przeciw marnotrawstwu.

Gdzie tylko się dało, postawiliśmy pomniejszych naszych funkcjonarjuszy, podlegających redukcji lub przeniesieniu na niższe stanowiska, w charakterze dozorców rekwizytów, naganiaczy zapasów i t. p. Przytem postaraliśmy się, by wszyscy oni pojęli konieczność ścisłej oszczędności i zdali sobie sprawę z tego, że na nich ciąży odpowiedzialność za właściwe zrozumienie całej sytuacji przez robotników.

Ich powodzenie przeszło wszystkie nasze oczekiwania. Że naganka oszczędnościowa wywarła dodatnie wrażenie na ogół robotników, a nie odwrotnie, zawdzięczamy to w znacznej mierze wyborowi naszych pracowników. Robotnicy w tem dążeniu do eliminacji rozrzutności i obniżenia kosztów produkcji są bezwzględnie po naszej stronie. Nie mogę narazie wyjawić, ile setek tysięcy dolarów zaoszczędziliśmy dla firmy i dla naszych odbiorców, lecz tyle powiem, że są to sumy wprost zdumiewające.

MISJONARZE OSZCZĘDNOŚCI

Ludzie, którzy zostali przeniesieni na niższe stanowiska uboczne, jak dozorcy czasu, pracy, dozorcy rekwizytów i t. p., wywierają na poziom duchowy całej organizacji bardzo dodatni wpływ, którego nie można się było spodziewać, gdy te stanowiska były obsadzone przez młodocianych chłopców.

Każdy odbiorca krajowy jest bardzo żywotnie zainteresowany w tym wytężonym wysiłku przemysłu, który ma na celu usunięcie wszelkiego marnotrawstwa, a więc i obniżenia kosztów wytwórczości. W rzeczywistości też nie kto inny, jeno



Courtesy of «The N. Y. Times» *Henry Ford—największy zwolennik największego sknerstwa w przemyśle. Sknerstwo jego dało w wyniku najtańsze automobile i traktory oraz najlepsze zarobki robotnikom.—Widzimy go na rysunku w Dniu Dziękczynienia, w którym to dniu każdy Amerykanin musi mieć na stole indyka.*

sam odbiorca, był główną sprężyną, powołującą do życia tę wielką kampanję oszczędnościową w przemyśle. Zrobił to — żądając więcej wzamian za swego dolara i narzucając to swe żądanie przez wstrzymanie się od kupna po cenach istniejących. Żaden strajk nie jest ostrzejszy od strajku kupujących; nie chybi on nigdy obniżenia cen, o ile jest szczery, zdecydowany i ekonomicznie uzasadniony.

Wiedziony instynktem samozachowawczym, przemysł zabrał się do obniżenia cen dla konsumenta, pomimo iż stoi on wobec pewnych ustalonych już wysokich kosztów produkcji, które się nie dadzą obniżyć.

Dobra to nowina dla konsumentów w Stanach Zjednoczonych, — przeważnie robotników — że najlepsze głowy w przemyśle pracują bezustannie nad obniżeniem kosztów produkcji zapomocą walki, wypowiedzianej marnotrawstwu. Usunięcie bowiem marnotrawstwa nie odbiera nikomu kawałka chleba. Jest to zarówno najbardziej inteligentna, jako też najbardziej ludzka forma ograniczenia się w wydatkach wytwórczości przemysłowej. W przeciwieństwie do obniżenia płac robotniczych lub redukcji, środek ten nie uszczupla zdolności kupczej wśród publiczności.

Jak dalece, w istocie, wysiłek ten pozwoli sprostać sytuacji, stworzonej przez zniżkę cen wszystkich prawie artykułów, nikt obecnie nie jest w stanie dokładnie przewidzieć. Nie ulega jednak wątpliwości, iż pomoc ta będzie bardzo znaczna.

Dotychczasowy postęp w ogólnym ataku Stanów Zjednoczonych na bezcelowe marnowanie materjałów i sił ludzkich w przemyśle wykazuje, że konsumenci od początku wojny światowej, kupując towary płacili więcej za koszty marnowania, niż przypuszczali nawet najwięcej spostrzegawczy działacze przemysłowi. Panuje obecnie przekonanie, iż było to większym nawet ciężarem, niż ręka poborcy podatkowego.

To, co ongi byłoby uważane za robienie oszczędności drobnostkowych, dzisiaj da się obserwować na każdym kroku we wszystkich przedsiębiorstwach. Doniedawna wielkie firmy często wcale nie dbały o drobnostkowe oszczędności. Dzi-

(Dalszy ciąg p. str. 54)

Rozmach Amerykański

Ze wspomnień o Ameryce

Napisał Antoni Ossendowski

Przypominam sobie dwa dziwaczne spotkania... Dziwaczne, lecz nad wyraz pouczające i otwierające drogę do zrozumienia Ameryki.

Było to gdzieś pod Nowym Jorkiem, w małej mieścinie, dokąd w niedzielę zawiózł mnie samochodem mój przyjaciel, szukający tu odpoczynku po pracy biurowej i zgiełku życia nowojorskiego.

Cały dzień spędziliśmy śród łanów dojrzewającej pszenicy i zjedliśmy przyrządzone w domu śniadanie pod owocowemi drzewami u jakiegoś drobnego farmera.

Po zachodzie słońca powracaliśmy na stację kolejową, gdzie zostawiliśmy samochód. Był to duszny, upalny wieczór, droga pełna kurzu. Zmęczeni całodzienną włóczęgą szliśmy powoli, co chwila ocierając pot z czoła i marząc o szklance zimnej wody sodowej, gdyż pragnienie dotkliwie nam dokuczało.

Do stacji jednak mieliśmy jeszcze spory kawał drogi.



Ferdynand-Antoni Ossendowski.

Nagle na zakręcie ścieżki zjawił się młody chłopak i dźwięcznym, chociaż „fachowym" głosem z miejsca zaczął robić „business".

— Woda zwykła lub mineralna tylko na chwilę ugasza pragnienie, szanowni gentlemeni, natomiast suszone rodzynki radykalnie zabijają przykre uczucie pragnienia. Proszę sprawdzić... Pięć centów!

Mówiąc to, szybko wyjął z kosza dwie małe papierowe torebki i podał je nam. Zapłaciliśmy po pięć centów i zaczęliśmy skwapliwie żuć rodzynki, dość ironicznie spoglądając na siebie i jednocześnie myśląc o tem, że daliśmy się nabrać na taką prostą, lecz dobrze obmyśloną reklamę. Jednak, rodzynki były istotnie bardzo dobre i doskonale pomogły nam na pragnienie.

Poszliśmy dalej w towarzystwie businessmana, który nie przestawał mówić o sobie, swoim wynalazku i swoim interesie, który jakoby świetnie mu się zapowiadał.

Boże wielki — mówił z melancholijnym uśmiechem politowania — zacząłem ten interes przed miesiącem. Sprzedawałem rodzynki wprost z kosza, bez opakowania, doprawdy, nie był to dobry towar, gdyż kupowałem najtańszy, nieoczyszczony i nieodsortowany gatunek. Nie miałem wcale mieszkania, żyłem nie będąc pewnym jutra, klijentami moimi byli żebracy, dzieci tragarzy portowych i inna „arystokracja" tego rodzaju. Jednak, dżentelmeni, ciułałem cent po cencie, dolar po dolarze. Teraz sprzedałem panom towar wprost standartowy, w najlepszym gatunku, w przyzwoitem opakowaniu, zabezpieczającem go od kurzu. Pięciu moich agentów (wymówił to z dumą) wraz ze mną sprzedają te paczki w najbardziej uczęszczanych przez publiczność zamiejskich ustroniach oraz w pociągach, gdzie duszno, gorąco i natłoczono.

— Rodzynki tam są bardzo pożądane — zauważył mój przyjaciel, nabywając nową paczkę. Poszedłem za jego przykładem.

— Naturalnie! — odparł, uśmiechając się. — Ale to jeszcze mały interes. Marzę o dobrej reklamie i własnym sklepie w najbardziej uczęszczanem przez publiczność miejscu. Tymczasem, nie posiadam potrzebnego kapitału, lecz za dwa — trzy miesiące...

Przerwał, gdyż spostrzegł wielkie towarzystwo, które się wlokło szosą, zmierzając ku stacji. Widzieliśmy, jak wyłowił kilkanaście pięciocentówek i bezustanku mówił i mówił.



Poskramiacz wężów (wipery i okularnik afrykański, czyli „naja") — Marakesz. Południowe Marokko.

W parę miesięcy później czytałem w dziennikach huczną i błyskotliwą reklamę o znaczeniu rodzynków dla zdrowia. Były tu i nauka i poezja, i zrozumienie wymagań kupującej publiczności. Przedsiębiorczy młodzieniec zapowiadał sprzedaż rodzynków za 10 centów w pięknych torebkach z różowej higjenicznej merli, nadających się na prezent „dla dzieci, dziewczyn i starców". Uśmiechnąłem się, czytając tę huczną reklamę i nie wątpiłem, że mój znajomy posiada już własny sklep i że po kilku latach ze skromnych 10-centówek i różowych torebek wybuduje sobie drapacz nieba i zacznie myśleć o tem, co ma teraz uczynić z częścią dochodów, aby służyły ludzkości lepiej od rodzynków.

W roku zeszłym otrzymałem wiadomość od swego przyjaciela, że nasz młodzieniec wprawdzie nie zbudował sobie jeszcze drapacza, lecz wynajął już wyłącznie dla swego interesu kilka plantacyj wina w Kalifornji i ufundował trzy stypendja dla najbardziej pomysłowych uczniów jakiejś szkoły handlowej.

A więc już zaczął...

* * *

W porcie nowojorskim wstąpiłem pewnego dnia do wielkiej budy, gdzie za ladą stał otyły, łysy jegomość i bezustanku krzyczał na kilkunastu parobków, zajętych gorączkowem otwieraniem ostryg. Zjadłem przy ladzie swoją porcję i przez cały czas obserwowałem pracę, wrącą w budzie. Migały w powietrzu ręce, błyskały krótkie noże, schylały się i wyprężały grzbiety, latały odrzucane do koszów muszle. Zdawało mi się, że widzę w ruchu jakąś bardzo skomplikowaną maszynę, poruszającą kilkunastu kołami, wahadłami i tłoczniami, a ożywioną niewidzialnym motorem, ukrytym gdzieś w głębi tej budy, przesiąkniętej wonią morza, ryb, krabów i ostryg.

Po namyśle, zrozumiałem, gdzie się mieścił ten motor. Leżał on w kasie otyłego, łysego właściciela tego składu ryb i ostryg i restauracyjki „à la fourchette". Był to wszechpotężny dolar. Takie było pierwsze wrażenie, lecz tegoż wieczoru przekonałem się, że działał tam też inny motor, o wiele szlachetniejszy, a zrozumiały i bliski dla każdego prawdziwego Amerykanina.

Otóż zwabiony dziwnym obrazem takiej wytężonej, gorączkowej pracy, której niemal że bez wytchnienia oddawali się Amerykanie, Włosi, Niemcy i Chińczycy, tegoż samego wieczoru przyszedłem znowu do tej restauracji.

Praca już się skończyła, i robotnicy sprzątali budę, wynosząc kosze z muszlami, zmywając stoły i kubły i zamiatając podłogę.

Po kolacji wychodziłem jednocześnie z tłumem robotników. Na rogu ulicy jeden z nich, chudy, barczysty o młodej, lecz poważnej twarzy blondyn poprosił mnie o zapałkę. Podałem mu pudełko, a w czasie, gdy on, zapalając fajkę, pykał zawzięcie dymem, zacząłem go rozpytywać o jego pracę. Rozgadał się szybko, co widząc, zaprosiłem go na kawę do pobliskiego „saloon"'u.

Tu, wypocząwszy trochę, umieścił nogi na wolnem krzesełku, wyciągnął się z rozkoszą, prostując kark i ramiona i zawołał:



Antoni Ossendowski śród ruin rzymskiego miasta Volubilis (Centr. Marokko).



Fez (Marokko) Święto Nendzedi na cmentarzu Bab-Tetouh. Zdjęcie p. Ossendowskiego z podróży po Afryce.

— A co potem będzie? — spytałem.

— Założę swój bar z ostrygami, przyciągnę do siebie najlepszych odkrywaczy i zwabię publiczność reklamą.

A później?

— Jak tylko dobrze pójdzie, zacznę uczęszczać na kursy wieczorowe. Brakuje mi, sir, uczoności. Bez tego teraz żyć trudno i głupio.

Rozstaliśmy się z Billy Clagg'em, któremu obiecałem koniecznie przyjść na walkę z ostrygami, jak on to nazwał.

Nazajutrz o 10-ej rano byłem już na miejscu zabawnego turnieju. Około stu odkrywaczy ostryg, stu ludzi różnych narodowości i barw stanęło przy olbrzymim stosie ostryg. Na dany znak zaczęła się robota.

— Dziś to nic jeszcze, tak sobie — zwykła praca, ale jutro będzie gorąco!

— Czy jutro macie więcej obstalunków i gości? — zapytałem.

— Nie! Jutro mamy konkurs doroczny. Staną do współzawodów najlepsi otwieracze ostryg, a ten który pobije zeszłoroczny rekord — dostanie premjum. Cały tysiąc dolarów! Rozumie pan? Tysiąc dolarów! To już kapitał.

— A jakiż był rekord? — zapytałem znowu.

— 2400 ostryg „New-Haven" na godzinę! — wykrzyknął z zachwytem. — I wie pan co? Zrobiłem w zeszłym roku 2260. Pobił mnie Włoch Simonino od Czarnego Jacka, ale nieuczciwie. Bo to, widzicie, zagapiłem się, a on obcasem złamał rękojeść mego noża, który leżał na ziemi. Odrazu spostrzegłem to, gdy się zaczął konkurs, ale już nic nie mówiłem i robiłem, chociaż drewno właziło mi w dłoń i krwawiłem, jakgdybym był rzeźnikiem od chicagowskiego Armour'a. Teraz znowu jutro zmierzymy się z Simonino, lecz będę na niego baczne miał oko. Thats' boy!

— Zrobicie mu takiż kawał — będzie miał za swoje! — zauważyłem, oburzony na zdrajcę Włocha, którego nigdy na oczy nie widziałem.

Mój nowy przyjaciel nagle podniósł głowę i błysnął oczami.

— Jestem Amerykaninem — rzekł z dumą — my uznajemy konkurencję nie jako kopanie dołków pod przeciwnikiem, lecz prześcignięcie go w pomysłowości, pracowitości i energji. Mam ja na niego inny sposób. Wezmę swoje 1000 dolarów!

Śledziłem za Billy i odrazu zrozumiałem, że on musi zwyciężyć. Wynalazł, nie znając teorji Taylor'a, zupełnie ten sam sposób pracy. Inni współzawodnicy pracowali szybko, niektórzy nawet może szybciej od mego przyjaciela, lecz wykonywali szereg przeróżnych, całkiem niepotrzebnych ruchów, co chwila próbując nowych. Billy zaś robił zupełnie jednostajne ruchy, automatyczne, prawie matematycznie jednakowe w czasie i w przestrzeni. Gdym mu się przyglądał, sprawiał mi wrażenie maszyny, pozbawionej duszy i nerwów.

Schylał się po muszlę, otwierał ją błyskawicznem uderzeniem noża, wyrzucał mięczaka do ku-

(Dalszy ciąg patrz str. 52)



Antoni Ossendowski (×) na polowaniu na dziki w górach Wielkiej Kabylji.

U źródeł potęgi japońskiej

Praca indywidualna i zbiorowa, oparta na najnowszych wzorach amerykańskich i zachodnio-europejskich stwarza nawet w Azji najwyższą kulturę nowoczesną

Nawet przygodny podróżnik w przejeździe przez Japonję może łatwo zaobserwować niemal na każdym kroku wydajność pracy japońskiej. Jeszcze z okrętu pierwszy rzut oka chciwie ogarnia brzeg wysp Japońskich i podróżnik oczarowany cieszy się już widokiem obfitej, bujnej roślinności, która gęstym lasem pokrywa strome góry, a zielenią ryżowych pól, wszelkich krzewów i drzew owocowych szczelnie wypełnia doliny i płaszczyzny. A gdy podróżnik wstąpi na ląd tych wysp, zazwyczaj wpada w zachwyt, ujęty pięknem i bogactwem otaczającej go zewsząd przyrody i estetycznym wyglądem japońskich zabudowań... Niejeden, rozmyślając później o tem pierwszem, zazwyczaj silnem wrażeniu zachwytu, nieraz przychodzi do wniosku, że to pewnie klimat i bogactwa samej przyrody są twórcami tak pięknej całości. Dopiero bliej poznając kraj, porównywając go z krajobrazami sąsiadujących z Japonją terenów, zdumiony podróżnik coraz częściej zauważa, że twórcą tego piękna, jeśli nie wyłącznie, więc w znacznej mierze jest człowiek — przedsiębiorczy, pracowity, i wytrwały Japończyk. Góry okryte lasem wzbudzają tylko zachwyt swoją urodą; gdy zaś wejdzie się na pochyłe płaszczyzny górskie i ujrzy się równe szeregi zasadzonych drzew tych lasów, podziw przenosi się i na przedsiębiorczych, energicznych ludzi, co potrafili niestrudzonemi dłońmi zasadzić nawet strome spady górskich grzbietów... Im dłużej się kraj ten poznaje, tem więcej jasnem się staje, że... to wydajność pracy japońskiej potrafiła przekształcić wyspy Oceanu Spokojnego w tak piękny kraj, kwitnący bujną przyrodą, obfitujący w owoce wszelakie i żywność, skrzętnie zabudowany pięknem i wygodnem domostwem mieszkańców, gęsto zaludniających i głębokie doliny, i spadziste góry, w kraj, w którym istotnie

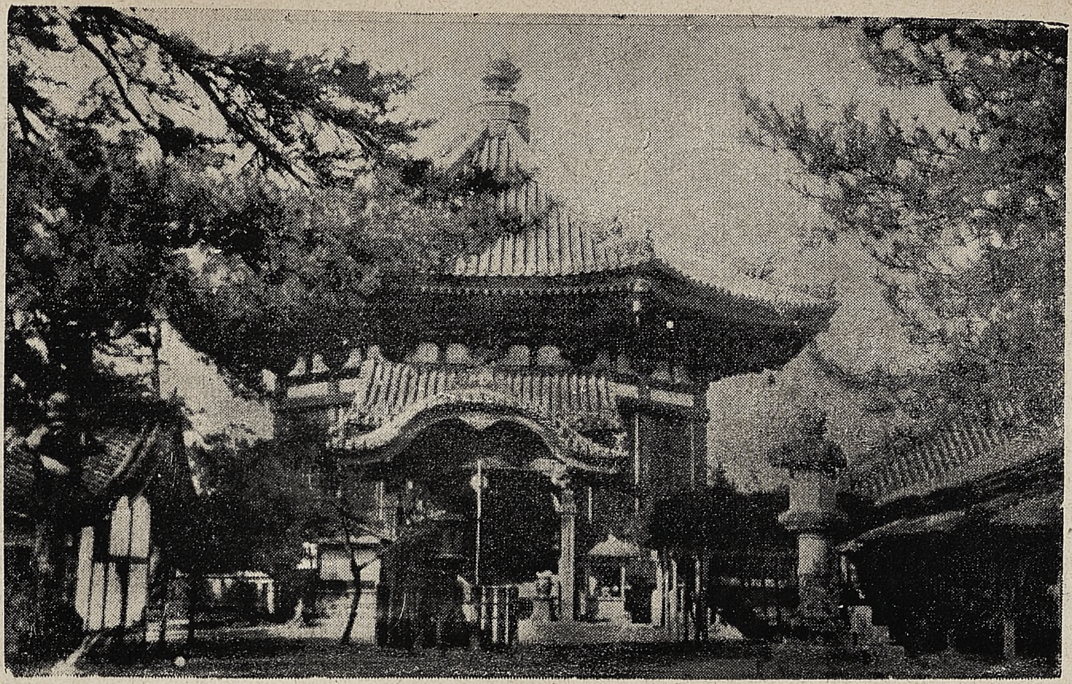


Jedna z najpiękniejszych w świecie gór, majestatyczna Fudzi-san, która wedle legendy japońskiej zjawiła się pewnej nocy na skorupie ziemskiej w wyniku trzęsienia ziemi.—Podnóża jej są pokryte sztucznie zasadzonemi lasami.

bodaj każdy metr ziemi został najintensywniej wykorzystany w sposób najdalej idący i najdoskonalszy. Te wrażenia łatwo sprawdzić wszędzie: i w mieście, i na wsi. Dla przykładu weźmy tak liczne w Japonji pola ryżowe. Równe płaszczyzny, czasem idealnie prostokątne jak olbrzymie szachownice, często wielokątne o najrozmaitszych geometrycznych formach, lecz zawsze o tak równych płaszczyznach, jakby każda z nich została najdoskonalszemi przyrządami niwelacyjnemi wyrównana. W pewnym okresie widzimy je zatopione wodą o tak równej powierzchni jak tafla lustrzana. Widok ryżowych pól w dolinach jednak nie jest tak „frapującym" jak na pochyłościach gór i często nawet na mniej lub więcej ostrych spadach... Tam zdumiony podróżnik widzi tak samo równe, tylko mniejsze w rozmiarach pola ryżowe... sięgające zaledwie kilku, najwyżej kilkunastu metrów płaszczyzny... Jedno pole przytem leży zawsze o kilka, czasem o kilkanaście centymetrów niżej drugiego... Ze szczytu górskiego wypływający strumień, ujęty w serpentynę kanału, zwalniającego jego bieg, wpada na pierwsze takie ryżowe pole, rozpływa się po niem równą taflą i następnie gdzieś na jednym rogu tego pola znajduje otwór, przez który łagodnym kilkucentymetrowym spadem spływa na pole niższe, rozpływa się po niem znowu płaską, rozległą na kilka lub nawet już kilkanaście metrów taflę, na drugim końcu tej płaszczyzny znowu znajduje otwór, czasem prowadzący do głębokiego łożyska, po którem strumień serpentyną przebiega ostre, skalne spady, aby ponownie wstąpić na nowe pole ryżowe, czasem okrąża go wstęgą i stopniowo zniżając się, wlewa się wachlarzem na pole, tworząc nową taflę lustrzaną, znika w tunelu, by ukazać się ponownie w pobliżu niżej położonego pola i zrosić go tak, jak już zrosił poprzednie... W ten sposób jeden strumień zrasza dziesiątki, nieraz setki pól małych i większych, aż po odrobionej tej całej pracy, nieraz przeskoczywszy w bambusowych lub nawet żelaznych rurach głębokie rowy lub przepaści, wybiega na większą płaszczyznę, kanałem zdąża do domostwa pobliższego, tam oddaje swemi gałęziami wodę w szerokie koryta dla potrzeb gospodarczych, na małym młynku zmiele jakieś ziarno i za domostwem znowu ukaże się w twardem łożysku żwirowego kanału, po którym wpada na nowe pola i niezliczoną ilość razy znowu zrasza dziesiątki i setki innych pól i t. d. od domostwa do pól i od pól do domostwa. A jeśli zdarzy się wypadek natrafić raptem na pole, leżące wyżej od już zroszonych, strumień cokolwiek rozszerza się, jakby w malutki, głęboki stawek podłużny. Na końcu kanału widzimy wysokie młyńskie koło i biegnącego na nim Japończyka, który ciężarem własnego ciała podnosi wodą napełnione w kole czerpaki i jasnym strumieniem przerzuca wodę o metr wyżej, czasem jeszcze wyżej... a dalej strumień już znowu samodzielnie biegnie szukać pracy na nowych polach i w nowych domostwach. Ileż w tem wszyst-



Starożytny sztych przedstawiający Samuraja wojskowego przed europeizacją Japonji.



Świątynia Buddyjska w Nikko.

kiem wydajnej pracy, rozumnego systemu i nadzwyczajnych pomysłów w wykorzystaniu jednego strumienia dla tak różnorodnej, owocnej pracy... Od najdawniejszych czasów ustalił się przytem zwyczaj, że każdy, kto przeprowadził w polach ryżowych podobną irygacyjną kulturę, otrzymywał od rządu koncesję na uprawę pola w ciągu swego życia i życia dwóch następnych pokoleń...

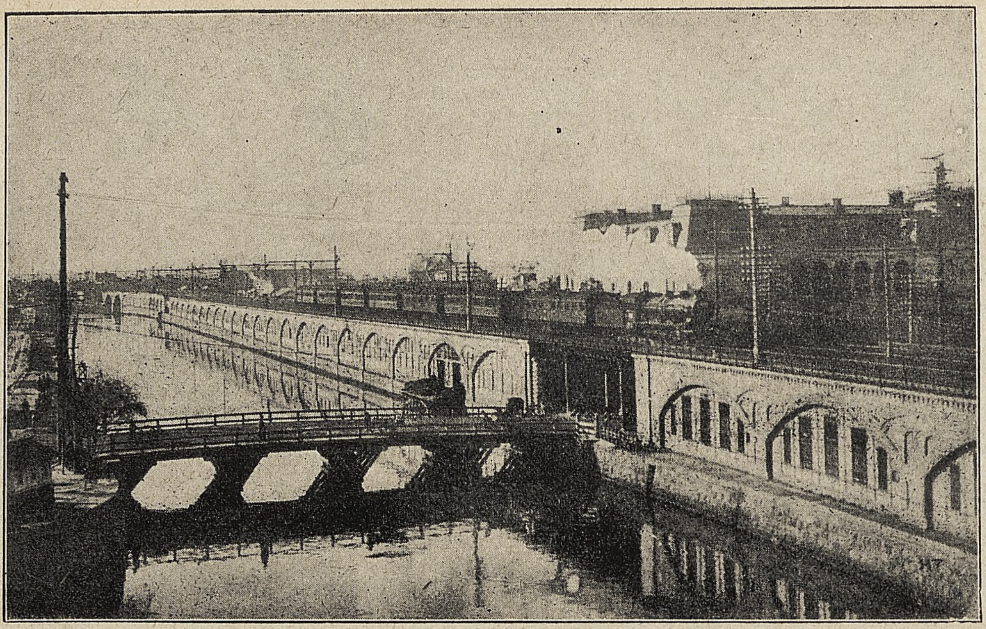
Taką samą wydajną, rozumnie pomyślaną i precyzyjnie wykonaną pracę Japończyków można zaobserwować wszędzie w innych dziedzinach... Tak, że naogół należy przyjść do wniosku, że tam, w pięknej Japonji sprężysta myśl ludzka i wydajna praca wydobywają dla swej ludności z ziemi „maximum" korzyści wszelkiej i życie mieszkańców umiejętnie regulują w sposób wysoce kulturalny, dając możność najszerszym warstwom ludności korzystania z najlepszych zdobyczy cywilizacji tak materjalnych, jak duchowych. Piękno i urodę krainy „wisien i chryzantem" stworzyła praca ludzka!

Gdy przed Japonją otwarła się droga do nowej, przedtem wcale nieznanej cywilizacji Europy i Ameryki, Japończycy potrafili określić swój do niej stosunek, uznać w niej dużo nowego materjału odpowiedniego do wykorzystania w swoim kraju i potrafili w b. prędkim czasie znaleźć sposób, w jakiby mogli dosięgnąć do serca i mózgu tej cywilizacji, aby najcenniejsze jej skarby przynieść do dalekiej swojej krainy i wzbogacić niemi swój naród.

Japonja — ten jedyny na globie ziemskim mały kraj, który jeszcze przed 60, nawet 50 laty był dla Europy nieznanym, który Europy wcale nie znał, potrafił w przeciągu kilkudziesięciu lat doskonale zaadoptować najcenniejsze zdobycze zupełnie mu obcej cywilizacji i jak w bajce mocą różdżki czarodziejskiej przed zdumionemi oczyma Europy i Ameryki stanąć jako postępowe państwo obok największych mocarstw całego świata.



Uprawa ryżu w Japonji na równinach.



Kolej w centrum Tokjo, przechodząca przez całe miasto wiaduktem.

Zdziałały to: wyjątkowa wydajność pracy japońskiej i doskonała jej organizacja — właśnie te dwa czynniki, które stanowią główną treść naukowej organizacji pracy.

Zdawałoby się, że wobec tak wyjątkowej odrębności, jaka Japonję dzieliła od świata naszego — europejskiego, same nawet poznanie Europy dla Japończyków będzie zadaniem nielada trudnem do osiągnięcia. Przecie Japonję nic z Europą nie łączyło, odwrotnie, wszystko dzieliło i oddalało raczej: jej religja, etyka i estetyka, ideogramowe pismo, wszelkie obyczaje, cały ustrój życia, począwszy od domostwa i ubioru, a skończywszy na odżywianiu się...

A jednak... Bez znajomości całego szeregu języków europejskich, bez poprzedniego kontaktu, nie mając w Europie nikogo, ktoby mógł i chciał stać się pośrednikiem między nimi i ludami europejskimi, potrafili Japończycy sięgnąć wszędzie, poznać wszystko i wzbogacić swój kraj zdobyczami europejskiej cywilizacji.

W jaki sposób?

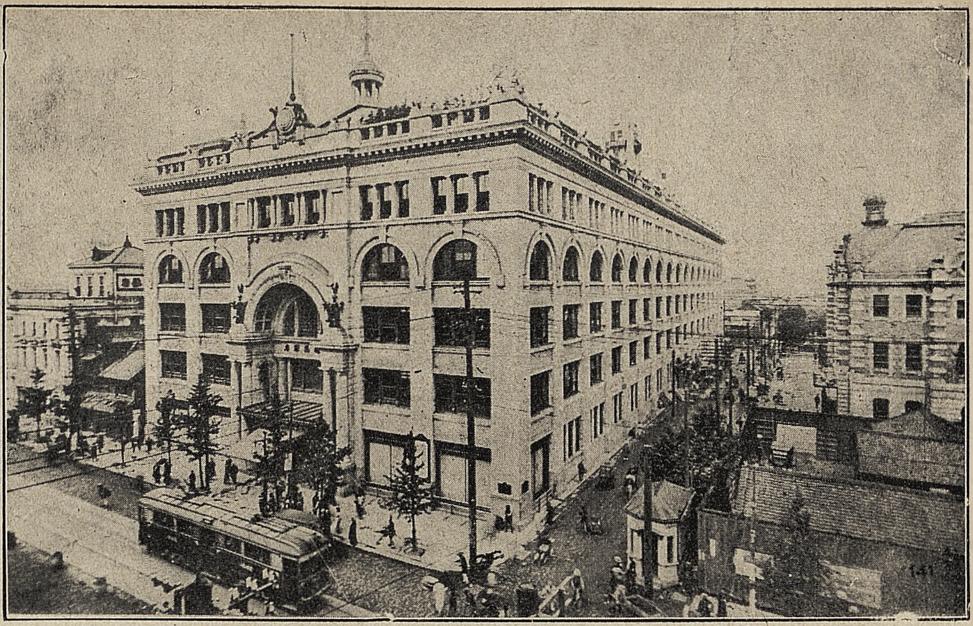
Japonja w ostatnich dziesięcioleciach ubiegłego wieku wysyła do Europy i Ameryki liczne zastępy swej młodzieży najzdolniejszej, która zjawia się naraz we wszystkich centrach ekonomicznej i umysłowej pracy europejskich i amerykańskich państw. Tam studjuje przemysł, handel, naukę, sztukę, literaturę, religje niemal wszystkich poszczególnych państw i narodów. Studjuje poważnie, uporczywie, umiejętnie. Młodzi, co zwykle pokończyli własne studja w Japonji, przechodzą i kończą w przeciągu 5 — 6 lat poszczególne fakultety różnych uniwersytetów europejskich i następnie jeszcze przez parę lat studjując obrane dziedziny piszą obszerne foljały sprawozdawcze z tych studjów. Starsi wykonywają trudniejsze zadania, zbierając obserwacje porównawcze w różnych krajach jednocześnie, badając systemy organizacji w różnych dziedzinach pracy, studjując uważnie organizmy państwowej pracy, ustrój i metody rządzenia narodami...

Po wykonaniu swych zadań wszyscy kolejno wracają do Japonji i tam w stolicy tak gorąco miłowanej ojczyzny składają owoce swej wieloletniej pracy. Wygląda to wszystko tak, jakby działała wówczas jedna wielka armja żołnierzy umysłowej pracy, która niezmiernie śmiało weszła na tereny obce, najbardziej odległe od swego państwa, zdobyła jednym wspólnym wysiłkiem wielki łup — złote runo europejskiej i amerykańskiej cywilizacji i ze zdobytych skarbów w drodze powrotnej nic nie uroniwszy, wróciła do Japonji i złożyła je swojej ojczyźnie. Ta armja, tak doskonale zorganizowana, musiała mieć, oczywiście, swój sztab generalny, musiała być doskonale, umiejętnie kierowaną, bo inaczej tak prędko i z takim sukcesem nie potrafiłaby zadania swego wykonać.

W Japonji z przyniesionych skarbów umiejętnie wybrano wszystko, co było potrzebnem dla życia narodu, wszystko, co mogło być zastosowane u siebie. A więc: konstytucyjny ustrój państwowy, nowoczesna organizacja wojska, policji, aparatu rządowego. Następnie koleje, elektryczność, telefony, fabryki wszelkiego rodzaju. Tworząc przemysł mały i duży, modyfikując program oświatowy, prawodawstwo, medycynę, wszystko reorganizując gruntownie. We wszystkich dziedzinach zostają zastosowane najnowsze metody i wszelkie zdobycze nowoczesnej cywilizacji.

W poszczególnych dziedzinach wiedzy i organizacji Japończycy zapożyczyli od każdej niemal narodowości wszystko najlepsze, co potrafiła poszczególna narodowość w tej dziedzinie u siebie stworzyć. Nieraz np. zapożyczając technikę jakiejś specjalnej gałęzi przemysłu od Amerykanów, administrację za jej zapożyczają od Anglików i t. p. Słowem, mając bogaty porównawczy materjał, Japończycy dokonali selekcji dobrze pomyślanej i również dobrze przeprowadzonej. Obserwujemy przytem, że Japonja wzorowała swoje nowoczesne prawodawstwo od początku na prawodawstwie przeważnie francuskiem. W handlu

stosuje zasady przeważnie angielskie, w przemyśle raczej — amerykańskie, zależnie zresztą od poszczególnej gałęzi przemysłu, w medycynie — niemieckie i t. d. Stąd właśnie i pochodzi ta oryginalna cecha społeczeństwa japońskiego, którego jedna sfera, jak naprzykład sfera lekarska włada językiem niemieckim, nie władając innemi językami europejskiemi, sfery prawnicze i wyższe sfery arystokratyczne łącznie z dworem Mikado, językiem francuskim, sfery handlowe władają wyłącznie językiem angielskim, sfery przemysłowe posługują się gwarą amerykańską.



Sklep uniwersalny „Mitsukoshi" w Tokjo, urządzony według najnowszych wzorów amerykańskich i europejskich.

W przeciągu lat zaledwie kilkunastu Japończycy przeistaczają swoje egzotyczne bezbronne wyspy w mocarstwo pierwszorzędnej potęgi. Cechują to mocarstwo: konstytucyjny, parlamentarny ustrój odwiecznej monarchji Mikado, najszerszy program oświatowy, który dał np. w roku 1920 szkół 40.525, uczniów 9.219.492, nauczycieli 205.609. Międzynarodowy handel o rocznym bilansie importu 2.335.955.281 yen, przy 2.095.415.467 eksportu. Flotę handlową o rocznym bilansie: okrętów z obcych krajów do Japonji przyszło w tym samym roku 1920 — 13.451 o pojemności 35.795.276 tonn czyli około 40 okrętów dziennie, pojemności około 100.000 tonn. Nowoczesna technika w przemyśle przedstawia się też pokaźnie.

Dość wskazać, że w tym samym 1920-ym roku, z którego czerpiemy cyfry statystyczne, konsumcja węgla daje następujące pozycje:

Okręty	6.015.935
Koleje	3.219.718
Fabryki	14 695.056
Saliny	778.003
Razem . .	24.708.712

Ponieważ Japonja wydobywa węgla 29.245.384, więc resztę eksportuje.

Od roku 1912 do 1921 liczba fabryk pracujących elektrycznemi motorami w Japonji wzrosła z 8.710 do 71.321.

12.000 kilometrów doskonałych kolei prezentuje swoją doskonałą technikę.

Zwycięskie wojny i przewidująca polityka mężów stanu stawiają Japonję w pierwszym rzędzie państw globu naszego, zdobywają jej poważny udział w polityce międzynarodowej i zabezpieczają wszędzie poważne stanowisko. Japończycy potrafili w ten sposób zaadoptować niemal wszystkie ważniejsze zdobycze cywilizacji Europy i Ameryki, a jednocześnie zachowali wszystkie wysokie walory własnej cywilizacji i wysokiej kultury. Podziwiamy w Japonji współczesnej wyjątkowy ogólny poziom kulturalny, niezwykłą siłę społeczeństwa oraz budowę jego życia codziennego, w którem zharmonizowane obok siebie pierwiastki higjeny, praktyczności „byznesowej", piękno estetyki i wybitnego patrjotyzmu składają się na imponującą całość. Nawet na emigracji japońska pracowitość zwraca na siebie uwagę. Dość wskazać na kilka poszczególnych przejawów tego życia w Stanach Zjednoczonych i na Hawajach. W Japonji każdy mieszkaniec tak miasta jak i wsi używa codziennej gorącej kąpieli (kiedyż my ujrzymy naszego robotnika i wieśniaka codzień używającego kąpieli?); w Japonji nowoczesna elektryczna lampka w starożytnym japońskim papierowym lampionie oświeca i wykwintne mieszkania inteligencji, i skromne domki robotników, i zaciszne chałupki wieśniaków. (Kiedyż my się tego doczekamy?). Elektryczne oświetlenie w Japonji ma o wiele szersze zastosowanie niźli w Europie. W roku 1912 istniało w Japonji 281 Towarzystw Akc. Elektrycznych z kapitałem 286.634.539 yen, a w roku 1921 — 633 z kapitałem 1.200.008.404 yen. Niezliczona ilość wodospadów przetwarza swoją energję w energję elektryczności. Okręty japońskie wstępują obecnie do portów wszystkich 5-ciu części świata. Handel rozrasta się zdumiewająco, zdobywając sobie rynki literalnie na całym świecie.

(Dalszy ciąg p. na str. 58)

Precz z kryzysem gospodarczym

Napisał Samuel M. Vauclain

Gdy dyrektor naszego zakładu przemysłowego nie zechce lub nie będzie mógł asygnować pieniędzy na kupno nowych maszyn i na zmiany w urządzeniach warsztatowych, które są nam potrzebne, to czyż poprzestaniemy tylko na westchnieniach i na dalszem czczem oczekiwaniu? Otóż nie, nie wolno nam siąść i oczekiwać biernie aż się coś samo zmieni, lecz powinniśmy zdobyć chociaż minimalne środki, które pozwoliłyby na dalsze prowadzenie roboty i na wykazanie, że pieniądze zużyte na ten cel nie były nowemi kosztami, lecz oszczędnością.

Racjonalność takiego postępowania przyznaną była zresztą jeszcze w tych czasach, kiedy nie wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, że aby zarobić pieniądze, należy je przedtem w pewnym stopniu wydać. Jakże często się zdarza, że kierownicy przedsiębiorstwa nie chcą już wkładać do interesu więcej pieniędzy, ponieważ nie widzą możliwości ich należytego oprocentowania lub że pewien interes zostaje zaniechany tylko z tego powodu, iż przy obecnych metodach pracy nie da on zysków, a nowych metod jeszcze niema. Zupełnie podobnie rzecz się ma z robotnikiem, który często nic nie zarabia, ponieważ nie może znaleźć pracy z takiem wynagrodzeniem, jakiegoby sobie życzył.

SAMUEL M. VAUCLAIN

Prezes amerykańskiej firmy „Baldwin Locomotive Works", w uznaniu zasług, jakie położył w zaraniu odbudowy naszego Państwa, został nagrodzony orderem Polonia Restituta. Pan Vauclain śród znanych byznesmenów amerykańskich zajmuje jedno z naczelnych miejsc i, jak wielu innych, doszedł do niego dzięki swej pracy wytrwałej, poczynając od najniższych szczebli pracy fabrycznej. Wzmianki o działalności p. Vauclaina na rzecz interesów Polski znajdzie Czytelnik w dwu artykułach niniejszego zeszytu: „Polska a Stany Zjednoczone" i „Komitet Stypendjalny Polsko-Amerykański". W artykule niniejszym p. Vauclain, jako człowiek, który może się wykazać ogromnem doświadczeniem w sprawach byznesu, daje nam kilka wskazówek, jak należy zwalczać okresy zastoju w życiu gospodarczem.

Nie tylko wśród przemysłowców, lecz i wśród rolników, robotników, urzędników biurowych i kupców utrwalił się taki sposób pojmowania sprawy, iż nie należy brać w rachubę tego, co się robi wogóle, lecz tylko to, co się wykonywa za cenę i w spbsób, które nam przypadają do gustu, i że jeżeli niema tych sprzyjających dla pracy okoliczności, to lepiej jest raczej nic nie robić. Mniemanie to stało się tem bardziej niewzruszone, iż, według ogólnie przyjętej teorji, warunki zmieniają się wraz ze zmianą sezonu lub konjunktury gospodarczej i że na to nic nie można poradzić.

Nie, — interesa nie poprawiają się same przez się: wiedzą dobrze o tem przedewszystkiem ci, którzy spędzili parę lat wojny w okopach... Interesa poprawiają się jedynie wówczas, gdy my sami je poprawiamy, a poprawić je, to trudna praca, która zanim zostanie ukończoną, nauczy nas pewnej p o k o r n o ś c i umysłu. Nic nie doprowadzimy do rozwoju i nic nie osiągniemy w okresie rozwijania się interesów przez samo pożądanie takowych.

Są pewne horoskopy na lepsze czasy, ale to nas nie zbawi, bo one znaleźć się zawsze muszą, ale człowiek nie może żyć samemi horoskopami Nie służą one zresztą do tego, aby zapowiadać nadejście w przyszłości suchotniczych rumieńców na obliczu naszego życia gospodarczego, lecz powiadają, że człowiek, posiadający dość sił do zwalczania złych okoliczności, może zdobywać środki swego bytu proporcjonalnie do swej mocy. Ziarna zboża dają się z łatwością oddzielić i odróżnić od sieczki, lecz pewna część tej sieczki nazywa w dalszym ciągu sama siebie zbożem i uchodzi za takowe jedynie z tego powodu, że wszędzie jeszcze znajdują się wierzący w to, iż z sieczki można drogą prawną zrobić zboże. Człowiek, nie mający odwagi stanąć na własnych nogach, żąda pomocy od tych, którzy poprzez pracę swą osobistą i wysiłek dochodzą do trwałej podstawy życiowej i oto dlaczego słychać zewsząd nawoływania, skierowane do rządu, aby pomagał słabym i ograniczał silnych.

Każdy człowiek powinien mieć niezaprzeczalne prawo do owoców swej własnej pracy. Drogą samego prawodawstwa nie osiągniemy nigdy dobrobytu, podobnie jak i nie przezwyciężymy niem bezrobocia. Kongres lub Sejm może dużo w tej sprawie uczynić dobrego, unicestwiając te sztuczne przeszkody na drodze do dobrobytu. Chodzi tylko o to, aby kraj cały widział, iż ciała prawodawcze nie stwarzają dla nikogo specjalnych przywilejów.

Każdy wysiłek, zmierzający do sztucznego stwarzania cen i posad dla pracowników, oddala nas tylko od realnego pojmowania kwestji. Tą realną kwestją jest — wziąć się do roboty, to jest cośniecoś zrobić i cośniecoś zarobić. Młodzieniec, poszukujący po raz pierwszy pracy, kontentuje się pierwszą lepszą znalezioną posadą i jest zadowolony, iż mu już płacą za jego robotę, lecz gdy nabędzie doświadczenia i wprawy w swej specjalności, to dopiero wówczas żąda wynagrodzenia, odpowiadającego jego życzeniom. Oto jest twarda droga życia, po której należy iść do powodzenia.

Jeżeli ktoś doradza przemysłowcowi lub rolnikowi utrzymywanie wysokich cen lub jakiś inny pospolity sposób, jako lekarstwo na zbyt ciężką walkę o byt, to jest on jego złym doradcą. Podobnie, jeżeli ktoś powiada robotnikowi, iż lepiej jest leżeć bezczynnie, aniżeli wziąć się do pracy za niższą płacę, jest także złym doradcą.



Samuel M. Vauclain.

Pracy jest bardzo wiele; wystarczy jej dla każdego; a i odłożyć może każdy coś na późniejsze lata, należy jednak przedtem usunąć te liczne, sztuczne przeszkody, tamujące naturalny rozwój życia ekonomicznego.

Płace zarobkowe nie wszędzie dają się obniżyć, lecz w niektórych wypadkach można je zredukować, aby można było wogóle dalej egzystować. To samo musi się stać z zyskami przemysłowców. Chodzi poprostu o to, aby zamiast wałęsać się bezczynnie w oczekiwaniu na to, czego pragniemy — wziąć się do tego, co nam jest w danej chwili dostępne. Rozpocznijmy tylko pracę, a już zarobki pracowników i zyski przedsiębiorcy znajdą się same przez się. Należy przedewszystkiem rozpocząć robotę, a wówczas zarówno pracodawca jak i pracownik, stawiający na pierwszym planie kwestję przystąpienia do pracy, znajdą się po upływie roku w jak najlepszych finansowych warunkach.

Podstawą każdego interesu jest klijent. Na cóż więc przydadzą się nam długie rozważania na temat obecnych ciężkich czasów, jeżeli nie potrafimy zadowolić naszych klijentów. Zamiast wmawiać w nich, że to, co czarne, jest białem, postarajmy się przekonać ich, że my i nasza robota jest uczciwą, a jeżeli posiada jeszcze jakiekolwiek braki, to w przyszłości ich mieć nie będzie. Wyeliminowanie niedokładności w wyrobach, a więc zabezpieczenie się od zarzutów ze strony waszych klijentów, że to, co im sprzedajecie, jest niedobre, otworzy wam najszersze rynki zbytu. Cała tajemnica sprzedawania kryje się nie w zdobywaniu wielkich zamówień, lecz w zjednywaniu sobie klijentów.

Tracąc jednego klijenta, bez względu na wielkość jego zamówień, tracimy część zasobów naszego interesu. Wielu z tych, którzy skarżą się, iż nie mogą zdobyć dla siebie zamówień, przekonaliby się, poświęcając temu nieco uwagi, iż ten brak obstalunków rozpoczął się z chwilą, gdy, dzięki swej zarozumiałości, utracili klijentów. Firmy ugruntowane na podstawie pieniężnej, lecz bez zasobu stałej klijenteli są szczególnie marnego gatunku.

Można niekiedy zdobyć sobie na przyszłość wielkie zamówienia, odradzając klijentowi kupno w obecnej chwili. Należy jednak zawsze pamiętać o tem, że klijent jest pierwszym. Jeżeli firma, bez względu na jej specjalność, szczerze pragnie zadowolić swych klijentów, to może nie obawiać się żadnych kryzysów, gdyż w przejściowych, najbardziej nawet niesprzyjających okolicznościach, będzie mogła jako tako egzystować. Jeżeli więc będziemy mieli wzgląd jedynie na pieniądze, to jest, gdy będziemy myśleli tylko o tem, ile możemy zarobić od klijentów, to nie zajedziemy w tych warunkach daleko, gdyż prędzej czy później — a zazwyczaj w krótkim czasie — uczynimy coś takiego, co zniechęci naszych klijentów do kupowania u nas.

Na sprawę wyszukiwania sobie klijentów należy patrzeć z punktu widzenia kredytu. Znając dobrze swego klijenta i chcąc mu sprzedać w taki sposób, aby i on sam na tej tranzakcji zarobił, można zazwyczaj doprowadzić sprzedaż do skutku, nawet i w tym wypadku, gdy obie strony nie mają pieniędzy. Sprzedając zaś mało znanemu i niepewnemu pod względem wypłacalności klijentowi, tylko dlatego, aby wogóle sprzedać, łatwo narazić się na kłopoty wskutek braku gotówki. Jeżeli jednak sprzedaje się w dobrem porozumieniu z kupującym, to wspólnie łatwiej znaleźć pieniądze. W razie możności, należy udzielić klijentowi kre-

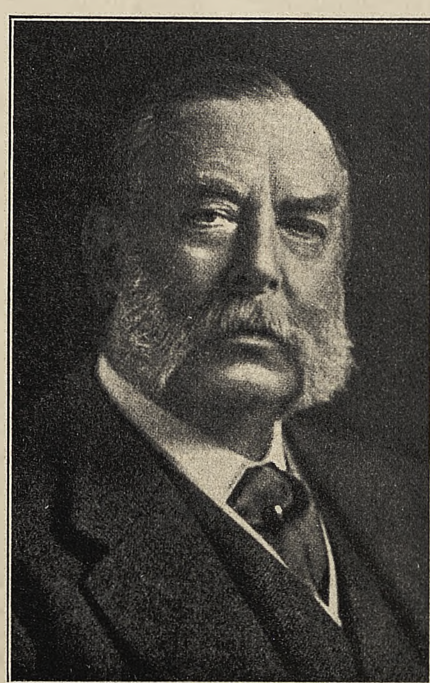
(Dalszy ciąg p. na str. 62)

Wiedza uniwersytecka i Byznes

Fundacja Amerykańska G. F. Baker'a

O D   R E D A K C J I

Artykuł niniejszy drukujemy nie dlatego, że dar p. Baker'a jest wyjątkowy, lecz aby pokazać czytelnikom polskim, jak obywatele amerykańscy traktują gospodarkę narodową. Ostatni dar p. Baker'a jest zaprawdę małą kroplą w morzu ofiarności publicznej w Ameryce. Takie krople bardzo często zasilają to morze. Nie poruszając narazie ogromnych fundacyj Rockefeller'a i Carnegie'go, do których oświetlenia niejednokrotnie powracać będziemy, zaznaczamy tylko, że w ubiegłym roku społeczeństwo amerykańskie uzyskało trzy większe fundacje na cele oświatowe i humanitarne: 1. Milton S. Hershey, fabrykant czekolady, ofiarował całe swe przedsiębiorstwo wartości 60 miljonów dolarów na cele szkoły przemysłowej jego imienia (Hershey Industrial School at Harrisburg, Pa); 2. James B. Duke, bogacz tytuniowy, ofiarował okrągłą sumę 40 miljonów dol. ze swej ogromnej fortuny na rzecz powołania do życia nowej instytucji naukowej jego imienia w stanie Carolina, gdzie znajdują się jego plantacje i fabryki i 3. George Eastman, słynny fabrykant aparatów fotograficznych Kodak, ofiarował akcje swej firmy na sumę około 30 miljonów dol. na rzecz uniwersytetu w Rochester, na Instytut Technologiczny w stanie Massachussets oraz specjalnie na oświatę śród murzynów amerykańskich. — Szczęśliwe społeczeństwo, które ma takich obywateli, tem szczęśliwsze, że fundacje są zarządzane wzorowo i z jak największym pożytkiem dla ogółu. Niezmiernie radosnym faktem jest to, że i Polska w roku ubiegłym uzyskała od swych obywateli trzy większe fundacje na rzecz oświaty i dobra publicznego, o czem piszemy w następnym artykule.



George F. Baker
Prezes banku „First National Bank of New York"

Zdarza się nam często słyszeć o tem, iż w Ameryce uczyniono takie a takie odkrycie, że nauki ekonomiczne, psychologja, biologja, psychofizyka i wreszcie astronomja rozwijają się tam nader szybko. Słuchamy o tem z pewnym sceptycyzmem. Zdajemy sobie sprawę z tego, że Ameryka dokonała wiele w dziedzinie techniki, ale do nauki i wiedzy amerykańskiej żywimy pewną nieufność. Nie pytamy, jaka jest przyczyna tego zadziwiającego rozwoju techniki i wzrostu wydajności pracy. Jednakże zbadanie tego stanu rzeczy mogłoby dać nam klucz do rozwiązania wielu zagadnień u nas i uchronić nas od wielu niepowodzeń i klęsk. Polska jest państwem nowem. Budując nowy gmach, możemy i powinniśmy uniknąć niektórych błędów. Wszystko, co tworzymy, powinniśmy stawiać na fundamencie ścisłej wiedzy. Improwizacja i dyletantyzm były nieuniknione w początkach tworzenia się państwa, kiedy chodziło o czyn doraźny, lecz teraz są one szkodliwe. Wielka Rzeczpospolita zaoceaniczna może być dla nas wzorem organizacji i wydajności pracy. Razić nas może początkowo powiedzenie: „byznes jest wszystkiem, i wszystko jest byznesem", jednakże ci, którzy wydają się nam materjalistami, stwarzają podwaliny nowoczesnej wiedzy i przynoszą często więcej korzyści, niż ci, którzy zdobywają się tylko na wygłaszanie idealistycznych frazesów.

Nauka amerykańska zawdzięcza swój rozwój nie tyle inicjatywie rządu, co dobrej woli światłych „self made men'ów". Ci światli dorobkiewicze, którzy praktycznie nabywali wiadomości w twardej szkole życia, doskonale rozumieją potrzebę wykształcenia zawodowego, zwłaszcza w dziedzinie byznesu.

Potentaci przemysłu, handlu i finansów w Ameryce rozumieją, jaki ogromny wpływ na rozwój nowoczesnych społeczeństw posiadają warunki ekonomiczne. I dlatego popierają badania na tem polu, zakładają specjalne szkoły i wyciągają hojną dłoń istniejącym już zakładom naukowym.

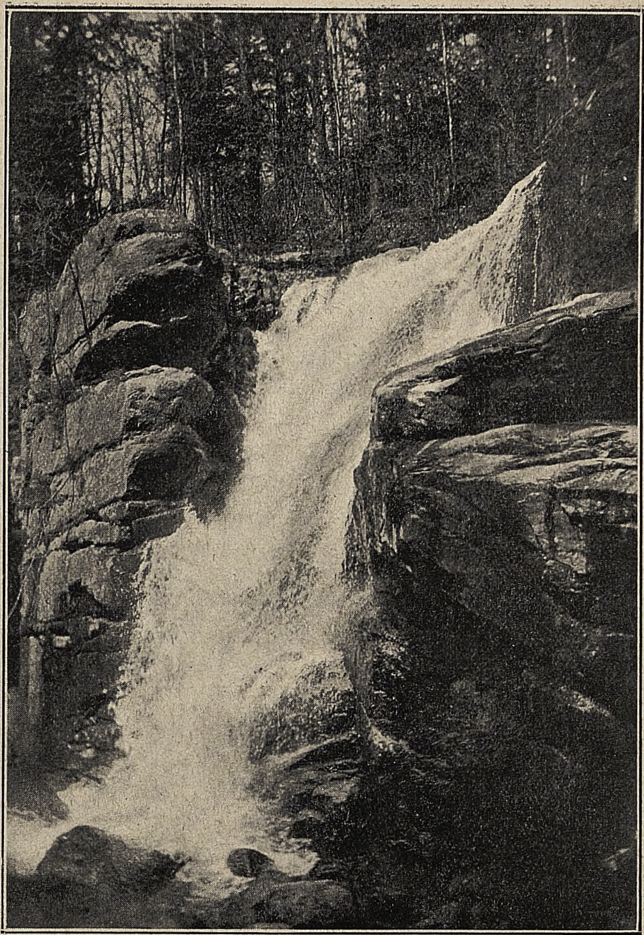
JERZY F. BAKER

Niedawno właśnie jeden z takich byznesmenów amerykańskich ofiarował słynnemu Harwardskiemu uniwersytetowi w Cambridge, w stanie Massachusets, 5.000.000 dolarów na budowę specjal-

nych gmachów dla jego „Wydziału Byznesowego" (nasze uczelnie takich wydziałów jeszcze nie znają). Podał on powody swego czynu w liście, który zawierał niewiele więcej, niż setkę słów. Między wierszami tego listu jest tak żywotna i znacząca treść, iż całe tomy mogłyby być pisane o niej. Ta ukryta treść przynosi nam nowe rewelacje, mówi nam o coraz bardziej zacieśniających się więzach między przemysłem i finansami i rzuca światło na ekonomikę dwudziestego stulecia.

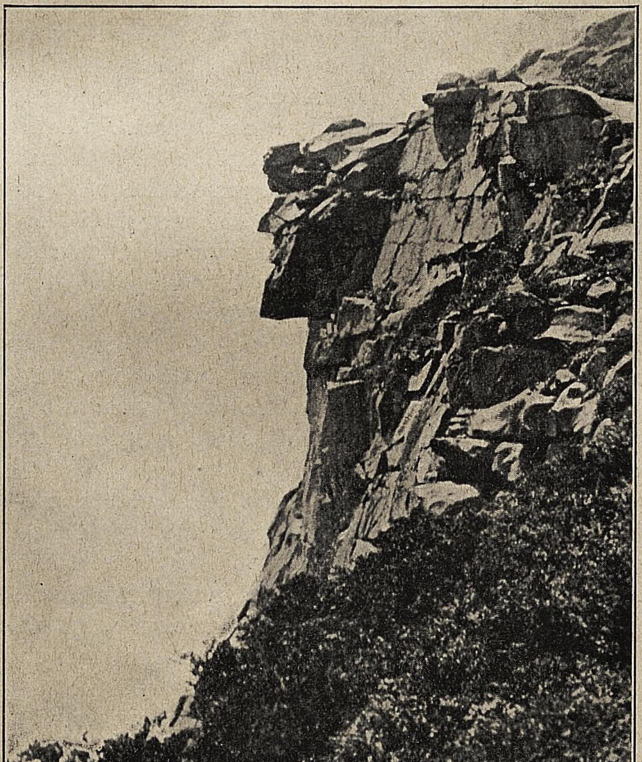
Niegdyś istniały w Stanach Zjednoczonych trzy tak zwane uczone zawody: prawo, medycyna i stan duchowny. Czasem zdarzał się chłopiec bardziej żądny przygód, który udawał się na rozstajne drogi, do pobliskiego miasteczka: pracował w sklepie, sypiał pod ladą. Torował sobie w ten sposób drogę do dużego miasta i stawał się zczasem wybitnym kupcem.

Jeśli chłopak nie miał zdolności do łaciny, mówiono, że bezwątpienia chce zostać byznesmenem. Oto tradycja, która trwała aż do końca zeszłego stulecia.



Kaskada w Białych górach w stanie New Hampshire.

AMERYKA W OBRAZACH



Słynny profil w skałach Białych gór w stanie New Hampshire.

W r. 1840, t. j. w czasach, kiedy się urodził Jerzy Fisher Baker, gdyby znalazł się ktoś, ktoby śmiał twierdzić, iż wyższe zakłady naukowe będą dawały swym absolwentom stopień doktora nauk handlowych, byłby uważany za kandydata do domu warjatów.

Byznes i bankowość były to zawody, które można było poznawać jedynie przez praktykę. Nawet w niższych szkołach nie traktowano handlu za coś większego nad umiejętność taniego kupna i drogiej sprzedaży. P. Baker, jako syn dziennikarza, bogatego w praktyczną znajomość spraw politycznych i ekonomicznych, jakkolwiek nie posiadającego dóbr tego świata, miał głębszy pogląd na istotę nowoczesnego życia, niż wiele chłopców w tych czasach.

W szkole okazał się wyjątkowo zdolnym do arytmetyki. Wzory i liczby przemawiały do niego wyraźnie. W wieku chłopięcym lepiej rozumiał zadania na udziały i proporcjonalne wypłaty i wogóle całą handlową matematykę, niż przeciętny dorosły człowiek. Potem, jako subjekt poznawał handel, ciężko pracując w sklepiku spożywczym w swem rodzinnem mieście Troy, w stanie New

York, pobierając dwa dolary tygodniowo. Przeszedł potem kurs prawa własności, jako stróż nocny, pobierając płacę pięciu dolarów tygodniowo. W ten sposób kształcił się w znanej „Twardej szkole życia", zanim został urzędnikiem banku, gdzie stworzył podstawę swej fortuny zapomocą oszczędności i przezornego ich lokowania.

OD POMOCNIKA KASJERA DO PREZESA BANKU

Jerzy F. Baker posiadał już 1.000 dolarów, kiedy przybył do Nowego Yorku i otrzymał posadę zastępcy pomocnika kasjera w First National Bank, pierwszej instytucji, założonej na zasadzie Aktu o Bankach Narodowych i obecnie jednego z największych banków świata. Miał on już trochę doświadczenia jako bankowiec i, pomimo zaledwie 23 lat, wyrobiony jasny pogląd na sprawy finansowe. Karjera jego była zadziwiająco szybka. Wkrótce awansuje na pomocnika kasjera i wreszcie zostaje kasjerem.

Gdy inicjator założenia banku i pierwszy jego prezes, p. Thompson, przytłoczony wiekiem, wycofał się z zarządu, kierownictwo banku objęli dwaj młodzi urzędnicy: Jerzy F. Baker i Henryk Fahnestock. Nie posiadali oni wówczas swych wielkich fortun i mieli zaledwie sześciomiesięczną praktykę, ale cieszyli się zato zaufaniem wpływowych sfer z Wall Street.

Pod przewodnictwem p. Baker'a, który wówczas został prezesem zarządu i godność tę piastuje do dnia dzisiejszego, First National Bank rozwinął się do obecnej potęgi, kilkakrotnie powiększając swój kapitał zakładowy; czysty zysk banku w pierwszem pięćdziesięcioleciu swego istnienia (w okresie 1863—1913) wynosił 86.000.000 dolarów.

Będąc prawą ręką zmarłego kilka lat temu J. P. Morgana, p. Baker, podobnie jak i on, był jednym z twórców amerykańskiego wielkiego byznesu („Big business").

W pewnym okresie p. Baker był dyrektorem 57-iu spółek i obecnie, chociaż wskutek swoich 84-ch lat czuje się upoważnionym do zredukowania swych czynności, jednakże bierze czynny udział w zarządach dwunastu kolei żelaznych, sześciu towarzystw użyteczności publicznej, dwu węglowych towarzystw, dwu spółek przemysłowych, dwu towarzystw ubezpieczeń, a także w różnych instytucjach społecznych. Majątek osobisty p. Bakera powstał głównie dzięki udziałowi „w śmiałych i ryzykownych" przedsiębiorstwach amerykańskich.

P. Baker był najgłówniejszym czynnikiem w powołaniu do życia przedsiębiorstw, które obecnie zaopatrują miasta w elektryczność. Działo się to wówczas, gdy o pieniądze było bardzo trudno. Jest on obecnie jednym z najgłówniejszych akcjonarjuszy Towarzystwa Telegrafów i Telefonów, w którem przewidująco umieścił swe kapitały wówczas, gdy kierownicy tego Towarzystwa napróżno kołatali wszędzie o kredyt. Jest on ponadto czynnym kierownikiem takich przedsiębiorstw, jak Stalowa Korporacja Stanów Zjednoczonych i Towarzystwo Wagonów Pullmanowskich. Był on jednym z pierwszych w Ameryce, którzy zrozumieli rolę banków w sprawach finansowania przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, przez co grosz publiczny łączy się z ogólną gospodarką krajową i wytwarza potęgę państwową.

Miljony dolarów, które p. Baker, darowuje obecnie uniwersytetom, kolegjom, muzeom sztuk pięknych, muzeom historji naturalnej i t. p., były zdobyte przez jak najbardziej czynny jego udział w rozwoju handlu i przemysłu.

„O ile zdobyłem jakiekolwiek znaczenie w świecie, zawdzięczam to przeważnie swemu doświadczeniu w sprawach byznesu. Jest mi niezmiernie miło, że mogę pomóc jego rozwojowi, ofiarowując 5.000.000 dolarów". W tych pełnych skromności słowach zawiadomił p. Baker o swym darze rektora Uniwersytetu Harwardskiego.

Przez „pomoc" rozumie p. Baker wybudowanie gmachów, któreby dały wszystkie udogodnienia Wydziałowi Byznesowemu.

Ofiarodawca żąda tylko przywileju pokrycia wszystkich kosztów, na wypadek jeżeli suma ofiarowana okaże się niewystarczającą. Nie czyni tego z jakichkolwiek względów osobistych, jedynie tylko dlatego, by w planie tworzenia tego fundamentu nowoczesnego byznesu panowała większa jednolitość. Jest to o wiele łatwiejsze, jeżeli fundusze płyną z jednego źródła. Cynicy, spryciarze i inni zapytują często, dlaczego t. zw. self made man'i popierają uniwersytety. Jeżeli to jest słusznem, iż zapomocą osobistych wysiłków i bez szkolnego wykształcenia można dojść do znacznych rezultatów, to dlaczego nie pozostawić młodsze pokolenie jego własnemu losowi w dążeniu do osiągnięcia wyższych celów?

Nikt jednakże, mówiąc ściśle, nie wybił się samodzielnie. Każdy otrzymuje znaczną pomoc od innych. Można odziedziczyć po ojcu, świetnym dziennikarzu, korespondencie waszyngtońskim, zdolności do ekonomji, jak to odziedziczył p. Baker.

Widzieliśmy Andrzeja Carnegiego, nie mającego nic wspólnego z metalurgją, zakładającego szkołę techniczną, mającą na celu kształcenie młodych ludzi w fabrykach stali.

Józef Pulitzer, człowiek o wyższem wykształceniu, zakłada szkołę dziennikarską. Jan D. Rockfeller (starszy) popiera naukę i corocznie towarzystwo Standard Oil, przyjmuje i zatrudnia w swych ogromnych przedsiębiorstwach ludzi, którzy ukończyli uniwersytety i posiadają już techniczne wykształcenie.

(Dalszy ciąg patrz na str. 60)

Za przykładem Ameryki

Fundacja Stefana Benzefa

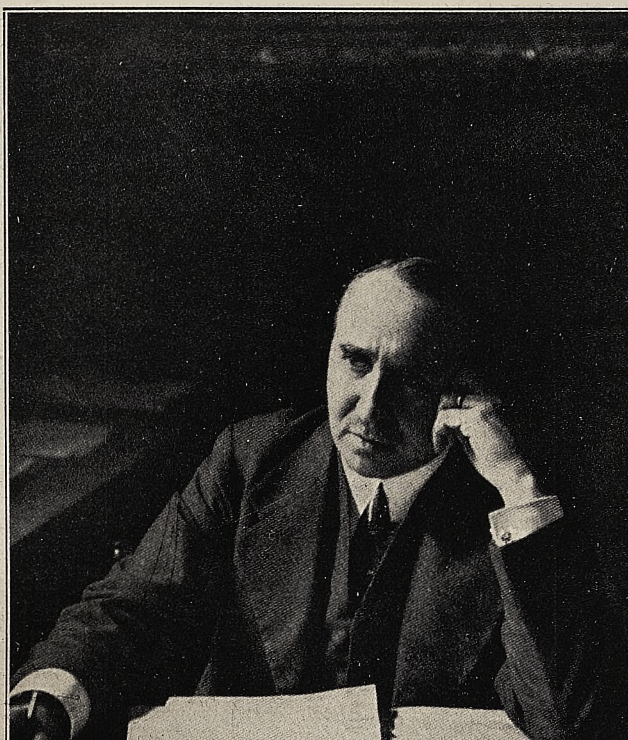
Ameryka. Czy znacie ten kraj, gdzie, jak mówi prof. Stefan Mierzwa, „każdy ma przed sobą szkołę otwartą" — naprawdę otwartą, gdzie codziennie wyrastają z ziemi nowe gmachy szkolne, tworzą się aule uniwersyteckie, gabinety pracy naukowej, laboratorja do opracowywania najróżniejszych problemów od psychiki ludzkiej i zwierzęcej począwszy, poprzez technikę najzawilszą do mikrochemji włącznie, gdzie rozbudowują się przecudowne pałace sztuki, marmurowe — z greckiemi co do piękności swej rywalizujące — gmachy bibljotek publicznych, muzea najdziwniejszych rzeczy świata, całe miasteczka, poświęcone nauce, wychowaniu, zdrowiu i higjenie, sztuce i technice, przemysłowi, handlowi, finansom — byznesowi?

I czy wiecie, że w kraju tym niema organu państwowego, któryby tem wszystkiem rządził, administrował, któryby inicjował i z siebie wyłaniał owe wszystkie najdoskonalsze twory współczesnego życia społecznego — że w tym kraju niema Ministerstwa Oświaty i Kultury?

To Republika Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Skąd więc wytryska siła twórcza, która do życia powołuje i już w samem życiu kształtuje te wszystkie twory myśli i ducha ludzkiego? Głównie zaś — jeżeli w organizmie państwowym Ameryki dotychczas nie rozwinął się odpowiedni organ, powiedzmy, pewien system nerwowy, rządzący państwowemi funkcjami oświaty i wyższej kultury, to gdzie i w jakich pokładach społecznych, w jakich elementach świadomości obywatelskiej, tkwi źródło tej niezmiernie ekspansywnej, lecz nie mniej planowej, systematycznej i zorganizowanej akcji zbiorowej w dziedzinie nauczania i wychowania publicznego, która tam dochodzi do bezprzykładnych w historji rozmiarów i do nieznanej nam doskonałości?

That is the question! Oto pytanie — superhamletowskie — które gwałtownie domaga się odpowiedzi, by ci wszyscy, dla których system wewnętrznego ustroju społecznego i istota bytu „narodu amerykańskiego" leży jeszcze po za orbitą świata poznanego, mogli znaleźć rozwiązanie mnogich zagadnień, leżących także u podstaw naszego społeczeństwa. Nie porywam się jednak na oświetlenie całokształtu zagadnień — to rzecz, wymagająca studjów i pracy na lata całe, na tomy grube. Ograniczę się tylko jednym fragmentem, jednym rysem charakterystycznym dla nowoczesnego zjawiska historycznego, które można nazwać już nie homo americanus lecz spiritus americanus.



Stefan Benzef
Prezes Banku dla Przemysłu i Handlu w Warszawie.

Patrjotyzm amerykański. Źródło, o którem mowa, leży przedewszystkiem w Konstytucji państwa Stanów Zjednoczonych. Nadaje ona obywatelowi bezwzględną wolność osobistą, ekonomiczną, religijną i polityczną i tuż zaraz dodaje do niej bezwzględną równość wszystkich obywateli wobec prawa. Na tej podstawie wyrosło państwo, którego rząd był powołany nie do rządzenia, lecz do służenia obywatelowi, do pomagania mu i współdziałania z nim w każdem godziwem przedsięwzięciu, zamierzonem w kierunku powiększenia poprzez pracę bogactw osobistych, a więc i bogactw krajowych. Dlatego też Amerykanie bardzo często nazywają swój rząd nie rządem (Government), a administracją (Administration). Dopiero w ostatnich latach rząd amerykański staje się coraz więcej rządem w znaczeniu europejskiem.

Z tych podstawowych cech konstytucyjnych bierze swój początek demokratyzm amerykański, demokratyzm istotny, nie podmalowany żadnemi barwami błękitnemi lub czerwonemi, demokratyzm organiczny, przekazywany zarodkowo z pokolenia na pokolenie, i asymilujący wszystkie postronne elementy, napływające w jego krew i ciało ze wszystkich zakątków świata.

Z tych samych podstaw konstytucyjnych i ich pochodnej — demokratyzmu — rozwinął się najcudowniejszy kwiat amerykanizmu — patrjotyzm. Tak jawnych, bodaj że nawet jaskrawych oznak patrjotyzmu nie znajdziemy w żadnym innym kraju, nawet w kraju „über alles". Przejawia się on tam na każdym kroku, ze strony najmniejszych „mniejszości narodowych", począwszy od bezwzględnego poszanowania wszelkiej władzy, nie jako że „od Boga danej", a z siebie wyłonionej, a więc uznanej i stwierdzonej swym własnym czynem obywatelskim, a skończywszy na religijnem uwielbieniu symbolu swego państwa — sztandaru gwiaździstego. Upiększa on wszystkie wnętrza nie tylko rządowych, ogólno - państwowych urzędów i instytucyj, lecz i prywatnych domów i przedsiębiorstw, jako relikwja obywatela amerykańskiego i zarazem jako ozdoba najświetniejsza jego otoczenia zwykłego.



Stefanowa Benzefowa, znana pianistka.

Ofiarność publiczna w Ameryce. Pamiętam wybuch ofiarności publicznej w Ameryce w r. 1909, podczas strasznego trzęsienia ziemi w Messynie. Jeżeli można robić fantastyczne porównania, to ten żywy wybuch ofiarności amerykańskiej bynajmniej nie był mniejszy od żywiołowego wybuchu martwej skorupy ziemskiej, pogrążającej w nicość dobytki wielowiekowej pracy i kultury ludzkiej. Że zaś katastrofa zastała mnie jeszcze w Europie zachodniej, a wkrótce po niej znalazłem się po za oceanem, więc miałem wyjątkową sposobność do porównania siły wrażenia i refleksu psychicznego u Amerykanów i Europejczyków. Refleks ten w Europie znalazł, rzecz prosta, oddźwięk w wielkiem współczuciu dla nawiedzonych nieszczęściem Włochów, w Ameryce zaś to samo współczucie poparte było jeszcze miljonowemi sumami, które popłynęły ze wszech stron, od wszystkich obywateli, na rzecz ofiar katastrofy. Ten pierwszy czyn zbiorowy ludności amerykańskiej, świadczący o wysokiem napięciu uczuć humanitarnych, był dla mnie pierwszem radosnem zaprzeczeniem wszystkich konwencjonalnych kłamstw europejskich o suchych, skamieniałych, zmaterjalizowanych Yankesach. Zwykliśmy byli wówczas patrzeć się na nich przez pryzmat naszych rewelacyj literackich z „Chimery" i „Ateneum" lub, w innym wypadku, oczyma naszych z niemiecka socjalno - demokratyzujących społeczników z „Głosu" lub „Prawdy".

Innym dowodem niezwykłej ofiarności Amerykanów był okres wojny wszechświatowej. Nie było takiego zakątka w Europie i nie było zbyt oddalonych miejscowości w Azji, gdzieby dolar amerykański, czy to w postaci chleba, mleka, czy obuwia lub odzieży nie odnajdywał tych, którzy go najbardziej potrzebowali. Jeżeli jednak ludzie dzisiejsi o tem kiedykolwiek by zapomnieli, to historja nie zapomni.

Największego jednak podziwu godną jest ofiarność publiczna obywateli amerykańskich w swoim własnym kraju. Z tego uczucia ofiarności, stale i trwale podsycanego patrjotyzmem, wypływają corocznie wielomiljonowe sumy na stwarzanie nowych i podtrzymywanie starych instytucyj naukowych i wychowawczych. Tu, w tych pokładach świadomości społecznej, bierze początek źródło nowoczesnej potęgi panamerykańskiej, albowiem nigdy jeszcze i nigdzie nie zrozumiano tak głęboko tej prawdy praktycznej, że nauka i dobrobyt, zdrowe wychowanie i moralność społeczna, praca obowiązkowa i postęp gospodarczy — są to niezbędne korelatywy, są to niejako nowe Boskie przykazania, bez których nie masz życia normalnego, stwarzającego coraz to doskonalsze formy współżycia ludzkiego.

To też każdy Amerykanin, który dochodzi do majątku, zgóry jest przygotowany na to, że prędzej czy później będzie musiał część swoich dochodów, czy część swego majątku, czy wreszcie cały swój majątek oddać na cele dobra publicznego, bo... taki już jest zwyczaj, tak wszyscy czynią, takiem jest zresztą nowe przykazanie Boskie. I stąd powstają codziennie te wszystkie cuda kultury amerykańskiej, powstają nie pod przymusem państwowym, nie jako czyn rządu, lecz jako akt dobrej woli nieskrępowanego obywatela. Dlatego tak świetnie się rozwijają i tak wiele pożytku i ludziom i państwu przynoszą. Amerykanin jest wro-

giem wszelkiego etatyzmu, natomiast jest entuzjastą we wszystkich sprawach, dotyczących dobra jego państwa.

Dodać też należy, że ofiarność publiczna w Ameryce niema nic wspólnego z naszem pojęciem filantropji. Amerykanin chce wiedzieć, jaki użytek przyniesie jego dar, czy cel, który wspiera, będzie osiągnięty w pełnej mierze, czy kapitały zebrane spełniają swą funkcję kapitalistyczną, życiodajną, twórczą. Dlatego też w Ameryce powstał zupełnie nowy dział, gdzieindziej całkiem nieznany, gospodarki społecznej, który możnaby było nazwać przedsiębiorstwami filantropijnemi, różniącemi się tem od przedsiębiorstw przemysłowych, handlowych i finansowych, że dochodowość ich opiera się nie na własnej wytwórczości lub obiegu wartości własnych, lecz na darach i fundacjach. Organizacja zaś tych przedsiębiorstw w części swej wydajnej niczem się nie różni od organizacyj innych wzorowych przedsiębiorstw amerykańskich. Takiemi są fundacje Rockefellera, Carnegiego, stowarzyszenie Y. M. C. A. etc.



„Orka" Ruszczyca. *Ze zbiorów Stefana Benzefa*

Ofiarność publiczna w Polsce. Nikt nie śmie twierdzić, że Polak nie ma w sobie rozwiniętego uczucia względem niedoli bliźniego lub względem potrzeb państwa swego. Cała historja nasza ostatnich wieków to wielka epopeja ofiarności publicznej. Zenitu swego dobiegła ta ofiarność w dobie odzyskania swego Państwa, kiedy cała ludność polska bez szemrania oddawała wszystko, co miała, na rzecz Odbudowy, straciła wszystkie swe oszczędności, zredukowała do połowy wartość swego narodowego stanu posiadania i ną nowo ze świeżemi siłami i gorącą wiarą przystępuje do gromadzenia wartości materjalnych — tej granitowej podstawy wszelkiej niezależności, zarówno indywidualnej, jak i państwowej.

Jednak w zestawieniu z tem, co pisaliśmy wyżej o Ameryce, musimy jasno zdać sobie sprawę, uczynić niejako rachunek sumienia społecznego, w jednej kwestji: czy ofiarność nasza zawsze i wszędzie osiąga ten cel, któryśmy sobie postawili, czy sumy pieniężne, majątki, przedmioty, fundacje, darowizny wypełniają swe funkcje w sposób należyty, czy zamiast służyć dobru publicznemu, nie działają zgoła na jego szkodę, czy zamiast być czynnikiem rozwoju i postępu kulturalnego, nie działają deprawująco na otoczenie lub objekty wspomagane, wreszcie, czy są one dość wydajne, czy społeczeństwo się niemi w należytym stopniu interesuje, czy prasa polska spełnia swój obowiązek w charakterze informatora o stanie i działaniu każdego poszczególnego aktu ofiarności publicznej?

Otóż stwierdzić należy, że w tych wszystkich mniejszych lub większych sprawach jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od doskonałości.

Co np. przeciętny obywatel polski, który sumiennie czytuje swój dziennik, i od czasu do czasu przejrzy jakikolwiek miesięcznik, wie o wielkich darowiznach z ostatnich czasów: Władysława hr. Zamoyskiego, hr. Hutten Czapskiego i Stefana Benzefa? Wiem z własnego doświadczenia, że nic absolutnie nie wie, z wyjątkiem chyba nazw lub sum samych objektów darowizny. One zaś, same przez się, nic nie mówią, albowiem największy majątek jest rzeczą tak płynną, że oddany w ręce ludzi nieodpowiednich rozpłynie się w oka mgnieniu, lub odwrotnie, sto bodaj złotych umiejętnie zarządzane, mogą przynieść korzyść znaczną i stałą.

Zainteresowany temi hojnemi ofiarami, które bądź co bądź są u nas bardzo rzadkie i mają w sobie coś z rozmachu amerykańskiego, oraz w poczuciu swego obowiązku publicystycznego, zbada-

(Dalszy ciąg p. na str. 68)

Za kulisami Ekranu

Adama Fr. Augustynowicza

(ciąg dalszy)

Po uzgodnieniu książki reżysera z posiadanym materjałem aktorskim i obsadzeniu ról—reżyser wydaje dyspozycje stawiania dekoracji. Dekoracje są budowane na zasadzie szkiców dekoracyjnych co do ich jakości, a wedle planu zdjęć, — co do terminu i kolejności stawiania. Z chwilą kiedy pierwsza dekoracja jest gotowa, reżyser wyciąga sobie z swojej książki wszystkie sceny do wygrania w tej dekoracji, i rozpoczyna bez względu na ich poszczególny związek, — zdjęcia.

Kardynalnym warunkiem powodzenia jest wedle zasady niemieckiej ścisłe trzymanie się następującej formuły: 90% wysiłku w pracy przygotowawczej, 10% na wykonanie. Konsekwencją tego jest nieubłagana konieczność, po pierwsze: wszystko przewidzieć w książce reżysera i po drugie z matematyczną ścisłością, bez żadnej improwizacji wykonać rzeczy napisane. Wszelaka improwizacja i zmiany w czasie roboty łamią logikę założenia, prowadząc w prostej drodze do niepowodzenia obrazu.

ZDJĘCIA FILMOWE

Wykonanie samych zdjęć odbywa się na trzech zasadach: Sformułowanie praktyczne obrazu przez reżysera, należyte odtworzenie przez aktora i samo zdjęcie. Te trzy prace wymagają dużego wysiłku bezpośrednio przed uchwyceniem ich na taśmę. Praca ta polega na tem, że reżyser wespół z operatorem stwierdza jakość obmyślanego przedtem oświetlenia, następnie robi szereg prób z aktorami i w momencie, kiedy uważa, że aktorzy uchwycili jego myśl i potrafili już ją uzewnętrznić, nakazuje robić zdjęcie.

Po dokonaniu zdjęcia, zazwyczaj trwającego najwyżej kilka minut, przygotowuje się scena następna i t. d. aż do ukończenia obrazu.

Jeżeli zdjęcia mają się odbyć w terenie otwartym, reżyser poprzednio już zanotował miejsce i godzinę, w jakiej ma się dokonać nagrywanie obrazu, zaznaczył sobie mały plan sytuacyjny i pracuje analogicznie jak w altanie do zdjęć (atelier).

Po zdjęciu pierwszych fragmentów, które powinny być właściwie próbnemi, film idzie do laboratorjum, gdzie na skutek szeregu procesów chemicznych i świetlnych otrzymuje się po kilkunastu godzinach tak zwaną kopję (to, co widzimy na ekranach w kinematografie), która służy do poczynienia ostatnich poprawek. Równocześnie ze zdjęciami na film robi się wielkie zdjęcia na kliszę fotograficzną, t. zw. fotosy. Są to te fotografje, które zazwyczaj widzimy wystawione w szafkach przed kinem. Fotografje te są oczywiście zgóry przewidziane w książce reżysera i wybiera się do nich najciekawsze momenty dramatu.

Z chwilą, kiedy próba dokonała ostatnich poprawek, przystępuje się całą parą do zdjęć, starając się oczywiście bez szkody dla jakości wykonać je jak najszybciej. Normalnie przed zburzeniem dekoracji, reżyser powinien obejrzeć kopje zdjęcia, stwierdzając, że niema konieczności powtórzyć. Po dokonaniu wszystkich zdjęć, z których każde posiada swoją numerację, przychodzi ostateczny okres, t. j. t. zw. montaż filmu, który polega na odpowiedniem połączeniu fragmentów zdjęć i napisów w żywą, logiczną całość.

MONTAŻ FILMU

Montaż odbywa się zarówno drogą mechaniczną jak i dużym wysiłkiem artystycznym. Pierwsze bowiem ułożenie kopji powinno być wykonane przez operatora na zasadzie cyfr, które kończą każdy odcinek negatywu. Negatywem nazywamy taśmę kinematograficzną, na której zostały dokonane zdjęcia. Z niej zaś otrzymuje się filmy, które widzimy na ekranie. Film demonstrowany na ekranie nazywamy kopją; jest to odbitka negatywu.

Tą właśnie kopją posługuje się operator w tak zwanym pierwszym montażu. Z chwilą, kiedy montaż prowizoryczny został ukończony, to znaczy film został sklejony w wiążącą się konsekwentnie całość, reżyser przystępuje do benedyktyńskiej pracy, a mianowicie do ustalenia miejsca napisom, korektury napisów, a wreszcie do odpowiedniego skrócenia poszczególnych fragmentów w ten sposób, żeby osiągnąć maximum efektu artystycznego.

Jest to sprawa dla całości filmu bardzo ważna. Złym montażem można film (jak się wyrażają fachowcy) całkowicie „położyć".

Weźmy przykład. Bohater, rozstając się z ukochaną, pokazuje pełną rozpaczy twarz. Jeżelibyśmy, na skutek nieudolnego zmontowania, zmuszeni byli patrzeć na jego oblicze np. przez dwie minuty, to całe współczucie, jakie wzbudziły w nas jego przeżycia, skończyłoby się gwizdaniem i tupotem całej sali, a w każdym razie obudzeniem niechęci i niesmaku.

Inny przykład. Jakiś krajobraz. Dzieje się w nim coś strasznego. Oto olbrzymi wał wód pędzi w nieprzemożonej potędzie, wszystko przed so-

bą łamiąc i zalewając potokiem nieuchronnej śmierci. Groza. Ten obraz przykuł nasze oczy.

Mądry reżyser poda go na ekran w takiej ilości obrazków, ażeby widz nasycił się widokiem, ale żeby mu jeszcze pozostało pożądanie powtórnego obejrzenia. Żeby obraz pozostał w jego jaźni, żeby w niej wywołał cały splot obrazów pochodnych i kazał czuć i myśleć. Jeżeli zaś reżyser, czy to przez nieudolność, czy przez zbytnie przywiązanie do ulubionej przez siebie sceny, tak przedłuży fragment, że widz będzie nasycony w zupełności— efekt będzie chybiony.

Pozwolimy tu sobie przeprowadzić pewną analogję między mózgiem człowieka a silnikiem spalinowym. Tak samo bowiem, jak w samochodzie uzyskuje się najwyższą wydajność przez celowe przyśpieszenie zapalania, tak samo i na filmie przerwać należy fragment sceny tuż przed momentem najwyższego napięcia zainteresowania.

Jednakże jeżeli reżyser za szybko przesunie przed okiem widza interesujący obraz i scena, którąbyśmy namiętnie pragnęli zatrzymać, zaledwo rozświeciwszy naszą podświadomość — już niknie — budzi się w duszy naszej niechęć i niezadowolenie.

Skala odczuwań ludzkich jest bardzo wieloraka. I pod różnemi szerokościami geograficznemi różna. Np. dziesięć metrów pocałunku (pół minuty) nie jest na Polskę ani na Rosję za dużo. Skandynawji natomiast nakreślają pocałunkowi nie więcej nad siedem metrów, a w Ameryce i to jest jeszcze za długie.

Widzimy więc, że reżyser musi doskonale orjentować się w szeregu zagadnień psychologji mas różnych narodowości.

Film od początku do końca jest niezmiernie kunsztowną pracą artystyczno-techniczną, której rozmiar jest tak nieograniczony, że życia ludzkiego za mało, żeby się jej prawdziwie móc nauczyć.

Po zmontowaniu kopji, w sposób najzupełniej precyzyjny, przenosi się montaż na negatyw i wszystkie następne kopje wykonywa się drogą mechaniczną.

W zależności od rutyny i dobroci książki reżysera, montaż potrwa od kilku dni do kilkunastu tygodni. Po montażu reżyser wraz z operatorem ustalają tak zwane „wiraże", to znaczy barwy, jakiemi mają być odpowiednie kawałki filmu pokryte.

Kiedy film jest już gotów a ostatnia korekta dała twórcom filmu i krytykom, specjalnie w tym celu zaproszonym, pełne zadowolenie — wtedy wytwórnia prosi o cenzurę, którą, o ile film nie wchodzi w kolizję z panującemi ustawami, względnie prawem zwyczajowem, udziela wytwórni odpowiednia instancja.

Później, a wielokrotnie wcześniej, rozpoczyna się kampanja reklamowa. Jest to czynność bardzo kosztowna, ponieważ od niej w wielkiej mierze zależy sukces materjalny i artystyczny obrazu filmowego. Ze wszystkich znanych reklam na świecie, film robi je w sposób najkosztowniejszy i najlepszy.

(c. d. n.)

AMERYKA W OBRAZACH



Jezioro w Białych górach, które nazywa się nie „Morskie oko" lecz „Echo".

Prorok z Puszczy

Z filmopisu człowieka nieznanego

M. H. Szpyrkówna

Czy znacie Ślepie Mroku?... Ludzie spokojni i dobrzy, którzy wieczorami kładziecie się do snu i zaciągacie rolety: czy nigdy głos wewnętrzny nie powiedział wam, czemu was drażnią owe czerwono-zielone światła, zaglądające z ulicy? Bo najcichszą mądrością duszy wiecie rzecz ohydną i straszną, której rozum nie dojrzy: że w ten sposób podgląda was wielki wampir, który jutro, pojutrze, czy za rok was zadusi: Miasto! Przez szybę waszej sypialni wyciągnie się ku wam szara, długa, wijąca się macka z gadzinnem pyskiem na końcu, okręci wasze ciało, wessie się w serce, a pozostałą miazgę wypluje w gotową mogiłę. Czy nie widzieliście nigdy istotnego miasta? Bywa sobą tylko w nocy: wtedy ożywa przyczajony w niem za dnia, żywy potwór. Ulice to jego arterje; latarnie to jego ślepia; i któż zresztą nie zna jego zatrutego oddechu? Słuchajcie tedy opowieści o człowieku, który zdarł z nieba słońce za tarczę i zwyciężył Ślepie Mroku

Filmopis ten—tak go nazwał piszący—został nadesłany podług adresu przez jeden ze szpitali miejskich, w poplamionej krwią kopercie. Właściciel jego był już podówczas w prosektorjum. Do zeszytu był dołączony krótki list: „—Zadusiło mię Miasto; umieram. I nie boję się śmierci! Boję się tylko, że wraz ze mną, zwyciężonym, umrze mój Sen o Zwycięzcy. Dzieje człowieka, który zdeptał zatruty łeb Dusiciela. Kto wyda za życia fantasmagorje nieznanego marzyciela? Wiem, że muszę umrzeć, aby Ono — mówię o mojem marzeniu — żyć mogło. Wiem o tem; wierzę w to. Ktoś o tem po mnie napisze; ktoś napisane przeczyta; ktoś przeczytane opowie. Aż narodzi się ze mnie, zwyciężonego — Zwycięzca i zwalczy potwora, który dziś mię zdusił. Dlatego umieram spokojny: tylko z zamków na lodzie powstają ziemskie pałace; tylko z marzenia rodzi się Czyn! Ten, który ma przyjść—przyjdzie. Ave, Victor! Moriturus te salutat!"

* * *

Poeta mieszkał na czwartaku Wielkiego Miasta. Tłum lubi, aby poeta mieszkał na czwartaku, i tak też się dzieje. Pokoik miał szpary od kurytarza, któremi się wdzierał chłód i zapach nędzy; umywalnię, łóżko i krzesełko mniej lub więcej krzywe; i stolik z masą piśmideł. Do tego stolika, jak motyle szpilką, poeta przytwierdzał piórem roztęcze schwytanych w potrzask słowa marzeń. Takim jest fach poetów.

Poeta był jakim być powinien. Miał śliczne, zaniedbane włosy, czoło myśliciela, rozpostarte do lotu dwuskrzydle brwi i oczy, które są jak oczy dziecka. Miał przytem serce gorące mimo, iż w pokoju było zimno i ręce, które się wyciągały do Chimery, jak to u poetów jest zwykle.

Nadewszystko zaś miał zwyczaj stawać wieczorem przy oknie czwartaku i długo w noc patrzeć na migocące czerwono, zielono i żółto głucho tętniące Miasto.

Nauka fakirów głosi, iż jeśli się wpatrywać uważnie w punkt świetlny danego przedmiotu, oczy cielesne chwilowo olsną; duch natomiast zaczyna widzieć utajoną poza kształtem Istotę Rzeczy. Tak było właśnie z poetą, w miarę jak patrzył na Miasto.

Zdawało mu się powoli, że poza widzialnym kształtem zaczyna dostrzegać coś, jak Duszę Miasta. Chwiała się nad najwyższemi kominami, jak olbrzymia, kurcząca się i rozczapierzająca ośmiornica, świecąca się nikle trupim poblaskiem, którą ktoś zastawiający gwiazdy spuszczał do pewnej wysokości na łańcuchu. Czynił tak poto, aby nie dać jej pożreć za dużo ofiar odrazu i aby przyjemność była dłuższa. Czasem pozwalał jej tylko bluzgnąć jadowitą posoką: tam na organizmie Miasta zaczynały nabrzmiewać wrzody: zbrodnia, rozpusta i nieszczęście. Czasem pozwalał tylko owionąć kogoś zatrutym oddechem: wówczas zawiść, podejrzenie i zemsta zaczynały kurczyć śmigłe trzony dusz, aż się skręcały, jak glisty. Czasem znów tylko ścinał krew w żyłach człowieka, który nagle poczuł na sobie nienawistne i chłodne ślepię. Tacy czuli, że to latarka śmierci ich szuka, aby znaleźć drogę jutrzejszą. Ale byli i ci, których chwytała śliska macka i wypiwszy krew, rzucała o ziem trupa. Żywi zaś kiwali głowami, a znalazł się niejeden, który rzekł:

— Zżarło go Miasto. Ha, przyjdzie kolej i na nas!

Wówczas obecnym biegło po krzyżach zimne mrowie, bo mądrością ducha wiedzieli, że to — prawda. I że jeśli się nie uratują, pożre ich również niesyty potwór - Miasto.

* * *

Czy takie dzieje czytał z kart nocy poeta? Nie wiemy! Do poetów duch mówi jawnie, lecz zazdrosny o siebie, nie daje się nigdy przełożyć na słowa w całości. Ale ślad—blask—wrażenie zostają trwale, i prześwietlają duszę, że może się wkońcu stać jak czyste szkło: przepuszcza otrzymane światło nazewnątrz, nie zatrzymując dla siebie nic. Takie są dusze proroków. Dusze poetów przepuszczają światło ducha zabarwione różnie, jak tęcza: purpurą męki, błękitem marzeń, złotym przepychem potęgi. Światło w duszy zwyczajnego człowieka jest jak zakopcona lampa: nazewnątrz przedostaje się przeważnie sadza i swąd.

Tak było z poetą. Wchłaniał długo złowieszcze misterjum miasta; potem zaś zamknął się jeszcze bardziej dla świata i rozpoczął proces twórczości. Trudny proces, polegający na tem, aby coś obcego przetrawić na najbardziej własne, i stworzyć z tych dwu plusów nieznane X — wynik twórczy stopienia się dwu wartości istniejących poprzednio.

Proces ów ścinał poetę z nóg, ale przypinał mu skrzydła. Gdyby nie serdelki i bułka, które przypominały o ziemi, byłby sądził, że wisi między gwiazdami. Aż przyszedł dzień, że nawet okruszyn po bułce, które zgarnął z rękopisu, nie stało. Położył się głodny i nazajutrz litery to wyginały mu się w rogaliki, to znów pęczniały w gomółki sera. Wieczorem napił się nieco wody i myślał o rzeczach zasadniczych i wzniosłych. Tej jednak nocy do szyby jego okna przylgnęła szara, ohydna, kosmata macka i potrząsnąwszy kawałem mięsa, cofnęła go z powrotem; to Dusza Miasta dawała pierwszy sygnał, że go ma na oku.

Należało tedy zejść z podniebnych wyżyn na ulicę, aby jeść, nie zaś być zjedzonym. I oto poeta z władcy gwiazd stał się poprostu nieznanym młodzieńcem, poszukującym w dużem mieście tak słusznie zwanej posady.

* * *

Ulica, odludna i niemal podmiejska, była o tej porze obiadowej pusta. Jednym, jedynym jej chodnikiem szedł jeden, jedyny młodzieniec o dość wyszarzanej czerni artystycznego nieco stroju. Przed samotnym parterowym budynkiem, otoczonym pochylonemi parkanami, stanął i rozejrzał się niedowierzająco. Czyżby to było tu! Dom długi, niski, murowany, ale z doczepionemi zboku drewnianemi szopami, wyglądał ponuro i dziwacznie. Kraty i częściowo zasmarowane kredą szyby okien jeszcze zwiększały niemiłe wrażenie. Nad ciężkiemi drzwiami frontowemi wisiał szyld z wymalowaną postacią niewieścią w szatach klasycznych, która trzymała przed sobą czworokątną chustkę wprost na widza. Nad tem wił się wśród liści laurowych i zdobniczych wykrętasów lakoniczny napis:

— Filmona.

Przechodzień wzruszył ramionami i dobywszy z (pustego zresztą) pugilaresu kartki z adresem, sprawdził numer. Niestety, był trafny. Ale Filmona! Co miał wielki prezes wielkich banków, wielkich kopalń i wielkich miljonów wspólnego z tem przedmieściem i jakąś tą Filmoną? Byłoby to dobre na firmę dla kapeluszarki. Dostał jednak ten, a nie inny adres z pierwszych rąk, bo od samego złotolitego jak żywy Buddha woźnego banku w śródmieściu, do którego się był rano zgłosił. Czy w świecie jest dużo zjawisk bardziej imponujących, niż wspaniali woźni wspaniałych instytucyj? Młody człowiek sądził, że zapewne nie. Drżały mu nieco ręce i biło serce za każdym razem, gdy stawał w progu nowej instytucji, biura czy banku, gdyż każda z nich mogła decydować o jego losie: przyjęciu podania o posadę lub odrzuceniu tegoż podania. Ludzie jednak nie byli tak źli; poprostu, nie mieli dla niego posad. Ostatni dyrektor ostatniego biura dał mu nawet bilet polecający: rzecz, do której wcale nie był zobowiązany. Był to właśnie bilet do wielkiego prezesa. Dając mu, nadto objaśnił:

— Panie, to — jeden z najmożniejszych dziś w kraju potentatów przemysłu, .patron połowy miejskich instytucyj. Jeżeli pan doń dotrze i dobrze go dla siebie zdoła usposobić — — pochlebiam sobie, że dotarcie ułatwi panu ten bilet, a reszta — — to już od pana zależy. Próbować! W każdym razie próbować! Prezes o tej porze bywa zwykle w swoim banku.

Jednak w banku prezesa nie było, wspaniały zaś odźwierny poprzez litościwą pogardę wzroku, którym przemierzał artystyczną garderobę petenta, uronił od niechcenia podmiejski adres i słowa:

— Tylko, że to, można tak powiedzieć, nadarmo. Tam obcego nie przepuszczą. Pan prezes takich interesantów przyjmuje tylko we wtorki, w kancelarji. I to, jeśli nie automobilem, kawał drogi będzie też. — —

Nie automobilem!.... Młody człowiek miał pieniędzy na jeden tramwaj i trzy bochenki chleba, względnie na inną kombinację tejże sumy, i to przez czas nieograniczony nawet nadzieją zysku. Pan prezes przyjmuje „takich" interesantów tylko we wtorki... Brwi młodego człowieka utworzyły poziomą kresę jak chmura nad oczami, w których latały błyskawice. Wypogodził je jednak szybko. Kto wie? Może to właśnie ostatnia próba? Może właśnie te ostatnie kilkanaście groszy to zarodek przyszłej jego fortuny przez tego nieznanego prezesa? Prezes, który miał t a k i e g o woźnego, och! taki prezes musiał być chyba potężny! Gdyby nawet przyszła mu fantazja zadawać się z tak dziwnemi przybytkami, jak obdrapana „Filmona", do której już nawet tramwaj nie dochodził o dobre dwa kilometry!...

Młody człowiek potrząsnął czupryną i energicznie wbiegłszy na stopnie ganku, poszukał dzwonka. Niestety! Dzwonka nie było nawet śladu a i same drzwi robiły wrażenie, że nie otwierano ich

wogóle wcale. Młodzieniec wzruszył ramionami i bezradnie rozejrzał się w prawo i w lewo. Z jednej strony do domu przylegał pusty plac, z drugiej — głuchy szary parkan z olbrzymią wrótnią, zamkniętą na rdzawy zamek. Czy „Filmona“ wyciągała przed sobą chustkę, aby otrzeć łzy nieszczęśnikom, którzy się do niej przyczłapali po podmiejskich brukach, aby obejrzeć zamknięte drzwi. Spojrzał niepewnie na odwilgłe, żółte od zacieków mury, na kraty w oknach, na otaczające pustkowie i wzdrygnął się niemile. Prawdziwa jaskinia zbrodni z dziesięciogroszowych Pinkertonów lub innych amerykańskich sensacyjnych bzdur!...

* * *

Nagle tuż obok zasuniętych sztabą wrótni skrzypnęły zawiasy i zazgrzytał klucz. Przechodzień obrócił się śpiesznie: w parkanie otworzyła się mała niska furtka i wyrostek lat kilkunastu, bez kapelusza, wypadł z niej z wielkim kluczem w ręce i skręcił za róg. W niedomknięciu widać było kawał pustego podwórza. Interesant śpiesznie zbiegł ze stopni ganku i pchnąwszy furtę szerzej, wszedł w głąb. Rzucił okiem na pusty plac, zawalony budulcem, żelastwem i porośnięty trawą, i przeciągle gwizdnął.

— Zupełnie jak w „Spelunce fałszerzy“ lub czemś podobnem. Wspaniale kryminalne ustronie, stworzone do zbrodni i intrygi. I nawet — posłuchajmy! — jakiś motor, służący celom zakazanym, warczy w podziemiach. A oto i auto pana prezesa: Phi, phi! Takie auto na takiem podwórzu... Romantyczne historje! Co to jest? Krzyk?...

Ironiczny wyraz twarzy młodzieńca ustąpił nagłej powadze: ściągnął brwi i stanął jak wryty, nasłuchując. Coś, jak daleki, stłumiony jęk czy wołanie przecięło ciszę głuchego podwórza i ucichło. Wzruszył ramionami sam nad sobą. Najwidoczniej nerwy uległy bezwiednie wpływowi ponurego otoczenia. Okrążył głuchy mur budowli z tej strony i dotarł do szeroko otwartych, jak w hali fabrycznej, odrzwi, prowadzących przez podsienia do wielkiej i zupełnie ciemnej szopy, do której przez szpary dachu przenikało rażące oczy kontrastem światło dnia. Szerokie, niskie ale zupełnie ciemne schody prowadziły na piętro. Szczególnie. Bardzo szczególnie wyglądało to biuro pana prezesa! Młodzieniec zaczynał czuć niezwyciężoną wewnętrzną nieufność. Czemu ta odległa dzielnica, ten głuchy parkan, ta zamknięta na klucz furta, którą mu otworzył tylko przypadek? Co znaczy głuchy warkot motoru, od którego zlekka drgały deski ścian? Co najmniej było to wszystko razem dziwne! A może — niewiarogodne przygody Szerloka Holmesa i jemu podobnych nie były znów tak dalekie od rzeczywistości?... I właśnie on, on, nie kto inny! — był tym szczęśliwcem czy nieszczęśnikiem, któremu los dawał w ręce klucz od zamkniętych drzwi do sanktuarjum potentata i dygnitarza?... W takim razie tem lepiej! Nie cofnie się z pewnością, cokolwiekby się zdarzyć miało! I alboż nie zabawne, że przyszedłszy w roli petenta do tego przemożnego miljonera, kto wie, czy nie wyjdzie jako... Hola, panie prezesie! Czy można prosić o małe niespodziane interview?... Błysnął czarnemi oczami i przeskakując po dwa schodki na raz, pobiegł na górę przy niemiłem świetle, sączonem przez szpary dachu, w mrok.

* * *

Przed nim rozciągał się ciemny, szeroki kurytarz, w którym gdzieś daleko na końcu paliło się żałobnie żółte światełko lampki. Zmierzył właśnie w tę stronę, gdy nagle krew ścierpła mu w żyłach i włosy podniosły się dęba: rozpaczliwy, pełem męki, bólu i strachu krzyk rozdarł ciemnię tuż gdzieś obok niego, za ścianą, jak ostatnie przedśmiertne wezwanie:

— Ratunku, o Boże! Ratunku!... Mordują! Mor!...

Głos — był to głos kobiecy — zmilkł nagle, jakby zduszony. Coś ciężkiego głucho runęło na ziemię. Nie było chwili do stracenia. Wicher świadomości, że oto żartobliwe raczej przypuszczenia z przed chwili są straszliwą rzeczywistością, że dziwny traf uczynił go świadkiem ohydnej zbrodni, przeleciał przez mózg młodego człowieka jak piorun i rozpalił jedyną myśl:

— Na pomoc! Cokolwiekby się stać miało, na pomoc! Tam mordują kobietę!

Runął, jak burza, przed siebie, waląc naoślep pięścią w cienką ścianę, z poza której rozległ się krzyk. Musiały tam być drzwi, gdyż usłyszał wyraźnie nagły gwar kilku męskich głosów, ponad które wybił się jeden, rozkazujący i gniewny krzyk:

— Nóż, psiakrew! Gdzie jest nóż?... Znowu przez was całą robotę wezmą djabli! Żeby to jasne pioruny!... Zgasić światło, tam!...

O krok dalej w ścianie otwarła się ciemna paszcza drzwi i wypadł z nich jakiś nawpół ubrany mężczyzna. Zanim jednak zdążył postąpić krok, młody człowiek chwycił go za kołnierz i z całej siły rzucił o ścianę. Usłyszał poza sobą przekleństwo i głuchy upadek ciała, sam zaś, jak burza, runął przez drzwi do małego ciemnego przedpokoiku, pchnął następne — i nagle stanął w progu jak wryty przed brutalnością sceny, która uderzyła go jak cios.

* * *

W środku dziwacznego nieładu desek, poprzewracanych mebli i przyborów podróżnych, na dywanie leżała młoda kobieta w poszarpanej w strzępy kosztownej sukni, którą ktoś odwrócony plecami dusił za gardło, klęcząc jej jednem kolanem na piersi. Widać było tylko ordynarne, ciężko podkute buty i typową czapkę apasza na ziemi obok. Drugi, wytwornie ubrany mężczyzna stał obok, pochylony, uważnie badając twarz ofiary. Dalej,

na przewróconym fotelu z założonemi rękami jeszcze jeden dżentlmen siedział w pozie wyraźnego znudzenia, jakgdyby wyczekując na koniec. Kobieta już nie krzyczała. Zbrodniarze już zdołali widocznie zrobić swoje.

Na widok przybysza, który wpadł blady, z płonącemi oczami i pięściami zaciśniętemi, porwali się wszyscy z miejsc, najniespodziewaniej zaskoczeni. Zanim jednak mieli czas przedsięwziąć cokolwiek, młody człowiek ze sprężystością tygrysa skoczył ku duszącemu kobietę drabowi i razem z nim potoczył się na ziemię. Poprzez wściekłą pasję, która czerwonym płomieniem zalała mu mózg, słyszał tylko jedną setną świadomości zmieszany gwar i krzyki poza sobą. Tarzał się po dywanie ze swym przeciwnikiem w żelaznym chwycie, gdy wtem coś, jak rozpalony do białości bicz, chlasnęło go oślepiającą smugą światło po oczach. Uczuł piekący ból aż gdzieś pod źrenicami w mózgu i zmrużywszy powieki, mimowolnym odruchem zasłonił oczy ręką, puszczając luźno wroga. W tejże chwili kilka rąk chwyciło go za kołnierz, podniosło na nogi i jeszcze oślepionego zawlokło gdzieś pod ścianę. Głos — ten sam, który wołał o nóż — powiedział tuż nad nim:

— Dość! Zgasić. Otwieraj pan oczy, do pioruna!

Błędnie, opierając się mocno o ścianę poza sobą, otworzył obolałe źrenice. Pierwsze, co zobaczył, była duszona kobieta. Stała na środku dywanu, z włosami nawpół rozrzuconemi na cudownych nagich ramionach, przytrzymując strzępy wspaniałej sukni u gorsu upierścienionemi maleńkiemi dłońmi. Patrzyła wprost w niego, cała pochylona od napięcia naprzód, oczami jak olbrzymie turkusy na prześlicznej twarzyczce przestraszonego dziecka. Bandyta, klnąc, otrzepywał ubranie i stękał, chwytając się za kolano, znudzony dżentlmen był widocznie na kurytarzu, gdyż rozlegały się tam gniewne głosy, trzeci zaś stał przy młodzieńcu i trzymał go mocno za kołnierz.

Nagła, niezwyciężona świadomość jakiegoś niepoprawionego głupstwa, czegoś śmiesznego na wieki i bolesnego jak osmaganie publiczne olśniło krótko i rozpaczliwie mózg obrońcy.

— Gdzie jestem?... — wyszeptał błędnie, jeszcze cały rozdygotany napięciem poprzedniej sceny. — Co... to?...

Gruby jegomość zżymnął ramionami i prychnął mu pogardliwie, puszczając kołnierz z ujęcia, w twarz.

— Rzeczywiście! Jeszcześmy się sobie nie zaprezentowali: proszę! Jesteś pan w atelier wytwórni filmowej firmy „Filmona", właściciel Gross, do usług! Trafił pan na próbne zdjęcie trzeciego aktu naszego ostatniego scenarjusza. Chcielibyśmy nawzajem wiedzieć, z kim mamy tak niespodzianą i... dotkliwą... przyjemność?...

Młody człowiek gasnącemi oczami obrzucił postać pana prezesa; jego ręce z palcami w pierścieniach jak wałki, wygoloną twarz i zapłynięte tłuszczem oczka. Zresztą było mu już wszystko obojętne: tak mógłby się czuć skazaniec, oglądający kata na chwilę przed ścięciem.

— Nazywam się... Marek... Niezłom... — wyrzekł bardzo cicho. — Skierowano mię tu do pana prezesa... Szukałem posady — — Chłopiec zostawił furtę otwartą — — wszedłem — — ten krzyk — — Nie znam tych rzeczy wielkomiejskich, rosłem w puszczy. Myślałem — — nie wiedziałem. — —

Umilkł i spuścił głowę. Mężczyźni spojrzeli po sobie — i nagły, niepowstrzymany, homeryczny śmiech wstrząsnął powietrzem. Reżyser, siedząc na stołku, trzymał się za boki, aktor - bandyta wyrzucał czapkę w górę, gruba twarz Grossa drgała i brzuch się trząsł. Nad wszystkiem jednak górował, jak srebrny dzwoneczek, prześliczny, perlisty śmiech artystki. Jednocześnie śmiała się, tupała nóżkami i trzęsła prezesa za ramię.

— Panie prezesie, niech pan nic do niego nie śmie mówić, słyszy pan?... I wy wszyscy! Oj! Nie mogę! Przecież to — bohaterstwo! Rozumiecie?... Biedaczek, on myślał, że tu naprawdę mordują kobietę i rzucił się na trzech drabów, sam bez broni! O, Boże, dlaczego mię zmuszacie, żebym się śmiała!... Panie Niezłom, niech pan przyjdzie tu do nas! Prezeseczku, prezes jutro, nie — dziś znajdzie tę jakąś posadę, prawda?... Przecież mu się to należy, koniecznie należy! Panie Niezłom! Ach! Co mu jest?...

Ale Marek nie mógł już odpowiedzieć. Krwawa łuna wstydu zalała mu mózg i oczy. Uczuł, że kolana pod nim się uginają i że się zapada w cętkowany czerwono mrok. Z niezmierną ulgą pomyślał sobie, że oto umrze i nikt się już nie będzie z niego śmiał. Jak przez mgłę doszedł go jeszcze lekki, przestraszony okrzyk, i uczuł jak dwie miękkie rączki podłożyły mu się pod chwiejną głowę, owiewając falą perfum. Słyszał jeszcze głosy: Dać mu wody! Zanieść go na kanapę!... ale już mu było wszystko jedno. Położył się na słodkiem oparciu jak na fali i zemdlał.

Tak się odbył chrzest wychowanego w puszczy Marka Niezłoma w osierdziu wielkomiejskiej ośmiornicy, która już wyciągała po nową ofiarę macki w postaci dwu miękkich i wonnych rączek o nieposzlakowanem manicure, ze swego najistotniejszego matecznika dni dzisiejszych — z filmu.

(d. c. n.)

*Kobieta w Argentynie**)

Rolę i stanowisko kobiety w Argentynie ukształtowały warunki, w jakich się kraj rozwijał i te prądy, które w nim urabiały strukturę życia społecznego. Zdobywcami i pierwszymi immigrantami ze starego świata, osiadłymi nad Rio de la Plata, byli sami mężczyźni. Awanturniczy charakter wypraw nie pozwolił uczestniczyć w tem kobiecie europejskiej. Pierwszym osadnikom europejskim w dzisiejszej Argentynie natura kazała szukać kontaktu z ludnością indyjską, co w rezultacie stworzyło osobny typ metysów „criollo". Kobiety europejskiej, albo powiedzmy białej, był zupełny brak, a skoro się gdzieś pokazała, była przez wszystkich pożądaną i uwielbianą, co w rezultacie szybko doprowadziło do zmanierowania jej, uprzywilejowania, skapryszenia, a nawet próżności. To zaś kobiety z natury swojej przyswajają sobie nader szybko, co zczasem weszło w dziedziczny zwyczaj i nadało kobiecie argentyńskiej odrębne i osobliwe usposobienie. Dzisiaj jeszcze istnieje niedobór 14 kobiet na 100 mężczyzn. Kobieta też od chwili tworzenia pierwszych ognisk domowych stawała się tylko żoną, zabawką i lalką w ręku mężczyzny. Wolne pożycie nie stworzyło trwałej formy organizacyjnej, a w związkach małżeńskich, gdzie one dochodziły do skutku, kobieta nie stanowiła z mężczyzną czynnika współmiernego. Obok tego wyrastał zwyczaj daleko posuniętej osobistej zależności kobiety od mężczyzny. W konsekwencji tego kobiecie wypadało przesiadywać samotnie w domu, rodzić dzieci, bez zajmowania się jakąkolwiek fizyczną lub umysłową pracą. Stąd też pomijając „bogatą śmietankę", która czas spędza na wiecznych zabawach, przyjęciach, spacerach etc., życie przeciętne Argentynki jest pełne nudów i bezczynności, zabijanej robótkami ręcznemi. Jeżeli zresztą stosunki na tym punkcie układają się rozmaicie w poszczególnych warstwach społeczeństwa argentyńskiego, to kobieta przeważnie nie bywa ani gospodynią, ani towarzyszką życia męża. W ognisku domowem



Indjanie z południowych terytorjów Argentyny.



Indjanie z pogranicza paraguayskiego.

*) Artykuł ten wraz z rysunkami został wyjęty ze znakomitej książki dr. Józefa Włodka: „Argentyna i emigracja", ze szczególnem uwzględnieniem emigracji polskiej. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. Duży tom o 513 stronicach z 50 mapami, tablicami i fotografjami, o nadzwyczaj urozmaiconej treści, kosztuje Zł. 12.50.

nie umie stwarzać ponęty dla mężczyzny, aby go związać z domem. Stąd też życie domowe w Argentynie mało kwitnie, ustępując miejsca klubowi, restauracji, hotelowi lub pensjonatowi. Często przykre kłopoty ze służbą domową skłaniają małżeństwa do likwidacji domowego gospodarstwa i przeniesienia się do pensjonatu lub hotelu. Argentynka, wychowana w pieszczotach i dostatku, ale powierzchownie, żyje tylko chwilą bieżącą, nie znając głębszych ideałów. Otrzymuje ona duże wykształcenie towarzyskie i salonowe, gdy tymczasem wiedza i nauka, jak wszelkie praktyczne zajęcia kobiece są jej zgoła obce. Są zresztą zbyt wygodne i rozpieszczone, aby zadawać sobie trudu na jakiekolwiek gruntowniejsze studja. Piękność i strój stanowi dla nich wszystko. U bogatszej Argentynki oglądanie wystaw i modeli w wielkich domach konfekcyjnych stanowi niemal codzienny repertuar. Argentynka odmówi sobie wszystkiego, może cierpieć nawet głód i mieszkać jaknajskromniej, ale musi być zato gustownie i szykownie ubraną, przyczem wszystkie dbają szczególnie o strój swych pięknych i zgrabnych nóżek. Krzyżowanie rasy i narodowości wytworzyło w Argentynie prawdziwe piękności, które, gustownie ubrane i dyskretnie umalowane, mają niesłychanie dużo wdzięku i powabu. Szkoda tylko, że obok tych pięknych zalet fizycznych nie łączą w sobie równie pięknych skarbów duchowych, bo to pozwoliłoby kobiecie odegrać nader ważną rolę w życiu społecznem. Argentynka jest cicha, potulna, ma dużo kobiecości i będąc czynnikiem współmiernym w życiu rodzinnem, mogłaby w dużej mierze zmienić dzisiejszy stan rzeczy. Argentynka ma niezmiernie dużo dobrego serca i działalność licznych, towarzystw dobroczynnych, stworzonych z pośród kobiet, najlepiej charakteryzuje jej dobroć.



Ruiny olbrzymiego kościoła jezuickiego w San Ignacio, w Misiones.

Immigrantka europejska odgrywa w Argentynie przedewszystkiem rolę elementu pracy i doniosłego czynnika w organizacji życia rodzinnego. Gdybyśmy dla przykładu przytoczyli kolonje polskie w Misiones, to tam doskonale ujawniła się wysoka wartość naszej kobiety, jako żony, towarzyszki życia i pracy męża, oraz gospodyni i można twierdzić, że dzisiejszy pomyślny stan tych kolonij to w wielkiej mierze zasługa kobiety. Znane u nas przysłowie, że kobieta w gospodarstwie trzyma trzy węgła i tam sprawdziło się w całej pełni. Ludność tubylcza, zazdroszcząc czasem dobrobytu naszym ludziom, nie dostrzegała pracy kobiety. Dla mężczyzny na emigracji kobieta-towarzyszka życia jest przeważnie największą moralną podporą i nierzadko, gdy jej brakło, mężczyzna schodził na bezdroża. Liczba listów, jakie przeszły przez me ręce, w których pozostałe w kraju żony poszukiwały

swych mężów, wskazywała jak częste były tego wypadki. Ognisko domowe emigranta, w którem duszą ożywczą jest kobieta, podtrzymuje nader silnie *ducha narodowego i moralność.* O ile idzie o nasze emigrantki, to Związek kobiet polskich w Apostoles i Azara zapisał się chlubnie w dziejach kolonji w Misiones.

Nie można pominąć także i drugiej strony medalu. Emigracja żeńska, znalazłszy się w stanie wolnym w większych centrach miejskich, nierzadko ulega wielkomiejskiej demoralizacji, staczając się na fale demi-monde'u.



Święcenie wielkanocne na kol. Azara.

O ile idzie o rolę kobiety w życiu społecznem i gospodarczem Argentyny i porównanie Argentynki z obcokrajanką, to na zakończenie przytoczymy opinję z miejscowych sfer argentyńskich. Autor komentarza do Censo z r. 1895, omawiając tę kwestję, pisze: „Kobieta obca prawie zawsze współpracuje z mężem i przez to staje się elementem produkcji i nigdy nie jest ciężarem męża... Argentyńczycy naodwrót są mniej pracowici, a bardziej rozrzutni... i Argentynka prawie nigdy na siebie nie pracuje, a w większości wypadków jest tylko elementem konsumpcji rezultatów pracy męża".

Należy tu wspomnieć, że w ostatkich czasach dokonywa się powoli zmiana i kobieta argentyńska zaczyna się oswajać z myślą o konieczności pracy i zarówno w niektórych biurach, jak centralach telefonicznych, a *przedewszystkiem w szkołach powszechnych,* pracuje znaczna liczba kobiet. Tak samo w różnych zakładach przemysłowych i handlowych.

Wychodztwo polskie

w Stanach Zjednoczonej Ameryki

Doniosłą lukę w piśmiennictwie polskiem wypełnia książka pod powyższym tytułem. Autorem jej jest dr. Mieczysław Szawleski, b. wicekonsul w Nowym Jorku, który rezultaty swych czteroletnich doświadczeń i badań zamknął w tem ciekawem dziele.

Książka jawi się we właściwej dobie, kiedy bez złudzeń można wyrazić opinję, że ta karta historji polskiej, której na imię „Emigracja do Stanów Zjednoczonych", poczyna się szybko zamykać. Zdaniem autora: „Wychodztwo, to masa, przybyła do Ameryki z pod strzechy chłopskiej, która dopiero po drugiej stronie oceanu zwykle uczyła się czuć i myśleć po polsku. Zakładając na obcej glebie podwaliny pod nowe gospodarstwo, wniosło wychodztwo do niego słaby znicz życia narodowego, oparty na wierze i tradycji rodzimej. Pod wpływem ciernistych czasem wysiłków znicz ten tlał, nabierał siły, a wreszcie podczas wojny buchnął jasnym płomieniem poświęcenia i ofiarności, aby wyładować nagromadzoną energję i wrócić do psychozy spokojnego sumienia, a nawet do utraty wiary i zniechęcenia. Dość gwałtownie zwęża się myśl na wychodztwie, coraz słabszem tętnem sięga w głąb mas wychodźczych, dość nieoględnie rwą się węzły braterstwa plemiennego. Uczucie pesymizmu i apatji cechuje obecnie życie narodowe na wychodźtwie. Zachodzi obawa, aby ten okres przejściowy nie przeszedł w stan chroniczny, aby życie narodowe nie straciło swego patrjotycznego sentymentu. Dawne uczucie ofiarności zaczyna powoli zasypywać proch zapomnienia, rodzi się indyferentyzm, rośnie wyłączna troska o chleb codzienny. Walczy z tem prasa dość nieumiejętnie dawkami politycznemi sentymentu, reagują energiczniejsze jednostki, lekarstwo jednak na te znieczulające się nerwy wyjść musi również od społeczeństwa w Polsce. Mimo trosk wewnętrznych, musi społeczeństwo polskie więcej zainteresować się wychodźtwem, poznać je i zrozumieć. Przez lata bytowania wśród warunków i poglądów innego otoczenia, z biegiem czasu zmieniają się ludzie, zmieniło się i wychodztwo. Pozostała stara tęsknota i miłość ojczyzny na podkładzie nostalgji, przybyła duma z odzyskanej wolności, lecz uległy zmianie poglądy i życie dawnych wychodźców z pod trzech zaborów. Na nowo trzeba się poznawać, szukać łączności, badać wspólne troski, nadzieje, ambicje, i głosić prawdę o sobie".



Dr. Mieczysław Szawleski. Kierownik Biura Ekonomicznego Banku Polskiego.

Książka spełnia jedną stronę tego zadania, a mianowicie głosi prawdę o wychodztwie krajowi ojczystemu.

W przedmowie autor tak ten zamiar wyraża: „Przewodnią myślą niniejszej pracy jest życzenie, aby, korzystając z ułatwień służby zagranicznej, służyć Rzeczypospolitej rzeczowem sprawozdaniem o potężnym odłamie narodu polskiego, który osiedlił się i urządził po drugiej stronie oceanu. Polska wychodztwa i jego amerykańskiego podłoża nie zna, a jednak przeżycia wojny i pierwszego pięciolecia Państwa Polskiego powinny zachęcać, aby się bliżej poznać i zrozumieć. Interesować musi 3-miljonowe społeczeństwo polsko-amerykańskie, jako ciekawa kompozycja nowej ziemi z zaletami i wadami chłopa polskiego, który od przeszło pół wieku wśród obcej mu kultury wybudował sobie powoli nowe życie, na organizacji, kościele, szkole i prasie oparte. Własna państwowość ułatwia badania nad współczesną wędrówką za lepszym chlebem, która przed wojną mobilizowała na ziemiach polskich przeszło miljon ludzi rocznie i 2 miljony wyrzuciła na brzeg amerykański, a dzisiaj znowu porusza liczne nadzieje. Do

najwięcej rozproszonych narodów należy i naród polski, troska zatem o dobro swych obywateli zagranicą przy obecnym chaosie myśli i czynu stawia przed państwem trudne zadania, które wymagają sprawnego dotknięcia i rozwiązania. Ameryka w dobie powojennej obejmuje światową godność sędziego opinji i skarbnika finansów, wymaga więc w zespole narodów większej familijnej ciekawości i troskliwości".

Z pełną skrupulatnością wywiązuje się autor z tego obszernego zadania, ofiarując poważne dzieło, którego rozmiar najlepiej ilustruje poniższy wykaz treści: Rys historyczny, Osadnictwo w Ameryce, Warunki życia, Praca i płaca, Niedola wychodźcy, Społeczeństwo polsko-amerykańskie, Stowarzyszenia i ich federacje, Organizacja kościoła, Szkolnictwo i wychowanie, Oświata i prasa, Życie narodowe, Stosunek do Rzeczypospolitej, W społeczeństwie amerykańskiem, Amerykanizacja, Zagadnienie immigracji, Ustawodawstwo i procedura immigracyjna, Immigracja polska w dobie powojennej, Reemigracja, Służba konsularna, Opieka prawna, Zdobycze wychodźtwa na polu gospodarczem, Pomoc gospodarcza dla Polski, Współżycie obu republik.

Nie pomija zatem autor żadnej dziedziny życia narodowego, społecznego i gospodarczego, dając pełny, żywy i interesujący obraz stosunków na wychodźtwie. Podkreślić należy, że obok szczerej treści i bogatego zasobu materjałów, książka pisana jest barwnie, żywo i z widoczną troską o język literacki. Pomimo tematu na pozór specjalnego, książka pociąga każdego czytelnika śmiałością tematu i jasnością myśli, trafnym rysunkiem scenerji amerykańskiej i głęboką obserwacją społeczeństwa polsko-amerykańskiego. Przed oczyma czytelnika przesuwają się liczne obrazy z tej gałęzi oderwanej od pnia macierzystego, a żyjącej wśród anglo-saskiej kultury.

Książka nie nuży nadmiarem reminiscencyj historycznych i dat statystycznych, natomiast utrzymana jest w duchu aktualności, mówi o tem, co dzisiaj jest i jak przyszłość się zapowiada.

Dużą zaletą dzieła jest troska o bezstronność i chęć służenia wyłącznie interesom Państwa Polskiego. Tę troskę najlepiej akcentuje koniec rozdziału II. „Mija pół wieku od chwili, kiedy lud polski począł w większej masie napływać na brzegi amerykańskie, upłynęło więc sporo czasu, znoju i wysiłków, aby spojrzeć na przeżycia, niepowodzenia czy sukcesy przybyszów po drugiej stronie oceanu. W okresie niepodległej Rzeczypospolitej analiza doświadczeń, zalet czy wad tej gałęzi polskiej, oderwanej od pnia macierzystego i żyjącej wśród obcej kultury, będzie również drobnym przyczynkiem do orjentacji, jakie siły społeczne drzemią u podwalin młodego państwa".

Mimo wielu smutnych spostrzeżeń nie wionie książka pesymizmem tak dzisiaj modnym. Przeciwnie, pracę kończy autor zwięzłą opinją: „Do bilansu życia państwowego sprawozdanie niniejsze wnosi mało sukcesów, a sporo strat duchowych i materjalnych. Egzamin nie potoczył się pomyślnym torem i w końcowym rachunku przyniósł straty—ostrożnie kalkulując niewyzyskaną tylko konjunkturę gospodarczą — około 200 milj. dolarów. W każdej dziedzinie, od sentymentu wychodztwa począwszy, przez reemigrację, korporacje, przesyłkę oszczędności, wymianę handlową, aż do sympatji Ameryki, przewija się saldo ujemne. Niektóre pozycje są bezpowrotnie stracone, inne, nadwątlone, wymagają zdecydowanej energji, aby je podmurować. Niema powodu do pesymizmu. W miejsce bowiem dotychczasowych walk, słomianych programów i przelotnych nastrojów ster nawy państwowej ujmują zgoda, wiedza i wiara. Te rękojmie tylko mogą Polskę drewnianą — wobec korzystnej sytuacji sąsiedzkiej — murowaną przekazać następcom".

Niewątpliwie książka spotka się z powszechnem przyjęciem nie tylko wśród czytelników „Ameryki-Polski", lecz również wśród szerokich sfer społecznych i władz państwowych, interesujących się życiowo lub narodowo zagadnieniami przez Autora poruszonemi.

Ten, co ugrzązł

(Dalszy ciąg ze str. 6)

Rozmowa ich tego ranka była poważna, jak zwykle nią bywa rozmowa chłopców. Rozprawiali o swej przyszłości, jak zwykle chłopcy rozprawiają. Że jednak byli amerykańskimi chłopcami, ich zamysły miały dwa znamiona: najpierw, że chyba samo niebo stanowiło jedyną granicę ich ambicji; powtóre, że żaden nie chciał iść śladem swego ojca. Ojciec Joela był redaktorem; ojciec Luka miał sklep żelazny. Więc Joel postanowił poświęcić się handlowi, a Luke — zawodowi pisarskiemu. Spierali się z zapalczywością młodości. Przechodzień byłby myślał snadno, że wezmą się za czuby. A oni jeno swą powagą byli tak hałaśliwi. Ich argumentacja w niczem nie przypominała sporów w Eklogach Wirgiego. Była to antystrofa gwary i wyciągania.

— Widzicie go! Jaki mi ta! Ki djabli tobie do handlu?

— Ty sam jaki mi ta! Widzicie go! Ki djabli tobie do gryzipiórstwa?

Potem śmiali się zapamiętale, wymieniali szturkańce w udanej złości i szli na całodzienną włóczęgę, by do domu wrócić wieczorem zbyt wyczerpanymi, by brać się do nauki, czytania, lub bodaj zabawy.

Obydwaj lubieli czytać. Joel Wixon gwoli wzruszeniu, Luke Mellows, by wymiarkować, jak się książki pisze. Obaj też chadzali do teatru, do „Opery", gdzie nigdy oper nie grywano. Joel bywał tam często i darmo, gdyż ojciec jego, jako redaktor, miał cudowny przywilej wolnego wstępu. Może dlatego Luke pragnął zostać pisarzem. Bo Mr. Mallows, twardy, jak towar, którym kupczył, nie uznawał teatru i nie dawał z siebie wydusić ani wypłakać pieniędzy na bilet. Aż Luke dochrapał się sprzedawania afiszów i wolnego wstępu, cennego przywileju, który trzymał w tajemnicy, jak długo zdołał, lecz go zaraz utracił, skoro tylko ojciec zauważył jego znikanie w wieczory, kiedy grano. Może już nigdy Luke tak nie będzie cierpiał, jak po tym ciosie. Stracił sposobność kształcenia się za darmo i za darmo napawania się częstemi sztukami Szekspira, i nie jego tylko: tam grywano wszystko, co wzrusza i porywa. Dla niego teatr był owiany chmurami, Olimpem mistycznych uniesień. Lecz Mr. Mellows miał teorję o tem, co złe, a co dobre, tak twarde i ostre, jak noże w jego sklepie: cokolwiek było rozkoszne, piękne i radosne, było widocznie występne, gdyż Bóg oczywiście stworzył wszystko, co ponętne, na wabik u czartowskiej wędki.

Więc od Joela Luke dowiadywał się o sztukach, które dawano, a serce wygnańca ociekało zazdrością. Chodzili na wycieczki w górę rzeki, lub przez most w zaczarowaną krainę, co się wynurzała z pod wody, gdy wylewy opadły. I wciąż rozprawiali o przyszłości. Bo dzieciństwo było męką i niewolą, a wrota niebios rozwierały się dopiero w dwudzieste pierwsze urodziny.

Tylko Joel zdobył swą przyszłość, zdobył wszystko, z wyjątkiem dziewczyny, którą układał sobie wprowadzić dumnie do wyśnionego pałacu. Luke postradał wszystko i dziewczynę i wszystkie marzenia. Pomiędzy chłopcami bowiem a ich męskim wiekiem stali ojcowie: straszliwe smoki-potwory, co u szczytu drabiny snać zapomniały, że kiedyś dziećmi czołgały się na czworakach tam w dole. Po wczesnych, ustawicznych nieporozumieniach co do źródeł i dostojeństwa, honoru i godności wnet zaczęła się wojna domowa o wykształcenie.

To ciekawe, że niemal wszystkim chłopcom najgłupiej powymieniano jakoś ojców. I tak: ojciec Joela chlubił się Lukiem, a Joelem ani trochę. Drukował nawet w dzienniku parę jego poezyj i głosił, iż rokuje wielkiego pisarza. Ojciec Joela wzdychał, by jego syn miał coś z talentu syna sąsiada. Martwił się, że Joel nie ma artystycznych upodobań, świadczących o „talencie". Z żalem wyrzekł się nadziei, że syn poniesie dalej pochodnię, którą ojciec rozpalił. Nie mógł dziecka zmusić do genjalności, lecz nastawał, by zdobyło choć wykształcenie. Redaktor bowiem czuł sam brak tego tajemniczego wzbogacenia się, które studja uniwersyteckie dają najmniej nawet pojętnym umysłom. Był więc zdecydowanym dostarczyć go swemu synowi, choć Joel znów czuł, że każda chwila zwłoki w zabraniu się do handlu opóźniała wybicie się w umiłowanym zawodzie.

Ojciec zaś Luka miał wprawdzie jeszcze mniej wykształcenia niż redaktor Wixon, lecz był natomiast jednym z tych, co automatycznie chełpią się wszystkiem, co czynią, i w błędach własnych i upokorzeniach znajdują źródło chluby. Syna wprzągł zaraz do roboty w sklepie i używał do posyłek z towarem przez cały czas wolny od obowiązkowej nauki w szkole. Uznawał wartość wykształcenia, co uczyło wystawiania rachunków i skutecznego stylizowania upomnień do dłużników. Prawdziwemi książkami były dla niego te, które buchalterzy wypełniali żmudnie. Poza tem naukę uważał za stratę czasu, za pracowite marnotrawstwo.

Czuł, że Opatrzność rozmyślnie pokarała go synem, co był do tyla występny i szalony, iż pragnął czytywać historyjki i gapić się na widowiska i latami wałęsać się po szkołach, zamiast brać się ostro do pracy w „interesie". Żżymał się na samą myśl, by jego syn marnował młodość na głupstwa. Drażniło go, że syn o to się dopraszał, i że nie dawał sobie tego z głowy wychłostać.

Poglądy pana Mellows na wychowanie podzielał w zupełności Joel, choć jego samego nie lubił ze względu, iż tak udręczał syna. Joel zaklinał na-

wet Luka, by ten uciekł z domu. Było to niewykonalne z dwu powodów: iż Luke nie był z tych, co uciekają; był łagodny, nieśmiały i posłuszny niezawodnie. Powtóre, jeśli chłopakowi łatwo uciec ze szkoły, to trudniej uciekać do szkoły. Gdyby to zrobił, odesłanoby go z powrotem, a gdyby nawet nie, z czegoby płacił czesne, za książki, utrzymanie, przyodziewę?

Joel nie nakłonił więc Luka do ucieczki, zato wpływ Luka sprawił, że Joel wybrał się do szkół wyższych. Patrząc, jak Luke do nich wzdycha, zrezygnował się zakosztować samemu tych przyjemności. Tak Luke poszedł do szkół pośrednio, w osobie Joela, jak pośrednio miał przeżywać i inne doświadczenia, czytając o nich w książkach.

W wyższej szkole Joel znalazł poza nauką tyle zajęcia, że nabrał ochoty, by ją skończyć. Był tam i klub śpiewacki i atletyczny i wydawano dziennik studencki, dla którego trzeba było ściągać przedpłatę i zbierać ogłoszenia; to znów były wybory do zarządów stowarzyszeń, które należało mądrze i chytrze przeprowadzić,—cały mały światek z tarciami, współzawodnictwem i powagą kosmosu dorosłych. To też Joel, mimo wstręt do nauki, miał tam i miłe zajęcie i zabawę i powodzenie.

Tego samego dnia, kiedy Joel wyjeżdżał na uniwersytet, Luke objął posadę, którą ojciec mu zdobył w tylnej izbie fabryki wody sodowej i lemoniad, tam gdzie buchalterzy urzędowali na wysokich stołkach. Fabryka ta swymi wyrobami biła wszystkie rekordy niesmaczności, iż najbardziej spragnione dziecko po użyciu jej „higjenicznych napojów" dostawało mdłości. Ale wyrabianie, sprzedawanie, a nawet picie tych delicyj było rozkoszą w porównaniu z utrzymywaniem jej ksiąg handlowych.

Jedną z najmilszych, najsmutniejszych i najwspanialszych bajek E. P. Butlera jest opowieść o szczęśliwym osiołku, co krążył wciąż w kieracie, wyobrażając sobie, że obiega świat cały. Ale osiołek był ślepy, więc nic nie tłumiło jego marzeń. A Luke był chłopcem, chłopcem czującym, jak życie kipi w nim w całem ciele, a trawionym fantastycznemi zamierzeniami. Miał w sobie rozpęd, który się w nim dusił i szamotał, aż do zupełnego wyczerpania w jałowej niemocy. Tyle zeń przetrwało, co starczyło na ciągłą udrękę. Dolegało to, jak paznokieć, skrycie a uparcie wrastający w palec i ubezwładniający nogę, co stworzona do pędu.

Kiedy Joel wrócił na pierwsze wakacje, rozwierzgany jak źrebiec, któremu dobrze działo się i w oborze, lecz swobodnym czuje się dopiero na rodzimem pastwisku, najpierw dopytywał się o Luka. Gdy się dowiedział, gdzie go znaleźć, pobiegł do fabryki. Odprawiono go szorstką uwagą, że godziny urzędowe nie są na rozmówki. A w owych czasach godziny urzędowe nie kończyły się z uderzeniem zegaru. To też i w domu Mellowsów Joel nie doczekał się przyjaciela ani tego wieczora, ani nazajutrz. Ubodło go to więcej, niż sam przyznawał. Dopiero w niedzielę po południu odwiedził go Luke, Luke odmieniony: chudy, zgarbiony, wyblakły cień młodzieńca. I powitanie jego było wyblakłe...

— Niech cię djabli! — huknął Joel. — Jużem myślał, że się o coś na mnie boczysz. Nie pokazujesz mi się zgoła.

— Chciałem przyjść, lecz wieczorami tak jestem wyczerpany. A przeważnie muszę jeszcze wracać do biura.

— Do stu piorunów z przeklętem biurem — krzyczał Joel, który już nauczył się kląć siarczyście.

I, by powstrzymać przyjaciela, Joel powstrzymał się od opiewania zabaw studenckich, zapytał natomiast:

— Cóż teraz czytujesz? Musiałeś już połknąć całe bibljoteki.

— Nałykałem się próżni — Luke westchnął;— gdy zamkną budę, nie mam już sił na czytanie. A trzeba też oszczędzać oczu; w naszej tylnej izbie bardzo złe światło.

— No, a cóż pisujesz?

— Cyfry. Ile tuzinów sprzedano wody sodowej, ile lemonjady, a ile próżnych flaszek odesłano.

— Jakto? Nie pisujesz wierszy?

— Niczego.

Joel był uparcie optymistycznym.

— No, to przynajmniej zbijasz pieniądze, a to też coś znaczy.

— Tak. Sam sprawiam sobie obuwie i ubiór i płacę ojcu za utrzymanie. Zostaje mi jeszcze ze dwa dolary zasługi, które ojciec składa mi na książeczkę. Mam już tam coś ze trzydzieści dolarów, że będę mógł sobie sprawić zimowe okrycie.

— Ale swoją Kate zabierasz na wycieczki?

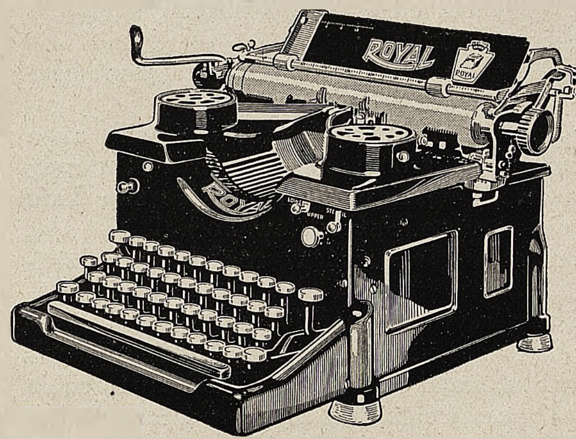
— Chciałbym, gdybym miał kiedy i za co, i gdyby ona czas miała. Zachodzę tam czasem w niedzielę, ale matka wciąż ją odwołuje. Bardzo surowa, odebrała ją ze szkół, by pomagała w domu.

— Przecież miała zostać wielką śpiewaczką?

Luke wzruszył ramionami na wspomnienie mrzonek chłopięcych.

— To zaniechane. Nie może nawet się ćwiczyć, bo to szkodzi matce. Już i w kościele nie śpiewa w chórze. Nie wiem, czybyś ją poznał. Aż popłakuje biedactwo, że tak wychudła. Ja jej oczywiście powtarzam, że nigdy nie była tak piękną, lecz to ją jeno złości. Nie może chodzić na zebrania i zabawy, bo i nie ma w czem. Niewesoło nam nawet, gdy siadujemy razem. Tyle, że siedzimy w zgryzocie, aż ja się odezwę: „Chyba już czas do domu". A ona na to: „Pewno. Zobaczymy się może w przyszłą niedzielę. Bądź zdrów".

Słowik zawadzał sowie, więc go zahuczano; poecie kazano wypełniać cyframi regestra. A jednak świat czekał na nich i potrzebował ich, choć o tem


ROYAL

sam nie wiedział. Chętnie byłby im odpłacił bogactwem i sławą; natomiast milczenie było ich udziałem, milczenie i cierpienie bezgłose.

Joel wysłuchał elegji Luka i mruknął:

— Niech cię kule!

Ale optymizm tkwił w nim, jak potężna sprężyna, co wnet rozprężyła się z sykiem:

— Wiesz co, mój drogi. Poczekaj trochę, aż ja zbiję majątek, a zrobię cię wice-prezesem rady zawiadowczej i będziesz mógł poślubić swą Kate i żyć z nią na Broadway w New Yorku!

— Przestałem wierzyć w różdżki czarodziejskie.

Tych wakacyj Joel mało widywał Luka, a następnych jeszcze mniej. Z usposobienia nienawidząc smutku, wolał go unikać. Wyrzucał to sobie czasami i raz nawet zebrał się na śmiałość pójścia do pana Mellows, by go nakłonić do wysłania syna do szkół. Doznał zimnego przyjęcia i Mr. Mellows cierpiał jakiś czas jego obecność jedynie ze względu, iż dawała mu sposobność zrzędzenia na niezdarność syna:

— Leń jest i kwita! Wałęsałby się jeno, wzdychając i zawracając oczyma, i jak nie ma rozbić sobie nosa! Ale ja mu jeszcze pokażę, że stary ojciec nie ciamajda!

Joel posunął zuchwalstwo aż do przekonywania go:

— Możeby Luke się poprawił, gdyby mu pan pozwolił pójść do szkół. Bo to, widzi pan, niech pan wybaczy mą śmiałość, usposobienia bywają różne. Wprzęgnij konia wyścigowego do pługa: i konia zepsujesz i pług. Mnie się widzi, że Luke, jako pisarz czy profesor, czy coś takiego, mógłby być zupełnie nie w kij dmuchał. Z kanarka nie łatwo zrobić kwokę.

Ale Mr. Mellows zabarykadował się w śmiesznej twierdzy odwiecznej.

— Młodzieńcze, — zawyrokował z powagą — jak będziesz w moim wieku, będziesz mógł mówić o tych rzeczach. Najlepiej zacząć od początku: od szanowania zdania starszych.

Joel miał ochotę powiedzieć: „To zależy od starszych", lecz przemilczał, jak młodzież zwykle milknie wobec oklepanych marudzeń, a odszedł, gdy Mr. Mellows puścił w ruch starą katarynkę.

— Dwanaście roków mi było, gdym porzucił szkołę. Nie zajrzałem tam odtąd, a kto śmie powiedzieć, żem wyszedł na byle hetkę-pętelkę? Pierwszy sklep żelazny w całem Carthage! choć to, niby tego, czasy są ciężkie.

Joel skapitulował, protestując milczkiem. Którychś wakacyj uparł się, by Luka skłonić do ucieczki do któregoś z wielkich środowisk, gdzie o sposobność do wybicia się nietrudno. Lecz Luke jeno głową kiwał. Brakło mu śmiałości. Może jego talentowi tego właśnie nie dostało, by stać się genjuszem. Wzbierał w nim, lecz bez wybuchowej siły.

* * *

Uwieńczony powodzeniem, Joel Wixon pływał teraz po Avonie opodal grobowca Szekspira.

Szekspir umiał wyrwać się z ciasnego Stratfordu. Brał w opiekę wierzchowce przed teatrami londyńskimi i zaraz w tym celu zwerbował innych nicponiów do „Szekspirowskiej drużyny". Miał przedsiębiorczość i do teatru łokciami utorował sobie drogę i został jego współwłaścicielem. Był zawsze awanturnikiem. Pracował u rzeźnika, a nim miał lat dziewiętnaście, był już żonaty z dwudziestosześcioletnią niewiastą, — nie za wcześnie dla dobra pierworodnego dziecka. Luke Mellows nie miał odwagi, czy lekkomyślności, poślubienia Kate, choć miał tak intratne zajęcie, jak Szekspir. Szekspir nie dał przedwczesnej rodzinie zagrodzić sobie drogę. Miał lat 21, jak drapnął do Londynu. Ale drapnął.

W Londynie wrzało wonczas i kipiało. Wielkości dzisiejszego Grand Rapids czy Trenton, ówczesny Londyn rósł szybko. Chłopaki uciekali ze wsi i miasteczek, jak uciekali zawsze. Nie jeden Szekspir zbiegł do Londynu. John Sadler założył tam skład hurtowny, a Ryszard Field drukarnię. Do uciekania chłopaki mieli wówczas tyle powodów, co i dzisiaj.

W tem sęk, że uciekali. Otóż Luke Mellows nie chciał się ruszyć. Lękał się opuścić matkę na łasce ojca, co znęcał się nad obojgiem. Za nic nie chciał zostawić Katę sam na sam z matką, co rządziła nią płaczem. Inni chłopcy uciekali z Carthage, niektórzy na piechotę, jedni, by karki pokręcić, drudzy, by biedę klepać gdzie indziej, inni, by zdobyć bogactwa i wpływy. A inni ostawali w domu. I dziewczęta, to bezwładem zasychały na miejscu, to zyskiwały rozgłos. I na miejscu niektóre poszły na bezdroża, jak na bezdroża poszły inne, co hen po świecie odkupywały grzechy, lub pogrążały się na dno. Były i minjaturowe Aspazje i Joanny Orleańskie i małe Melby i Róże Bonheur. Lecz wszystkie wyrwać się wprzód musiały z gniazda i na swobodzie spróbować swych skrzydeł. Nikt nie wzbił się w górę, kto na lot się nie ważył. Jednych więziło w miejscu tchórzostwo, lecz innych podniosłe zaparcie. Joel czuł, że ci ostatni zasługiwali na niebo, lecz ufał, że i ci pierwsi unikną piekła. Bo kto się uchroni przed własną lękliwością, kto się osłoni od własnej odwagi? Lada podnieta śmiałości, chwila zobojętnienia wobec rąk, co powstrzymują, a przed iloma bite gościńce stałyby otworem? Spojrzeć tylko na szeregi niewiast, których nazwiska rozbłysnęły w naszych oczach, dlatego tylko, że dzisiejsze niewiasty porzuciły zapaski, — ten matron symbol zwietrzały.

Joel nie miał dowodów, że Luke Mellows byłby się wybił. Gdyby był wyskoczył z gniazda, może byłby zginął na miejscu, w błoto wdeptany przez tłum pędzący za powodzeniem, lub pożarty przez krytyków, czyhających na każde pisklę, i ssących krew z wszystkiego, co mocnem skrzydłem nie

wzbije się im nad głowy. Ale Joel nie mógł się również wyzbyć dziecięcej wiary, że w Luku tkwił nowy Szekspir w zarodku. Luke nie napisał nigdy ani sztuki, ani bodaj jednego aktu; zupełnie jak Szekspir, nim drapnął do Londynu. I Szekspir był zrazu jeno poetą, nad którego wierszami wzruszyłbyś lekceważąco ramionami, gdyby ich nie osłaniała późniejsza sława poety. Trzeba było krajana, Fielda, by wydać pierwsze jego wiersze.

Pierwsze wiersze Luka ogłosił ojciec Joela w swem piśmie w Carthage. Joel je pozapominał i zasługiwały zapewne na zapomnienie. Ale jeden wiersz utkwił mu w pamięci. Ten ukazał się w piśmie ojca, kiedy Joel już od lat był magnatem wełnianym. Ojciec wciąż posyłał mu swój dziennik i pewnego dnia Joel Wixon znalazł w nim wiersz taki:

NIEZNANI.

Niekiedy, nocą, w parku, z gąszczów mroku,
Jak z morza toni, z czarnej kwiatów głębi
Woń, jak pieśń, buchnie z kwiecia, co się kłębi
Na dnie pomroki, niewidzialne oku:
Kształt, blask i barwę — noc ciemnością gnębi.

Tak w zwojach kronik, gdzie sławę spisano,
Drgają dzieł echa, Nieznanych śpiew głuchy,
Jak woń ofiarna, zwiędłych serc okruchy, —
Nieznane lico i nieznane miano, —
Jeno śpiew szumi, jak bezdomne duchy.

Luke Mellows.

Usadowiony w łodzi, spływającej po Avonie, i zatopiony w takim mroku, że ledwo widział swe ręce na nieruchomych wiosłach, Joel Wixon powtarzał sobie wiersz ten zcicha tym niskim głosem, którego używamy tylko do wygłaszania wierszy. Wiersz brzmiał mu wspaniale, iż upajał się swym własnym głosem, tak dźwięcznie płynącym za podszeptem pamięci. Smętny jego nastrój wydał mu się przejmującym i tak dostrojonym do tego królestwa ciemni i ciszy, gdzie piękno wszelkie życiem tętniło pod powszechną zasłoną mroku.

Ledwie jednak wysłuchał własnego głosu, wyciągającego uroczyste „u" w zakończeniu wiersza, zawstydził się swego roztkliwienia i strach go ogarnął, że może ktoś go podsłuchał i posądził, że niespełna ma w głowie. Zaśmiał się też na wspomnienie, jaki górnolotny list pełen pochwał podyktował na ciepło zdumionej stenografce i kazał posłać Lukowi, i jak żartobliwą od niego otrzymał odpowiedź. Czytelnicy-laicy, wypisujący płomienne listy do poetów, nieraz mogą otrzymać odpowiedź w uszczypliwej prozie. Poeta musi kłamać, by zredukować własną górnolotność do tego poziomu.

List Luka opiewał:

„Mój drogi Joelu. Ależ niesłychanie jestem ci wdzięczny za twój list przepiękny. Już to samo, iż otrzymał go człowiek, któremu wątek wciąż się urywa i nici plączą, od właściciela wzorowo przepysznej przędzalni, nadaje mu wartość bezcenną. Każę go oprawić w ramki i ostawię spuścizną swym dziedzicom, których będzie więcej, niż wełnodajnych wrzecion.

„Żądasz, bym ci doniósł o sobie. Nie zajmie mię to długo. Kiedy fabryka wody sodowej skapała, nie miałem zarobku przez sześć miesięcy. Ożeniłem się więc z Kate na złość ojcu, a dla pocieszenia Kate, której matka właśnie skończyła utyskiwać. Poczciwa dziewczyna tak była nawykła do pielęgnowania istoty, której nie wolno było odejść na chwilę, że ja sam zastępuję — — Katę często na łożu boleści, iżby się talent żony nie marnował. Obfity przypływ naszych dzieci urąga prawom popytu i podaży, gdyż na pewno niema u nas popytu na więcej, a podaży dla tych, co są. Jednak jakoś rozwijają się i rosną.

„Prowadzę teraz sklep ojcowski, gdyż pan starszy miał jeden atak apopleksji po drugim... Interes schodzi oczywiście na psy, ale, jak dotąd. nie zdołałem go jeszcze docna zagwoździć.

„Serdecznie ci dziękuję za radę, bym „tworzył nieśmiertelne rymy". Posłuchałbym cię chętnie, gdybym był sam nieśmiertelnym, gdyż nad wierszem, który chwalisz, mordowałem się lat dziesięć. Chciałem z niego zrobić sonet, alem tego zaniechał pod koniec dziesięciolecia i sam teraz nie wiem, jak swój produkt nazwać. Dziennik twego ojca zamieścił go, nie licząc mi kosztów, więc roczny mój dochód z poezyj wynosił 10% od niczego. Doprawdy nie stać mię na więcej.

„Wiersz o „Nieznanych" nasunął mi się podczas napadu ciężkiej markotności, wywołanej faktem, że głos mej Kate, tak ongi piękny, już nigdy nie zadźwięczy śpiewem, a jej nieskończona dobroć nie spotka się nigdy z uznaniem i nagrodą. Cierpko mi to dolegało całe lat pięć, lecz przez pięć lat następnych począłem odczuwać, jak jednak świat nasz, stary i mroczny, bogatym jest w czyny dobre, dzielne, poczciwe, wzruszająco piękne, co mijają niewidzialne, pozostawiając jeno, gdzieś w mrocznych cieniach, upajające smugi woni. Upajają nas nocą, bo krzepki dzień je rozpędza, jak te mgły poranne, którym przyglądaliśmy się pacholętami, gdy się kłębiły ponad rzeką i znikały. Missisipi jest tu ciągle, jak był za twych czasów, i ciągle niesie niepohamowanym prądem wieczyste mnóstwo śniegów, kwiatów, owoców, ryb, wężów, topielców, statków i klocków. Idą one, myślę, skąd przyszły, znikąd w nic, — i znów z powrotem.

„Jest tu nam wszystkim niepomierną chlubą, że ty wciąż wzbijasz się tak podniośle. Wzbijaj się dalej i spraw, byśmy, w swem poniżeniu chełpić się mogli tobą. O nas się nie trap. My i tak dość szczęśliwi, acz pogrążęni w ciemnościach: bujamy, jak nietoperze, a pysznimy się, jak puhacze,—nie! zdala od nas blask dzienny! oślepiłby nas jeno i wykoleił z drogi.

„Kate śle ci serdeczności i rumieni się równocześnie, bo serdeczność to bardzo zuchwały wyraz

w ustach takich kretów, jak my. Niech tam! I ja jej zawtóruję.

„Przez pamięć dni minionych — zawsze twój

Luke.

Zamglone wspomnienie tego listu było teraz Joelowi miłym chloroformem, uśmierzającym przykrość zawiedzionych nadziei.

Ostatecznie świat pełen jest ludzi takich, jak Luke i Kate. Jedni wyrzekli się marzeń, bo mieli za miękkie serca, by, pnąc się, deptać po bliźnich. Inni pogasili talenty, bo byli za lękliwi, czy za słabi, czy za leniwi, by podsycać ich płomień, iżby się żarzył jasno i żywo. Inni potykali się naoślep, sami bez rzetelnego talentu, niezdolni ocenić talent w kimkolwiek, ani ocenić piękność kwiatów, któremi iskrzą się łąki. Sam znał takich ludzi. A iluż ich było, których nie znał, niezliczone karawany, co przesunęły się przed oczyma, a cóż dopiero tej ziemi dawni, przelotni goście: lud za ludem, pokolenie za pokoleniem, naród za narodem wstępujący w tropy poprzednika, — cykle za epokami a za cyklami ery, i tak wtył bez kresu, wiekami, przedwiecznie, — ludy, ludy, i przed ludami ludy: takie ludów ciżby, że niczem mgławica, z której utkana Droga mleczna!

Tu, na tym cmentarzu w Stratford, leżą pewno ludzie, którzy mogli byli przyćmić sławę Szekspira, gdyby się byli oddali szczerze w służbę swego ducha. Wielu z nich wyżej Szekspira tu ceniono, a dziś ich nazwiska zrównane do poziomu powalonych ich nagrobków. Czyż sam Szekspir nie wołał ustami Hamleta: „Boże, możnaby mię zamknąć w łupinie leszczyny, a czułbym się królem przestrzeni bezkresnych, gdyby nie to, że miewam sny; sny bowiem, to ambicja; wszak istotą ambicji jest nikły cień snu, a ja żywię ambicję, tak wiotką i lotną, iż już jest chyba cieniem cienia".

Ostatecznie największym z ludzi przypadło w udziale jeno mniejsze zapomnienie niż najmniejszym. W tej przemożnej myśli tkwiło dziwne ukojenie, ukojenie nędzy, czującej się cząstką niezmiernego tłumu.

Czarna noc zapadła już nad Avonem. Łabędzie gdzieś przepadły. Światła po domach migotały sennie. Czas już było do domu.

Joel ziewnął z rozkoszy człowieka, co umartwił serce wzruszeniem. Raz wymyślił się dosyta. Przyjemnie być zmęczonym. Zanurzył wiosła w wodę i, nabierając niemi odbite w niej gwiazdy, puścił je w szalone wirowate pląsy z zuchwałą pomstą duszy dumnej, co gardzi całym światem za jego uśmiech, co w proch cię rozkrusza.

Stary rybak skwaszony był czekaniem. Nie podziękował przybyszowi za jego hojność i jego „dobranoc" zbył milczeniem.

Gdy, oddalając się od rzeki, Wixon wszedł na drogę, wiodącą do hotelu, słowik (ten wiecznie bezimienny słowik, zawsze jeden z pośród miljona śpiewaków zapomnianych czy poduszonych) zbuntował się na chwilę przeciw gnębiącej doli i zdruzgotał ją bezsłownym sonetem dumnego, potężnego protestu. „Hej, złotogłose! — jaki tryumf! Hej! Słuchajcie! — Jaki ból!"

Było to, jak gdyby Luke Mellows znalazł był dla się wyraz w czemś lepszem niż słowa, w czemś, co ucho może zrozumieć — w bólu, co brzmi.

Wixon przystanął, jak przeszyty płomiennym grotem. Nie mógł zrozumieć, co ptak myślał i co on sam myślał: nie rozumiał tego pewno i ptak. Lecz jak niema śmiechu, któryby tak ulżył sercu, jak wyrzucenie zeń bólu w czemś, potężniejszem nad słowa, tak nic tak nie rozpogadza oczu jak łzy, kapiące bez wstydu i powstrzymania.

Joel Wixon czuł, że ten nasz świat jest dobry, smutny i szalony i że on sam był dziś bardzo blisko Szekspira — tak blisko, że słyszał rzeczy, dla których nikt dotąd nie znalazł wyrazów, rzeczy, których nie można wysłowić, jeno czuć, które przekazywać raczej trzeba doświadczeniem niż mową, z którą jeden pyszny robak zwraca się do drugiego, jak on sam, grzęznącego w błocie.

KONIEC

U L G I
DLA PRENUMERATORÓW

Pragnąc uprzystępnić swym Czytelnikom nabycie dobrych i poważnych książek, Redakcja porozumiała się z wydawnictwami i uzyskała ulgowe warunki dla prenumeratorów „Ameryki-Polski" na szereg książek, których opis podajemy na str. 62. Zwłaszcza:

BIBJOTECZKA EKONOMICZNO-SPOŁECZNĄ

złożona z 10 niżej wyszczególnionych tomików prac polskich ekonomistów, powinna znajdować się wszędzie.

22

I. *Skarbek Fryderyk hr.* Ogólne Zasady Nauki Gospodarstwa Narodowego. II. *Supiński Józef.* Szkoła Polska Gospodarstwa Społecznego. III. *Kamieński Henryk.* Filozofja Ekonomji Materjalnej. IV. *Hoene-Wroński.* Mylne Systemy Ekonomji Politycznej. V. *Hoene-Wroński.* System Ekonomiczno-Przemysłowy Ad. Smitha. VI. *Stroynowski Walerjan.* Ekonomika Powszechna Krajowa Narodów. VIII. *Nax Ferdynand.* Wykład początkowy prawideł Ekonomiki Politycznej. IX. *Kołłątaj Hugon.* Porządek fizyczno-moralny. X. *Staszyc Stanisław.* Przestrogi dla Polski.

XI. *Staszyc.* Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego.

Polska a Stany Zjednoczone

(Dalszy ciąg ze str. 13)

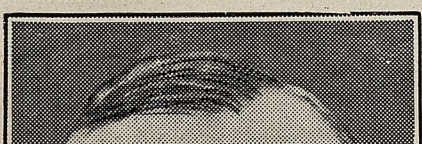
Naród polski dał dostateczne dowody swej żywotności. Znajdzie też siły, by przezwyciężyć trapiące go niesnaski społeczne, a uświadomiwszy sobie najgłębsze zasady demokratyzmu, tego jedynie możliwego i jedynie twórczego w naszej epoce systemu politycznego, z jednaką stanowczością stłumi fosforyzujące jeszcze tu i owdzie ogniki rojalizmu czy monarchizmu polskiego, jak również perfidyjne poczynania bolszewickiej demagogji.

Tendencje rozwoju naszej polityki w kierunku zdrowego i czystego demokratyzmu wyraźnie zaznaczają się już w gabinecie ostatniego naszego Rządu, który w poczuciu swej ogromnej odpowiedzialności przed narodem i historją umiejętnie począł wyprowadzać państwo z zabójczych trzęsawisk doby ubiegłej.

Rozwój ten, gdy znajdzie oparcie na ideologji zdrowszej części społeczeństwa, gdy jego siłą pędną stanie się idea uprzemysłowienia za wszelką cenę, kosztem nawet innych pierwszorzędnych potrzeb państwa, wtedy dopiero stworzymy warunki, które dadzą nam możność naturalnego przystosowania się do otaczającego nas światowego środowiska.

Wtedy też pierwszem państwem, które ze swej strony przystosuje się do nas, będą Stany Zjednoczone, wielki bowiem duch Woodrow'a Wilsona żyje jeszcze w narodzie amerykańskim, przenika go i dyktuje mu swą ostatnią wolę.

Że zmiana partji rządzącej u steru państwa nie wnosi żadnych zmian w nasze wzajemne stosunki, widzmy to z listu prezydenta Calvina Coolidge'a do naszego rodaka, dr. F. E. Fronczaka, napisanego z okazji obchodu pięćdziesięciolecia osiedlenia się Polaków w mieście Buffalo. W tym serdecznym liście, między innemi czytamy: „Dlatego też Amerykanie byli zadowoleni, że mogli przez swój udział w wojnie światowej pomóc do odbudowy państwowej i niepodległości Polski. Zmartwychwstały naród zajął swe miejsce wśród mocarstw Europy, a wszystkie dawne uczucia narodu amerykańskiego towarzyszą mu w życzeniach pomyślności i trwałości".



Celvin Coolidge
Prezydent Stanów Zjednoczonych.

Nie możemy także pominąć milczeniem drugiego ustępu tego listu, w którym Prezydent Coolidge tak żywo przypomina nam tragiczny moment naszych przedrozbiorowych dziejów. „Gdy zaś dawna Polska jednym z ostatnich swych świetnych wysiłków dla ratowania niepodległości przyjęła sławną konstytucję 3-go maja 1791 roku, wszędzie uznano, iż dokument ten był przeważnie wzorowany na konstytucji, którą nowonarodzony naród amerykański przyjął był o dwa lata wcześniej.

Jak wiadomo, w sto trzydzieści lat potem naród polski wybrał inną drogę i konstytucję swą oparł na innych wzorach.

Na zakończenie musimy dać wyraz naszej szczerej radości, że wice-prezydentem Stanów Zjednoczonych, a więc najbliższym współpracownikiem prezydenta Coolidge'a, został wybrany generał Charles G. Dawes, ten sam, który uwiecznił swe imię w rozwiązaniu węzła gordyjskiego w sprawie spłat odszkodowawczych w Europie.

Generał Dawes podczas konferencji pokojowej w Paryżu był jednym z największych przyjaciół Polski, on to bowiem w słynnej komisji do zbadania oszczerstw o Polsce wymógł na członkach tej komisji, by, powodując się sprawiedliwością i obroną dobrego imienia naszego narodu, zadali kłam fałszom, rozsiewanym o Polsce. Ten nadzwyczaj ciekawy przyczynek historyczny do odrodzenia Państwa Polskiego podaje do wiadomości Antoni Czarnecki, obecny współredaktor amerykańskiego dziennika „The Chicago Daily News".

Oprócz powyższej chlubnej działalności teraźniejszego wice-prezydenta Ch. G. Dawes'a nadmienić jeszcze należy, iż to on jako generał armji amerykańskiej, z polecenia prezydenta Wilsona wręczył rządowi polskiemu, oddane do jego dyspozycji, zapasy broni i żywności.

Mając więc w Wielkiej Republice zamorskiej tak wypróbowanych przyjaciół, możemy być jak najlepszej myśli, iż nasze usiłowania, skierowane na tory właściwej odbudowy Państwa, opartej o silny fundament zrozumienia jego zarówno ekonomicznych jak i politycznych potrzeb, uwieńczą się dla nas jak najpomyślniejszemi skutkami we wszystkich obecnych i przyszłych zatargach w stosunkach międzynarodowych.

Rozmach Amerykański

(Dalszy ciąg ze str, 20)

bła, ciskał na stronę muszlę i znowu się schylał, ani o setną część sekundy prędzej, ani o jeden milimetr niżej i znowu powtarzał cały cykl czynności.

Po godzinie uderzył dzwon, zawieszony przy stole sędziów.

Zaczęła się długa procedura obliczania, aż nareszcie prezydujący oznajmił:

— Rekord zeszłoroczny pobity. Rekord Billy Clagg'a 2702!

— Hurra! — zawył tłum, który wszędzie i zawsze w chwili podniecenia wyje, a ponieważ prawie wszyscy widzowie porobili zakłady, więc podniecenie było wielkie i tu, na tej walce z ostrygami.

— All right! — odezwał się Billy, gdy krzyki ucichły. — Niech gentlemeni zwrócą też uwagę na to, że gotów jestem pójść o zakład, że nie więcej od 10% mam pokaleczonych ostryg. Czysta robota!...

Billy Clagg otrzymał swoje 1000 dolarów i założył własny bar, na którego szyldzie przeczytałem w kilka dni po konkursie.

— Ostrygi w barze recordsmana Billy Clagg'a są żywe, świeże i nigdy nie pokaleczone. Za jedną pokaleczoną zwracam szanownej publiczności tuzin innych!

Do baru Billy mogłem się docisnąć dopiero przy pomocy samego właściciela, który uraczył mnie najwyborniejszemi blue points i flaszką bezalkoholowego elu imbirowego.

Nie wiem, co teraz robi Billy Clagg... Wiem tylko, że z pewnością nabrał się tak pożądanej uczoności i dolarów. Zamiast otwierania ostryg, być może, zakłada teraz fabryki samochodów, kopalnie miedzi, bank lub olbrzymi kino-teatr.

Nie wiem tego, lecz spokojny jestem o mego Billy! Stać się wielkim businessmanem dopomoże mu amerykański rozmach — rozmach nie marzycielstwa i bezczynnego pożądania, lecz rozmach myśli, przedsiębiorczości i zdrowego zmysłu współzawodnictwa „bez kopania dołków pod bliźnim", jak się wyraził, ale zato z wytężeniem wszystkich danych mu od Boga i natury sił, skierowanych na to, aby się stać „the greatest", the most powerful i — „the best".

KONIEC

Walka z książkami Antoniego Ossendowskiego

Polski pisarz p. Antoni Ossendowski napisał i wydał w Polsce i zagranicą w 12 językach kilka swoich książek, przedstawiających sobą utwory literackie, a dające w niektórych rozdziałach swoich rzeczywiste portrety działaczy współczesnej sowieckiej Rosji. Książki polskiego pisarza cieszą się niezwykłym rozgłosem w Ameryce, Francji, Anglji i Niemczech i w niektórych parlamentach były cytowane jako dokumenta antybolszewickie. To skłoniło rząd sowiecki do rozpoczęcia walki przeciwko naszemu pisarzowi.

Wszelkie wysiłki, skierowane na zmuszenie p. Ossendowskiego do niepisania o Rosji bolszewickiej, oraz na zastraszenie niektórych wydawców zagranicznych — spełzły na niczem. Wtedy Sowiety zwróciły się o pomoc do dwóch podróżników, p. Montandon — Szwajcara i p. Swen Hedina — Szweda, którzy podjęli się zdyskwalifikowania książki A. Ossendowskiego „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów". W tej książce autor opisał swoje przeżycia, wrażenia i spostrzeżenia z podróży przez Syberję, Urianchaj, Mongolję, północny Tybet do Polski. Sam autor nie uważał swojej książki za naukowy opis swej podróży, co zaznaczył w listach do Geograficznych Towarzystw w Paryżu, Londynie, Rzymie i Madrycie, oraz tem, że żadnemu uczonemu towarzystwu, ani też oficjalnemu przedstawicielowi nauki geograficznej swojej książki nie posyłał. Autor w jednym z wywiadów z nim w Paryżu oznajmił, że „zbyt poważa naukę, aby ośmielić się czynić naukowe badania w tych warunkach, w jakich on, jako uciekinier, bez środków materjalnych, odbywał swoją podróż, mając za sobą tylko jeden instrument — „karabin", co, naturalnie, nie dawało możności uniknąć wielu nieścisłości geograficznych i historycznych. Autor mógłby później, po skończeniu swej podróży, poczynić odpowiednie zmiany i poprawki, lecz nie chciał tego robić, pozostawiając swej książce charakter „dokumentu ludzkiego".

To jednak nie przeszkodziło całemu szeregowi wybitnych uczonych i podróżników przyznać książce naszego podróżnika i pisarza wielką wartość dla pewnych działów nauki. Przyznali to naprzykład tacy uczeni, jak G. Bonvalot, René Guénon, Maritain, Roy Chapman Andrews, Alfons Paquet, Grandidier, etc., a podróżnik St. Yves nazwał tę książkę „geografją duszy Azji".

Książka obiegała cały świat w ciągu dwóch lat, gdy nagle w dobie omawiania sprawy uznania Sowietów przez Francję wybuchła walka.

Pp. Montandon i Hedin na mocy kilku z pamięci wziętych dat i dystansów, wskazanych przez A. Ossendowskiego, zaczęli twierdzić, że w tych terminach nasz podróżnik nie mógł odbyć podróży do jeziora Kok-Nor i że legendę o „Królu Świata", stanowiącą jedną część książki, zapożyczył od umarłego teozofa St. Yves d'Alveydre.

A. Ossendowski, posługując się swym dziennikiem podróży i listami świadków naocznych, dowiódł, iż w północnym Tybecie istotnie był i że legendę o „Królu Świata" słyszał w Mongolji od tubylców, którzy, naturalnie, francuskiego teozofa nie czytali. Jednocześnie polski autor oskarżył swoich przeciwników o służbę Sowietom i wyzwał ich na dysputę do Paryża. Na dysputę stawił się tylko p. Montandon, który dostał rzetelną odprawę od p. O. i obecnych przy dyspucie uczonych i literatów, dowiódł słuszności oskarżenia go o związek z bolszewikami rosyjskimi. Zjawił się on na dysputę w otoczeniu 15 komunistów, z których większość stanowili współpracownicy dzienników rosyjsko-bolszewickich.

Podczas dysputy komuniści oznajmili, iż chodzi im o stwierdzenie faktu, że w książce p. O. zawiera się element imaginacyjny, gdyż wtedy wszystkie rewelacje p. O., dotyczące okrucieństwa i zbrodni bolszewików, są też imaginacją. Było to 22.XI.1924 w Paryżu, a 20.XII 1924 sąd szwajcarski w Lausannie skazał p. Montandon do więzienia za oszczerstwo i obrazę p. Burnier, redaktora „Gazette de Lausanne". W toku sprawy wyjaśniono, że dr. Montandon jest agentem bolszewickim (żonaty z Rosjanką—bolszewiczką i mieszkał 2 lata w Rosji Sowieckiej) i autorem takich samych broszur, jakie rozsyłał po całym świecie i o naszym pisarzu, starając się obalić p. Burnier, wrogo do bolszewików usposobionego. (Patrz „La Suisse" i „Gazette de Lausanne" z dn. 20.XII.1924).

Drugi przeciwnik p. Ossendowskiego — dr. Swen Hedin, nie jest osobistością, z punktu widzenia etyki socjalnej, nieposzlakowaną. Dość przypomnieć sobie artykuły znanego literata Strindberga, który oskarżał Hedina o plagjat, skandal z podróżą Hedina, odbytą za pieniądze Nobela, przemysłowca nafty z Kaukazu; jego brutalną i niesprawiedliwą polemikę z niemieckim podróżnikiem Steinem; jego dwie książki, napisane w dobie wojny z panegirykami dla krwawego Kajzera, który zgubił Niemcy i wtrącił cały świat w otchłań ciężkich kryzysów politycznych, ekonomicznych i ideologicznych, oraz z napaścią na Anglję i Francję, za co został wykreślony z liczby honorowych członków królewskiego Tow. Geograficznego w Londynie, nareszcie ostatnią książkę „Z Pekinu do Moskwy", gdzie śpiewa odę na cześć Sowietów, które do głębi poznał w ciągu... 11 dni, i gdzie napada na książkę naszego podróżnika i pisarza, napada tendencyjnie, nielogicznie i lekkomyślnie tylko dlatego, że podjął się, ku wielkiej swej niesławie, bronić wrogów cywilizacji — bolszewików moskiewskich.

Przeciwko Swen Hedinowi w prasie europejskiej, a nawet niemieckiej rozlegają się poważne głosy, stające w obronie polskiego autora.

Wyczerpującą odpowiedź swemu przeciwnikowi p. Antoni Ossendowski daje obecnie w przedmowie do swej nowej książki „Od prezydentury do więzienia", która się zjawi w Ameryce, Anglji, Francji, Niemczech, Włoszech, Hiszpanji i państwach skandynawskich.

W tych dniach w Londynie i Nowym Jorku zjawił się najnowszy utwór naszego pisarza „The Shadow of the gloomy East", wokoło którego rozpoczyna się w Anglji nader ożywiona i namiętna dyksusja.

Redakcja.

DOŚWIADCZONY KUPIEC O REKLAMIE

Znany w Anglji przedsiębiorca, Peter I. Stewens, pomimo że firma jego ma zdawna wyrobioną markę i klientelę i interes prosperuje znakomicie, stale anonsuje się w 86 pismach angielskich.

Gdy mu przyjaciele zarzucali, że wydaje tyle pieniędzy na ogłoszenia, bez których mógłby się już obejść, doświadczony ten kupiec odpowiedział:

Zaprzestanę ogłaszać me przedsiębiorstwo, gdy

1) ludzkość przestanie się rozmnażać, a na świecie nie będzie ani jednego człowieka, któryby nie wiedział o istnieniu mej firmy;

2) gdy zdołam przekonać każdego człowieka, że moje wyroby są najlepsze i najtańsze;

3) gdy się przekonam, iż kupcy, którzy się nie ogłaszają, mają większą klientelę ode mnie;

4) gdy dojdę do takiego zaniku umysłowego, że zapomnę o doświadczeniach całego życia;

5) gdy nie będą powstawać młode konkurencyjne firmy, dążące do przekonania odbiorców, że u nich należy kupować, a nie u mnie;

6) gdy już nie będę oglądał nowych bogaczy, zawdzięczających swe mienie i powodzenie stałej reklamie.



NOWY SPOSÓB REKLAMY

Od sześciu tygodni mieszkańcy stolicy mieli sposobność po raz pierwszy oglądać wymalowane na transformatorach Elektrowni Warszawskiej, reklamy. Pomysłowy ten sposób reklamowania się poszczególnych firm wprowadziła „**Centralna Reklama Polska**" p. t. „**Centrepol**".

Jest to wygodny i łatwo uderzający w oko przechodnia sposób ogłaszania się kupców i przemysłowców. „**Centrepol**", którego założycielem i właścicielem jest p. Jan Płużkiewicz, we wrześniu ub. r. zawarł z Magistratem i Elektrownią Warszawską umowę, uzyskując wyłączne prawo umieszczania reklam na 250 transformatorach Elektrowni.

Reklamy te są malowane olejną farbą, są więc trwałe i odporne na wpływy atmosferyczne, pozatem opracowywane są przez artystów malarzy. P. J. Płużkiewicz, zobowiązał się wprowadzić nowość, a mianowicie, na górnych częściach transformatorów będą wypisane adresy najważniejszych instytucyj rządowych.

Firma „**Centrepol**" rozwija coraz szerszą działalność, ma zamiar wprowadzenia nowego systemu ogłoszeniowego, co przy dzisiejszym zastoju handlowym, ułatwi kupcom zdobycie klijenteli i przyczyni się do większego obrotu pieniężnego.

23

Marnotrawstwo w przemyśle

(Dalszy ciąg ze str. 17)

siaj niema poważniejszego zakładu, któryby nie udzielał tej sprawie jak największej uwagi.

Dla przykładu: funkcjonarjusz firmy, z kapitałem ponad $ 100.000.000, na wstępie wywiadu w tej sprawie podaje notatnik robiącemu wywiad. Widząc jego zdziwienie z powodu tego, że na odwrotnej stronie papier notatnika był zadrukowany, zauważył:

W czasie wojennym lub przedwojennym podałbym panu zeszyt ze świeżego papieru aktowego. Inaczej teraz! Nasz filtr oszczędnościowy jest dość gęsty, by nic nie przepuścić; nawet drobny notatnik nie może przecisnąć się przez jego pory. Stosy przestarzałych formularzy zostały pokrajane na ten użytek. Gdy kierownik jednego z naszych mniejszych zakładów zrozumiał, iż zostaliśmy czynnymi członkami „Legjonu Sknerów" i że nie zatrzymamy się przed niczem, by uczciwie zaoszczędzić każdy grosz, stał się bardzo uważnym na najdrobniejsze szczegóły pracy fabrycznej: przechodząc po warsztacie, spostrzegł młodzieńca bazgrzącego na bloknocie z kosztownego kratkowanego papieru.

Korzystając z nadarzającej się okazji, by wytłumaczyć personelowi nowe przykazanie oszczędności, nie pożałował czasu na przejrzenie każdego biurka i zebranie wszystkich bloknotów tego rodzaju, tłumacząc przytem, że taki papier powinien być zachowany dla oryginalnych zestawień, i że jest za drogi dla zwykłych notatek. Zebrał on sporą paczkę tych bloknotów, zaniósł do zawiadowcy materjałów biurowych i jemu sprawę wyjaśnił. W rezultacie przez 2 miesiące zakład ten nie wydał centa na materjały piśmienne.

Lecz to jeszcze nie koniec: historja ta rozniosła się wśród całej naszej organizacji i każdy z kierowników zajrzał do swego rachunku materjałów biurowych. I ta jedna pozycja wykaże nam w tym roku kilka tysięcy dolarów oszczędności.

Funkcjonarjusz pewnej firmy, posiadającej około 25-ciu wielkich zakładów, na wywiad o metodach sknerstwa zareagował w następujący sposób:

Zapewne, że się bierzemy do sprawy, i to ostro. Opowiem panu o jednym drobnym wypadku wyciekania materjałów z naszych zakładów, które jednak wstrzymaliśmy już; jest ono charakterystyczne dla wielu innych. I proszę nie myśleć, że przycinając ostro kąty i robiąc pozornie błahe oszczędności, zaniedbujemy przez to poważniejsze sprawy, jak np. zwiększenie produkcji na człowieka—godzinę. Cytuję drobną oszczędność, by pokazać, żeśmy się nie ograniczyli większemi, które w pierwszej linji były uwzględnione. Ponieważ nasza nadzieja na zysk z tego, co wyprodukujemy i sprzedamy, polega całkowicie na naszej zdolności do zmniejszania kosztów produkcji i sprzedaży, więc nie pomijamy żadnej możliwej oszczędności.

Zaczęliśmy od tego, by wdrożyć naszych kierowników i cały personel nadzorczy do zatykania najdrobniejszej szczelinki w naszym organizmie wytwórczym. Naturalnie, jedni kierownicy są w tej pracy więcej sprężyści, inni — mniej. Jeden z więcej sprężystych postanowił zbadać, co też się znajduje wśród rupieci pod stołem roboczym? Wynik był niespodzianką. Odkrył kryjówkę lekko okaleczonych kluczy do naśrubków — 5 czy 6 sztuk. Zajrzał pod następny stół z podobnym wynikiem. Widząc, że wpadł na dobry trop, złapał wózek do przewożenia materjałów i przeszedł po całej monterni. Wózek taki jest dość pojemny, nim jednak skończył obchód, napełnił go całkowicie takimi kluczami. Nawet po cenach, uwzględniających uszkodzenie, wartość ich stanowiła pokaźną sumę. Bardzo niewiele z tych uszkodzonych kluczy było takich, które nie mogłyby być łatwo i tanio naprawione. Naturalnie, zajście to stało się wkrótce wiadomem całej organizacji. Wynikiem było ogólne wyleczenie okaleczonych kluczy, co wstrzymało zakupy ich przez dłuższy czas. W ogólnym wyniku zaoszczędziliśmy sobie dość poważnych wydatków.

Tego rodzaju rzeczy są zaraźliwe. Każdy zarządzający ma ambicję, by się nie dać ubiec innym. Oczywiście, każdy zakład ma swój odrębny typ wytwórczości i narzędzi. W innym zakładzie kierownik wyruszył na poszukiwania zarzuconych lutownic. Miał połów bezmała taki sam, jak łowca kluczy, — wracając z narzędziami lutowniczemi, nadającemi się do łatwego przywrócenia ich do stanu używalności; wartość ich wynosiła około 200 dolarów.

W ten sposób żaden rodzaj narzędzi nie został pominięty w tej rewizji rupieci fabrycznych".

BAROMETR BRAKOWY

Ślusarz jest zdania, że pracować pilnikiem, który stracił pierwszą ostrość, jest marnowaniem czasu. Temu zdaniu mało co można zarzucić, a właściwie nic zgoła, o ile ludzie pracują akordowo. Nie chcą oni za nic używać pilników przytępionych. Okazało się też rzeczą bardzo trudną zastosować zasadę sknerstwa, gdy poruszyliśmy sprawę pilników; a mieliśmy ich dość, by okręt niemi zatopić. Ostatecznie rozwiązało się sprawę przez zakup maszyny do ponownego narzynania pilników. Kosztowała ona około $ 2.500, lecz jest obecnie ulubieńcem całego oszczędnościowego zespołu.

Robotę swoją maszyna wykonywała ze zdumiewającą łatwością; stanęło jednak pytanie, jak będzie pracować pilnik ponownie nacięty. Przekonaliśmy się przy pomocy gruntownej i systematycznej próby, że przerzynany pilnik nieraz może ciąć prędzej i trwać dłużej, niż nowy pilnik tego same-

go gatunku i wyrobu. Inowacja ta przyniosła nam wiele tysięcy dolarów oszczędności.

Naturalnie, ten pewnego rodzaju barometr szmelcowania mamy w każdym warsztacie. Na początku barometr ten wskazywał bardzo niepocieszające prognozy. W jednym z naszych zakładów kierownik był nie na żarty zaniepokojony tem, co mu barometr pokazał. Badając sprawę, prześledził zagadnienie aż do źródła — do odlewni. Odkrył więc, że nocna zmiana, aby przyśpieszyć ostyganie odlewów i prędzej się uporać z uprzątnięciem, polewa je wodą. Od tego, rzecz prosta, odlewy stawały się kruche i pękały przy maszynowej obróbce.

W zdecydowanej systematycznej walce z marnotrawstwem, prowadzonej obecnie, przez każdą żywotną gałąź przemysłu, ważną jest bardzo kwestja taktyki. Jednym z najskuteczniejszych manewrów, który zastosowaliśmy, była wymiana kierowników pomiędzy poszczególnemi zakładami. Wszyscy oni wytężają siły w walce o promocję w przekonaniu, że albo muszą iść w górę, albo iść gdzie indziej. Każda firma, mająca większą ilość zakładów, przyzna, że zastosowanie w swej praktyce następującego sposobu, który dał nam niektóre godne zanotowania wyniki, wyszłoby jej niezawodnie na dobre.

Nie tak dawno wymienialiśmy kierowników dwóch zakładów. Wkrótce też wyższy funkcjonarjusz, przed którym mieli oni złożyć swe sprawozdania, usłyszał od każdego z nich jednobrzmiące oświadczenia: instalacja zakładu jest tego rodzaju, że zamiast oszczędzać pracę, — trwoni ją. Proszę o pozwolenie zreorganizowania całej instalacji i procederu fabrykacyjnego, a zaręczam, że zaoszczędzę firmie tysiące dolarów. I każdy z nich wypełnił swe zobowiązanie. Wyjaśnienie tej pozornej anomalji jest proste.

Każdy z tych kierowników na tyle się zżył ze swym starym zakładem, że jego ustrój i układ cały jego maszyn począł mu się wydawać ostatecznie ustalonym i nie wymagającym zmian. Lecz przeniesiony do innego zakładu krytycznem i objektywnem okiem ocenił ustrój jego. Nic nie było świętego w żadnym sposobie wytwórczości lub w układzie jakiejkolwiek jednostki produkcyjnej. Przeciwnie: zadaniem jego było skrytykować poprzednika. Równocześnie każdy z nich wiedział, że tamten drugi goni za tem samem. Partja między nimi była rozegrana bez pardonu. Byli oni mniej więcej jednakowo uzdolnieni. Wynik dodatni dla firmy okazał się bardzo pokaźny. Obydwa zakłady i obydwie organizacje zostały ogromnie udoskonalone i obecnie produkują przy znacznie zmniejszonych kosztach.

Rzecz prosta, ta sama taktyka da się zastosować do majstrów w każdym poszczególnym zakładzie. Było to niejednokrotnie stosowane przez naszych kierowników z wydatnym pożytkiem dla firmy. Świeży punkt widzenia i pogląd zaostrzony krytycznie nadaje wiele świeżego impulsu każdemu poszczególnemu oddziałowi lub też całemu zakładowi.

Wice-prezydent jednej z największych wytwórni samochodów w Detroit uważa, że często potrzebne jest oko wolnego od uprzedzenia postronnego osobnika, by dostrzec defekty nieracjonalnego systemu wytwórczości.

Człowiek postronny — twierdzi on, przyczynił się do jednej z największych oszczędności, którą zrealizowaliśmy dotąd. Oprowadzany po zakładzie zainteresował się bardzo szczegółami pewnej ubikacji. Nagle zaczął zadawać pytania, co do wyników naszej produkcji. Trafność tych pytań była dla mnie niespodzianką, gdyż nie wyglądał on wcale na genjusza mechaniki, ani nawet na doświadczonego inżyniera. Wkońcu wypowiedział spostrzeżenie, iż byłby w możności zaoszczędzić nam co najmniej $ 300.000 na pracy, wykonywanej w tej ubikacji, przez zmianę rozkładu i urządzeń. Doświadczenie dawniejsze nauczyło mnie dawać posłuch radom ludzi postronnych, więc go zachęciłem do wykładu swych pomysłów. Gdy to zrobił, nabrałem przekonania, że jest on na dobrym tropie. Plan jego podobał mi się, gdyż usilnie goniliśmy za każdą osiągalną oszczędnością. Trwonienie pracy wyrasta do olbrzymich sum pieniężnych, szybciej niż każdy nieomal inny rodzaj marnotrawstwa.

Pozytywny wynik netto tego doświadczenia był, że plan jego został wprowadzony w życie i oszczędność osiągnięta wynosiła znacznie więcej niż $ 300.000 na naszej rocznej produkcji samochodów. Przy nowym rozkładzie i urządzeniu, powyższa ubikacja wydawała o 75°/₀ większą wytwórczość niż poprzednio.

Miałem już inne lekcje co do wartości świeżego poglądu w walce o obniżenie kosztów produkcji. Jedna taka lekcja była bardzo pożyteczna. Nasz koszt za karoserje wydawał mi się nadmiernie wielki: zagadnienie to tkwiło w mym umyśle, kiedy zostałem zaproszony na wycieczkę yachtem przez jednego z najdoświadczeńszych wytwórców karoseryj samochodowych. Oczywiście, przyjąłem zaproszenie. W czasie wycieczki opowiedziałem mu moje kłopoty z karoserją i on zaraz na poczekaniu zabrał się do ich rozpatrzenia. Wynikiem był nowy model karoserji, który nie tylko przyczynił się do bardzo znacznej oszczedności w kosztach produkcji, lecz także w sposób zdecydowany powiększył odbyt. Oszczędności opracowane przez tego wytwórcę karoseryj nie tylko nic nie ujęły zalet samochodu, lecz przeciwnie dodały mu wyglądu i umożliwiły obniżenie ceny. To oraz inne jeszcze doświadczenia zrobiły mnie bardzo uważnym na sądy krytyczne osób postronnych, które sądzą sytuację ze świeżego i objektywnego punktu widzenia.

(c. d. n.)







Nowoczesna piechota japońska, zwyciężająca pod Lao-Janem i Port-Arturem.

U źródeł potęgi japońskiej

(Dalszy ciąg ze str. 25)

Młodzież japońska uczy się niemal we wszystkich uniwersytetach Ameryki i Europy... w samej Europie w tym roku studjuje przeszło 1000 studentów wysłanych przez samo Ministerstwo Oświecenia Publicznego i 2 razy tyle wysłanych przez inne Ministerstwa, co razem stanowi przeszło 3.000 studentów wysłanych przez rząd, a prawdopodobnie jeszcze tyluż, jeśli nie więcej studjuje delegowanych i finansowanych przez instytucje prywatne i organizacje społeczne...

Widzimy więc, iż naogół wyniki adaptacyjnej działalności Japonji są tak świetne, iż same pochlebnie świadczą o sposobach jej wykonania.

To też niejednemu Polakowi, przyglądającemu się tej ewolucji, śniły się po głowie myśli, że i Polska, powstająca z gruzów okropnej wojny i z ruin półtorawiekowej niewoli, zmuszona jest przeprowadzić podobną akcję. Rodziły się wówczas w duszy pragnienia, aby ludność nasza zechciała i potrafiła dla odrodzonej Rzeczypospolitej taką, jak Japończycy pracę wykonać i w możliwie najkrótszym czasie zbudować potęgę naszego Państwa, zabezpieczając Polsce odzyskaną niepodległość i należne stanowisko wśród państw europejskich.

W metamorfozie wybitnego przeistoczenia się Japonji w państwo zupełnie nowoczesne, obok zjawiska umiejętnego zapożyczenia od obcych tego, co dla ludności Japonji przyniosło istotne zalety życia kulturalnego, należy odnotować zjawisko nie mniej znamienne, a mianowicie: że adaptacyjna obecj cywilizacji akcja Japonji dotknęła przedewszystkiem tej dziedziny, która zabezpieczyła naród japoński przed militarną, a następnie przed ekonomiczną ekspansją mocarstw agresywnych. Mowa, oczywiście, o armji i marynarce, którym Japonja zawdzięcza, że jej wyspy nie spotkał los taki, jaki spotkał już wszystkie wyspy oceanu Spokojnego. Następnie mowa o zmodernizowanym handlu i przemyśle, który uniezależnił Japonję ekonomicznie i zagwarantował jej dostateczną obronę przed czyhającem z wielu stron podbiciem ekonomicznem.

Tu właśnie nasuwa się porównanie sytuacji Japonji przed laty z dzisiejszą sytuacją Polski, której zagrożenie bytu jest kwestją życiowej wagi, co już dobitnie nam udowodniła nasza przeszłość.

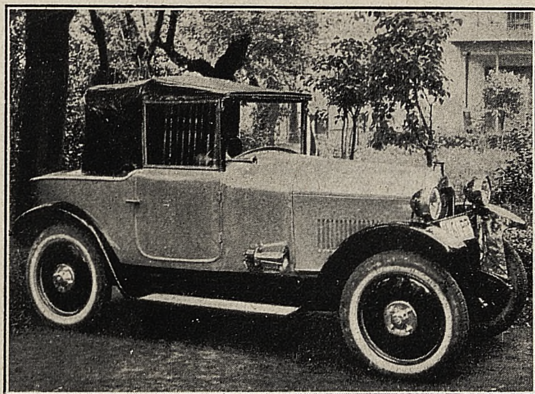
Nasi powstańcy z 1863 roku mogli widzieć Japonję jeszcze starożytną, bezbronną, oddaloną pod każdym względem od życia Europy. Dzisiaj widzą ją nowożytną i nie tylko pewną swej niepodległości, lecz stojącą w pierwszym rzędzie państw całego świata.

Czy dzisiejsze nasze młode pokolenie, co tak bohatersko obroniło zmartwychwstałą Rzeczpospolitą, zawdzięczając i swej wybitnej waleczności



Jeden z wielu pancerników — zwycięzców pod Cushimą.

i również tymczasowej słabości wroga, czy to samo pokolenie ujrzy Polskę odrodzoną, Polskę bogatą, Polskę — potężne państwo w pierwszym szeregu państw europejskich? Ujrzy, jeśli potrafi



Dziś ryksza ustępuje samochodowi.

zdziałać tyle, co zdziałało pokolenie japońskie, które dokonało taką metamorfozę ze swoją ojczyzną. Ujrzymy, jeśli potrafimy tak umiejętnie pracować i tak dzielnie organizować powziętą akcję, jak to uczynili Japończycy.

(d. c. n.).



Niedawny ogólnie przyjęty w Japonji sposób podróżowania i spacerowania w rykszach.

Wiedza uniwersytecka i byznes

(Dalszy ciąg ze str. 30)

BANKOWOŚĆ I BYZNES JAKO SAMODZIELNE ZAWODY

Byznes i bankowość stają się zawodami w całem znaczeniu tego słowa. Byznes w większym stylu stał się równie skomplikowanym, jak i technika. Rozrost jego stał się tak wielkim, iż wymaga on ludzi o specjalnych kwalifikacjach, którzyby byli zdolni do zarządzania nim. Ludzie o jasnych poglądach, jak np. Baker, pierwsi zauważyli, że do powodzenia w byznesie i bankowości są potrzebni młodzi ludzie nietylko obznajmieni z teorją i praktyką, lecz również posiadający ogólne wykształcenie.

W początku naszego stulecia był już najwyższy czas do zapoczątkowania gruntownej wiedzy handlowej. Specjalne zakłady naukowe i wydziały byznesowe w pewnych kierunkach uczyniły wiele. Prorocy wzmożonej wydajności pracy ludzkiej przepowiadali im wielką przyszłość. Jednym z pjonierów tego ruchu był wydawca pism, poświęconych technice, byznesowi i wielkim zagadnieniom organizacji pracy — A. W. Shaw, redaktor słynnego miesięcznika „System" — The Magazine of Business. Był on też jednym z pierwszych inicjatorów założenia Wydziału Byznesowego przy Uniwersytecie Harvard.

Najbardziej w tem naukowem przedsięwzięciu pociągało p. Bakera to, że szkoła ta stosowała ściśle naukowe metody badania. Inaczej powiemy, że dawała ona gruntowne pojęcie o byznesie i finansach. Jeżeli przemysłowiec lub kupiec, zwraca się do banku o pożyczkę, to zadają mu pewne pytania co do jego interesów. Czasem można byłoby myśleć, iż są to pytania niedyskretne, lecz trzeba przyznać, iż są one ściśle naukowe. Bankierzy i finansiści amerykańscy typu p. Baker'a osiągnęli powodzenie dlatego, że przez doświadczenie rozwinęli u siebie zdolność do sięgania do samej istoty rzeczy.

Bank, chociaż nie stawia przed sobą celów akademickich, jest jednakże instytucją naukową, gdyż zawsze dąży do głębokiego poznania warunków aktualnych. Środek ciężkości Wydziału Byznesowego leży w jego Biurze Badań.

Biuro to na podstawie całego szeregu obserwacyj praktycznych ustanawia pewne reguły postępowania w życiu przemysłowo-handlowem. Prowadzi liczne badania, z których wyprowadza ogólne zasady i prawa. Teorja następuje po zbadaniu faktów. Wyczuwa ono wysokie normy etyczne dla prowadzenia interesu i daje rzetelne wiadomości o rzetelnem byznesie i bankowości.

Przypuśćmy, że detaliczny sklep spożywczy często odmawia wypłat. Dzieje się to wskutek błędów w administracji. Jakie to są błędy mniej więcej wszyscy wiemy. Małe sklepy spożywcze są najbardziej rozpowszechnionym w świecie sposobem rozdzielania produktów spożywczych.

Wszystko załatwia się tam z ręki do ręki. Właściciel takiego sklepu często sądzi, że otrzymuje zyski, lecz w istocie rzeczy jest bliski zupełnej ruiny. Najczęściej niema dokładności w prowadzeniu ksiąg. Niewiadomo jaki jest obrót. Niewiadomo u kogo i w jakim stopniu właściciel jest zobowiązany handlowo.

ZASTOSOWANIE METOD NAUKOWYCH DO BADAŃ W DZIEDZINIE BYZNESU

Współdziałając ze Stowarzyszeniem Detalistów Spożywczych, Wydział Byznesowy przy Uniwersytecie Harward zbadał szczegółowo branżę spożywczą w Stanach Zjednoczonych.

Wybrano do badań pojedyńcze przedsiębiorstwa, t. j. takie, które nie mają żadnej łączności z syndykatami. Właściciele pozwolili studentom badać księgi handlowe, analizować ich obroty i wtrącać się do wszystkich szczegółów interesu. W rezultacie powstało sprawozdanie, mające ogromne znaczenie dla detalistów spożywczych. Dowiedzieli się oni, co robią inne firmy, zobaczyli, na czem mogą zaoszczędzić, a na czem stracić. Nauczyli się wiązać końce z końcami. Zrozumieli bezużyteczność nagromadzania zapasów na półkach. Ale nadewszystko ustanowiono zwięzły system prowadzenia rachunków, który daje możność poznania kierunku pracy, najczęściej bowiem samodzielny detalista puszcza się na nieznane morza bez kompasu.

Postępując według metody, opartej na badaniu, a nie wziętej z teorji, którą niejednokrotnie spotykał na swej drodze, właściciel małego sklepiku spożywczego wie, o czem ma mówić, idąc do banku po pożyczkę. Mając wszystkie dane, bankier jest w stanie udzielić mu pomocy.

Prowadzenie t. zw. „łańcuchowych" sklepów spożywczych, t. j. całego łańcucha filij z centralnym zarządem i centralnemi składami, wymaga postępowania według zasad naukowych.

To samo dotyczy łańcuchowych sklepów tytuniowych, drogeryj i wszystkich rodzajów grup sklepów, badanych przez Wydział Byznesowy.

Sklepy łańcuchowe w Ameryce nie mogłyby się rozwinąć do dzisiejszego stanu bez pomocy bankierów. Nie mogliby uzyskać pożyczki bez przedstawienia szczegółowych informacyj co do stanu interesów, któreby zadowoliły naukowo myślącego finansistę. Jedną z najbardziej ważnych prac, które Biuro Badań kiedykolwiek przeprowadziło, dotyczyło amerykańskich sklepów uniwersalnych. Niema bardziej skomplikowanych organizmów handlowych, niż te nowoczesne przedsiębiorstwa. Współpracując z Narodowem Stowarzyszeniem

Detalistów Handlu Towarami Łokciowemi, rzeczoznawcy z Harvardu zastanawiali się nad metodami pracy wielu sklepów uniwersalnych i ułożyli sprawozdanie, które może być uważane za klasyczne dzieło w dziedzinie byznesu. Znaczenie takich badań jest ogromne, gdyż w Stanach Zjednoczonych znajduje się obecnie koło 5.000 sklepów uniwersalnych.

Wiele hurtowych przedsiębiorstw podpadło także pod pożyteczną kontrolę Wydziału Byznesowego, między innemi: handel spożywczy, większe pracownie obuwia, hurtowy handel towarami aptecznemi i hurtowy handel jubilerski. Właściciele, którzy ostatecznie zdecydowali otworzyć swe księgi handlowe przed gośćmi z Cambridge, chętnie współpracowali z nimi. Inne zakłady naukowe również prowadzą podobną pracę w przedsiębiorstwach hurtowych. Wydział Byznesowy Uniwersytetu Harvardskiego skłonił przedsiębiorców do tego, by pomogli mu w badaniach przez odkrycie tajemnic rachunkowych, gdyż mogą oni być pewni, że poufne szczegóły nie wpadną w ręce konkurentów, oraz że wywody, uczynione na podstawie tych szczegółów, mogą być wielkiem dobrodziejstwem dla nich samych.

Materjały, zebrane w ten sposób, są jedynym środkiem przeciw teoretycznym i bardzo często błędnym wywodom. Studenci zaś ćwiczą się w zbieraniu źródłowych danych i zczasem zajmują naczelne stanowiska w życiu gospodarczem Ameryki.

PROGRAM WYDZIAŁU BYZNESOWEGO

Głównemi przedmiotami, wykładanemi w ciągu dwuletniego kursu na tym Wydziale, są: buchalterja, bankowość, nauka o handlu, statystyka i administracja przedsiębiorstw przemysłowych. Kurs tej szkoły daje pewną ilość zasadniczych wiadomości, potrzebnych w wielkim byznesie i w bankowości na szerszą skalę.

Ogromna ilość zgromadzonych prac ekonomicznych i przeglądów daje studentom materjał do prowadzenia samodzielnych badań.

Wydział liczy obecnie koło 600 słuchaczy; posiadając tylko jedną salę wykładową. W porównaniu z tą pracą, jaka została dokonana, pomoc ze strony władz stanowych była niewielka.

Gdy Wydział otrzyma godny jej lokal, będzie w stanie bardziej niż przedtem zaspakajać bieżące potrzeby, gdyż będzie posiadał świetne udogodnienia na 1000 słuchaczy. Nowe urządzenie będzie zawierało dwie sale wykładowe, bibljotekę, mogącą zmieścić co najmniej 150.000 tomów, obszerne czytelnie i uczelnie; gmach administracji i salę do wypoczynku ze stołowym pokojem oraz obszerne sypialnie. Całe urządzenie będzie się składać z dwunastu budynków. Władze Uniwersytetu chcą stworzyć zakład naukowy o specjalnej atmosferze: wspólne jadalnie i sypialnie dadzą możność młodym ludziom zacieśnić węzły przyjaźni, tak potrzebne w życiu praktycznem, choćby nawet w celach handlowych. Ponieważ matura jest konieczną do przyjęcia do szkoły, wielu ze słuchaczy jest takich, którzy przygotowywali się do niej na kursach wieczorowych. Wielu innych pochodzi z drobnych subjektów i urzędników i wybiło się dzięki swym zdolnościom. Są również synowie miljonerów, finansistów i kupców. Jak profesorowie tak i finansiści Ameryki wierzą, że pierwsza w ich kraju Wyższa Szkoła Byznesu ziści nadzieje p. Baker'a, nie skąpiącego miljonów na nią, byle tylko stała się instytucją pierwszorzędnej wagi. Szkoła ta z samego początku była krzewicielką nauki; przeszło sto zakładów naukowych korzysta z jej sprawozdań i dzieł przez nią wydanych.

Czyn p. Baker'a ma bardziej ogólne znaczenie i nie może być objęty ramami jednej naukowej instytucji. Zwraca on uwagę całego świata na ważność studjów nad ekonomiką. Bankierzy amerykańscy dobrze zdają sobie sprawę z wielkiego znaczenia gruntownej znajomości zasad, na których byznes jest zbudowany. Wielu z nich oddawna już wspomaga różne zakłady naukowe. Instytucje finansowe Stanów Zjednoczonych perjodycznie podają szerszemu ogółowi wiadomości co do spraw ekonomicznych, ale tego jest za mało. Rozpowszechnianie tych wiadomości ekonomicznych może być rozpostarte także na system szkolnictwa niższego. Dzieci w szkołach powszechnych powinny otrzymać podstawowe pojęcie z dziedziny ekonomiki.

Bezwątpienia arytmetyka w niższych szkołach może być połączona z ważnemi zagadnieniami ekonomicznemi. Byznesmeni i bankierzy amerykańscy wszyscy mniej lub więcej obawiają się braku wiadomości tyczących się byznesu u ludzi, którzy wchodzą w przedsiębiorstwo prosto ze szkolnej ławy.

U nas wiedza ekonomiczna jest o wiele mniej rozpowszechniona niż w Ameryce. Jednakże dla jej rozwoju uczyniono bardzo niewiele. Uczeń o kilkuklasowem wykształceniu, lecz posiadający żądzę wiedzy ekonomicznej, jakim był p. Baker w młodości, może wybić się pomimo liczne przeszkody. Jednakże cały byznes lepiejby funkcjonował, gdyby szerszy ogół wiedział o sprawach i teorjach ekonomicznych. W Polsce zwłaszcza ogół bardzo mało wie o ekonomice, wydaje jednakże często sądy, nie mające żadnej podstawy i wartości. Za Oceanem finanse coraz bardziej wspomagają handel, przemysł i transport. Dar p. Baker'a umożliwi wielu młodym ludziom zdobycie wiedzy ekonomicznej, usuwając dotychczasowe trudności. W miarę jak naukowość i systematyczność w prowadzeniu przedsiębiorstw handlowych będą wzrastały, współpraca banków z handlem i przemysłem będzie coraz ściślejsza. W Ameryce banki i towa-

rzystwa handlowe i przemysłowe dokonywają obecnie niezmiernie ważnej pracy w kierunku osiągnięcia wspólnoty gospodarczej. Czyn jednego z największych bankierów amerykańskich jest jednym z etapów tej pracy i wskazuje na jasne zrozumienie przez kierownicze sfery potrzeb byznesu amerykańskiego.

My jeszcze jesteśmy daleko od tego stanu rzeczy. Jednakże wiadomości, które podaliśmy wyżej, powinny być dla nas wytycznemi na przyszłość. Droga postępu ekonomicznego jest jedna dla wszystkich narodów.

K. Osmólski.

Precz z kryzysem gospodarczym

(Dalszy ciąg ze str. 27)

dytu. Gdy jest to niemożliwem, to można w porozumieniu zaciągnąć pożyczkę bankową. Tak, czy inaczej, pieniądze znajdą się zawsze, gdyż w dobrych interesach niema złych długów.

Polityka taka przeprowadzana racjonalnie w obecnych czasach polepszy znakomicie stan interesów, gdyż jest to polityka w stosunkach między uczciwymi ludźmi, gdzie można sobie pozwolić na wiele ryzyka. Politykę taką powinniśmy również stosować w naszych interesach z zagranicą. Na kredyt powinniśmy sprzedawać nie tylko w kraju, lecz i za granicę, gdyż wytwarzając dobre towary po uczciwych cenach, będziemy mogli konkurować i na rynkach zagranicznych.

Przekład Z. Koczorowskiego.

Sąd Amerykanów o Gdańsku

Trudno zaiste o sąd bardziej kompetentny i bezstronny. Wydali go fachowi rzeczoznawcy, których zadaniem było dostarczać przedstawicielom Ameryki na Konferencji pokojowej informacyj rzeczowych w każdej sprawie spornej; których opinji zasięgali dyplomaci, by wyjaśnić każde zagadnienie zawiłe. A sąd ten wydali nie wśród gorączki rokowań, sporów i układów, lecz po namyśle, gdy o rzeczach, spełnionych w Paryżu, pouczyć chcieli swych rodaków, jako o faktach dokonanych.

Cóż to za ludzie? Na ich czele stał pułkownik House: niepospolita postać historyczna, dotąd niedostatecznie oceniona. Rzadki człowiek o wielkim umyśle i wielkiej dobrej woli, co uparcie trzymał się w cieniu, stale odmawiał przyjęcia wszelkich stanowisk i godności, a na wypadki światowe przez ośm lat prezydentury Wilsona wywierał wpływ przemożny. Bez jego rady wielki prezydent nie powziął żadnego postanowienia i nie urzeczywistniał go bez jego czynnej pomocy. To też już w pięć miesięcy po wmieszaniu się Stanów do wojny europejskiej, we wrześniu 1917 r., Wilson zażądał od swego przyjaciela zestawienia materjałów, na których podstawie Ameryka, po zwycięskiej wojnie, podyktuje sprawiedliwy pokój. Jakie sprawy będą przedmiotem tych przyszłych rokowań? Tego oczywiście nikt przewidzieć nie mógł. Więc pułkownik House postanowił zebrać materjały, dotyczące wszystkich spraw spornych świata. Dobrał sobie wybitnych uczonych, specjalistów w każdej dziedzinie, dodał każdemu cały legjon fachowych współpracowników i zabrano się do roboty. I tak powstało to jedyne w świecie, olbrzymie archiwum, wyświetlające rzeczowo i bezstronnie a wszechstronnie każde zagadnienie polityki światowej. I podczas gdy wojna toczyła się opornie i uparcie, zapatrzony w przyszłość Wilson zażądał od Housa, w początku 1918 r., nakreślenia zarysu podstaw przyszłego pokoju, sprawiedliwego dla wszystkich narodów. Na podstawie otrzymanej odpowiedzi, prezydent ogłosił swe słynne 14 punktów. Z końcem tegoż roku House przeniósł się ze swem archiwum i swymi współpracownikami do Paryża i odtąd, aż do zawarcia pokoju, stał u boku Wilsona, kierując działalnością delegatów amerykańskich i wszystkie problemy wyświetlając rzeczowo.

W półtora roku po podpisaniu Traktatu Wersalskiego, gdy chory Wilson przegrał już kampanję wyborczą, u schyłku 1920 r., pułk. House zebrał ponownie swych głównych współpracowników i z ich współudziałem urządził szereg wykładów publicznych w Filadelfji, by rodaków pouczyć „co naprawdę stało się w Paryżu". Stenogramy z tych wykładów ukazały się potem w książce. [1])

Zajrzyjmy do tej książki: co bezstronni i uczeni eksperci amerykańscy sądzą o załatwieniu sprawy gdańskiej?

Powiedzmy odrazu, że o skrzynkach pocztowych niema tam mowy. I pewno ogarnęło ich zdumienie na wieść, że nawet skrzynek Polakom się zabrania. Oni wyobrażali to sobie całkiem inaczej. Ich zdaniem, jedyne sprawiedliwe rozstrzygnięcie polegało na wcieleniu do Polski całego Gdańska wraz z szerokim kurytarzem wzdłuż Wisły. Taką opinję uzasadnia naczelny ekspert spraw polskich R. H. Lord, prof. z Harward (str. 75—82) i wykazuje cały bezsens pozostawienia w rękach nieprzyjacielskich jedynego portu Polski i jej jedynego do morza dostępu, który miał być „pewny i bezpieczny". A gdy, wbrew jednomyślnej uchwale komisji dla spraw polskich, L. George wymusił „wolne miasto", prof. Lord streszcza układ w słowach: „Podczas gdy w przeważnej części spraw wewnętrznych Gdańsk ma być zupełnie autonomiczny, postanowiono, że wolne miasto ma być włączone w granice celne Polski i że jego stosunki zagraniczne i opieka nad jego obywatelami zagranicą powierzone będą Polsce. Polska ponadto otrzymała prawo dowolnego używania, rozwijania i ulepszania dróg wodnych, doków i wybrzeży na terytorjum wolnego miasta, kontrolę i administrację Wisły i (z pewnemi ograniczeniami) także systemu kolejowego, pocztowego i telegraficznego Gdańska". Na zapytanie (str. 449), czy uważa załatwienie spraw polskich za najsłuszniejsze, jakie dało się osiągnąć, odpowiada bez wahania: „Nie. Sprawa Gdańska była najważniejsza i najżywotniejsza dla Polski. A świeżo zawarto konwencję, która jeszcze oskrobuje prawa, przyznane Polsce traktatem. Kontrolę nad portem oddano teraz komisji mieszanej pod arbitrem neutralnym, iż Polska nie ma nawet kontroli nad swym jedynym portem. A jak gwałtownie potrzeba jej tej kontroli, okazało się zeszłego lata, za mego tam pobytu..." I jął opowiadać, jak wśród wojny Polska znalazła się na krawędzi przepaści za sprawą Niemców gdańskich i... wysokiego komisarza Ligi Narodów!

Czytając książkę, wydaną przez pułk. Housa, człowiek oprzeć się nie może żalowi, że eksperci amerykańscy nie zasiadają w Lidze Narodów, wyrokującej w tych sprawach ostatecznie. Jakby tam się przydali ci ludzie światli, prawi, sprawiedliwi, mówiący prawdę prosto z mostu! A czemu ich tam niema? I na to pytanie daje ta książka poniekąd odpowiedź. O sprawach gdańskich mówi tam nie jeden tylko prof. Lord. Naczelny ekspert teryto-

---

[1]) What Really Happened at Paris. By American delegates. London. Hodder and Stoughton. 1921.

rjalnych zagadnień europejskich, geograf, I. Bowman, objaśniając słuchaczów, jak chytrze dyplomaci przykrawali „zasady sprawiedliwego pokoju" do swych politycznych i materjalnych celów, przytacza znów Gdańsk, jako jaskrawy przykład (str. 154 i 160—163).

Oto treść jego opowieści: L. George siedział obojętny i znudzony. Dopiero, gdy Cambon przedstawił jednomyślną uchwałę, przyznającą Gdańsk Polsce, ocknął się nagle. Wszak tu chodziło o wielki port, za którego plecami są fabryki, kopalnie, węgiel śląski, nafta podkarpacka! Handel jest tem dla Anglji, czem Samsonowi włosy. Więc, wychylając się z krzesła, jął prawić z przejęciem. Dreszcz przeszył obecnych: „Niemcy tego nie podpiszą! Cała nasza robota na nic! Powiadam wam, że Niemcy nie podpiszą!" Nastała cisza, że aż ją było słychać: znalazł L. George straszaka i odtąd konsekwentnie, z mistrzowską zręcznością i pewnością ręki, to pokazywał straszaka, to go chował, jak mu dogadzało. Niebawem osiągnął, że sprawy sporne poszły przed „Wielką Czwórkę", do której nie mieli dostępu eksperci ze swemi argumentami rzeczowemi, których nie znosił. I przeparł swoje. „W sześć miesięcy potem, wbrew protestowi przedstawicieli Ameryki w Radzie najwyższej, sir R. Tower został mianowany wys. komisarzem w Gdańsku. Jego burzliwą działalność mógł z matematyczną ścisłością przewidzieć każdy, wiedząc, czemu L. George walczył o wolne miasto nad brzegami Bałtyku, gdzie kapitał armatorów angielskich tak był zainteresowany, i czemu wybrano właśnie Towera na podstawie jego działalności w Ameryce Południowej, gdzie go nasi kupcy poznali z niemiłej strony". Więc p. Bowman oświadcza wręcz: mem zdaniem Gdańsk należał się Polsce. Ale rozumiem, że bronić można drugiej alternatywy: że Gdańsk winien przypaść Niemcom. Skąd jednak wziął się pomysł wolnego miasta, z angielskim wys. komisarzem na czele? Chyba nie ze względów rzeczowych, lecz ze względu na interesy handlu angielskiego. Mówi się o „Nowej dyplomacji". To tylko nowa firma dla starych metod. Można pod tą firmą urzeczywistnić sprawiedliwość tylko w drobnych sprawach. Gdy wszakże idzie o grube stawki, wszystko dzieje się po staremu, po myśli wielkich interesów.

I pytać jeszcze, czemu Amerykanie stronią od politycznych spraw europejskich? czemu stronią od Ligi Narodów? O innej, prawdziwej, szczerej, sprawiedliwej „Nowej dyplomacji" marzył wielki prezydent Stanów, gdy kładł podwaliny pod Ligę. Chcecie czynnego udziału Stanów w sprawach europejskich? Możecie go mieć. Na każdej niemal stronnicy tej książki delegatów amerykańskich czytać można między wierszami: „Dajcie nam rękojmię, że nie grube interesy, lecz prosta sprawiedliwość decydować będzie zawsze i wszędzie, a wnet staniemy u waszego boku!" Gdy to kiedyś nastąpi, Polska będzie z pewnością pierwszą, co do nich zawoła serdecznie i radośnie: „Witajcie!"

Tadeusz Żuk Skarszewski.

Kongres Wychodztwa

Zamieszczamy poniżej wezwanie na Kongres Wychodztwa Polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki, na którym mają być omawiane najżywotniejsze zagadnienia Emigracji i stosunku jej do Macierzy. Niestety, nie całe wychodztwo przyjmuje udział w tym Kongresie i prawdopodobnie rozpali się na nim znowu walka o politykę wewnętrzną Wychodztwa, o problemy obywatelstwa, o kwestji Amerykanizacji. Najlepiej jednak będzie, gdy sprawy te rozstrzygnie Wychodztwo pomiędzy sobą, bez wtrącania się czynników starokrajskich. Z tego względu Towarzystwo Polsko-Amerykańskie, które miało początkowo zamiar delegować przedstawiciela do Ameryki, zaniechało tego, a Patronat Związku Polaków z Ameryki, Organizacja, mająca na celu opiekę nad reemigrantami i łączność kulturalną z Polonją Amerykańską, zawiesiło wszelką działalność na gruncie Stanów Zjednoczonych. Na innem miejscu znajdą czytelnicy list wysłany do Delegata Patronatu, pana Stanisława Osady, który przez pół roku wytrwale w prasie i osobiście broni wśród Emigracji idei łączności duchowej z Rzecząpospolitą, wstrzymujący jego akcję w imieniu Patronatu.

Pragnęlibyśmy szczerze, żeby Kongres doprowadził do jednolitego programu i jednakowych wytycznych dla całego naszego Wychodztwa. Życzymy, by obrady były jak najowocniejsze i uwieńczone jak najsilniejszym skutkiem dla dobra Rzeczypospolitej i Wychodztwa:

Rodacy i Rodaczki!

Rzucamy serdeczne wezwanie na Kongres Wychodźtwa!

Rzucamy je w przeświadczeniu, że nigdy nie było na to odpowiedniejszej chwili i właściwszych warunków.

Wychodztwo Polskie w Ameryce żyło do tej pory ideą niepodległości Polski, dla niej organizowało się, dla niej składało ofiary z życia i mienia. Dzisiaj już tego nie potrzeba. Niepodległa Rzeczpospolita Polska stanęła między narodami świata jako pierwszorzędne państwo i mocarstwo, któremu znowu przeznaczono rolę przedmurza kultury chrześcijańskiej i obrony cywilizacji europejskiej. Dzisiaj Polska musi pamiętać o swych dzieciach w rozproszeniu, by się utrzymały przy wierze, tradycji i języku Ojców i Matek, by choć w przybranej Ojczyźnie, kochając nowe osiedle swego życia, nie zapominały o kołysce narodu, o Ojczyźnie za Oceanem.

Dziś więc nowa epoka. Dziś po odbudowaniu Polski, wzmocnić musimy podstawy całokształtu życia Polskiego Wychodztwa, by nie zginąć w morzu rozmaitych narodowości amerykańskich, nie dać się zepchnąć na szary koniec, wyprzedzić przez inne kultury, ale owszem dorzucić swoją pracę, rozum i wolę do całości, rosnącej w powagę, wpływ, bogactwo i potęgę nacji amerykańskiej.

Wychodztwo Polskie w Ameryce ma do tego prawo: dawało bowiem i daje wysiłek mięśni i mózgu do poruszania wielkiej machiny życia amerykańskiego; dawało swą krew i mienie na walkę o pokój dla całego świata — dziś domaga się za to sprawiedliwości, równorzędności i równouprawnienia w każdej dziedzinie życia tak duchowej, materjalnej, jak i politycznej.

Na zdobycie jednak tego stanowiska w Ameryce potrzeba nietylko uznania praw nam należnych od warstw rządzących w tym kraju, ale przedewszystkiem zgody i jedności społeczeństwa polskiego na Wychodztwie. Dlatego też, stanąwszy ponad interesami grup i jednostek, stronnictw i różnorodnej opinji publicznej — pragnęlibyśmy znaleźć pomost porozumienia się w sprawach dotyczących przyszłości i rozwoju całego Wychodźtwa.

W szeregu spraw, które mają być przedłożone na Kongresie Wychodźtwa do zaopinjowania i wydania decyzji Delegatów całego zorganizowanego Wychodztwa w Ameryce, wysuną się następujące:

1. Reprezentacja interesów Wychodźtwa Polskiego nazewnątrz — wobec Polski i Stanów Zjednoczonych. Sprawa Centralnej Organizacji Wychodźtwa.
2. Naturalizacja, jako problem równouprawnienia Polaków i stosunek Wychodźtwa do Polski.
3. Obrona interesów Wychodźtwa w dziedzinie politycznej i administracyjnej tego kraju.
4. Ochrona języka polskiego w nauczaniu początkowem szkoły parafjalnej lub prywatnej, w kościele oraz organizacjach polskich.
5. Organizacja młodzieży Wychodźtwa. Sokolstwo, Skauting, Towarzystwa artystyczne i literackie, Kluby, Alumnaty.
6. Obrona interesów robotniczych.
7. Organizacja inteligencji zawodowej.
8. Równouprawnienie kleru polskiego.
9. Założenie Katedry języka, historji i literatury polskiej na Uniwersytetach Amerykańskich.
10. Organizacja prasy. Biuro informacyjne. Wydawnictwa polskie.
11. Fundusz im. Woodrow Wilsona.
12. Kwestja strat poniesionych przez Wychodźtwo dla Polski.

Kongres Wychodztwa odbędzie się w Detroit, Mich. Rozpocznie się dn. 17-go lutego 1925 roku w południe.

Z poważaniem

Za Radę Zarządzającą Wydziału Narodowego:

J. F. Sawicki, prezes; Ks. L. Grudziński, wice-prezes; Emilja Napieralska, wice-prezeska; Juljusz Śmietanka, skarbnik Zygmunt Stefanowicz, sekretarz.

Polsko-Amerykański Komitet Stypendjalny w Stanach Zjednoczonych

W ostatnich czasach dokonano wyjątkowo wielkiego czynu w zakresie kulturalnego nawiązania węzłów pomiędzy Polską a Stanami Zjednoczonymi. Miło nam tu na samym wstępie zaznaczyć, iż dokonał go prof. St. Mierzwa, o którego życiu i działalności pisaliśmy w styczniowym zeszycie naszego pisma.

Jeszcze w styczniu 1923 r. p. Mierzwa wystąpił na gruncie wychodztwa polskiego w Ameryce z projektem utworzenia Funduszu Stypendjalnego dla studentów z Polski, udających się na studja do Stanów Zjednoczonych. Dalszym celem tego projektu jest udzielanie stypendjów studentom amerykańskim, udającym się na studja uniwersyteckie do Polski. Trzecim wreszcie celem jest wymiana profesorów pomiędzy wyższemi uczelniami Polski i Stanów Zjednoczonych.

Cele, jak widzimy, wnoszą w nasze wzajemne polsko-amerykańskie stosunki momenty tak nowe i wielkie, iż całe społeczeństwo nasze, które zaczyna sobie uświadamiać znaczenie cywilizacyjne wielkiej Republiki zamorskiej dla świata całego, z największem zainteresowaniem winno się odnieść do tego faktu i czynnie poprzeć wysiłki, zdążające do osiągniętych celów.

Półtora roku niestrudzenie pracował p. Mierzwa, propagując słowem i piórem swą ideę w sferach polskiego wychodźtwa, jako też wśród amerykańskiego świata naukowego. I oto we wrześniu 1924 r. cel jego został osiągnięty, powstała bowiem specjalna instytucja p. n. „Polsko-Amerykański Komitet Stypendjalny". Zarząd Komitetu składa się z 7 osób: 1 przewodniczącego, 4 wice-przewodniczących — dwóch Amerykanów i dwóch Polaków — skarbnika i sekretarza.

Członkami Zarządu Komitetu są następujące osoby:

1. Przewodniczący dr. Władysław Wróblewski, poseł Rzeczypospolitej Polskiej na Stany Zjednoczone.

2. Pierwszym amerykańskim wice-prezesem jest Samuel M. Vauclain, prezydent „The Baldwin Lokomotive Works". P. Vauclain jest znanym i zasłużonym działaczem amerykańskim na korzyść Polski.

3. Drugim amerykańskim wice-prezydentem jest dr. Henry N. Mac Cracken, rektor Vassar College. Prof. Mac Cracken po kilkotygodniowym pobycie w Polsce, gdzie miał szereg wykładów o Ameryce i amerykańskiem szkolnictwie, powróciwszy do Ameryki, rozwija energiczną działalność w prasie i podczas wykładów również na korzyść Polski.

4. Pierwszym wice-prezesem polskim jest pan G. Dziadulewicz, zarządca spółki wydawniczej „Kurjera Polskiego" w Milwaukee, który swą ofiarną działalnością przyczynił się do zebrania Funduszu Stypendjalnego.

5. Drugim wice-prezesem polskim jest p. Kazimierz W. Sypniewski, cenzor Związku Narodowego Polskiego. To wysokie stanowisko społeczne jest dostateczną rekomendacją dla osoby p. Sypniewskiego.

6. Skarbnikiem jest p. Jan F. Smulski, prezydent banku w Chicago p. n. „North Western Trust and Savings Bank". Działalność p. Smulskiego, jako najwybitniejszego finansisty polskiego w Ameryce, jest dostatecznie znaną naszemu społeczeństwu.

7. Wreszcie sekretarzem wykonawczym jest niestrudzony robotnik na polu kulturalnem, znany nam już p. St. Mierzwa.

Zabiegom tego ostatniego zawdzięczamy przedewszystkiem tę okoliczność, ten prawdziwie amerykański czyn, stawiający czas zawsze wyżej od pieniądza, iż akcja stypendjalna rozpoczęła się już, nim został zorganizowany sam Komitet. Zrobiono to w tym celu, by umożliwić wykorzystanie bieżącego roku szkolnego.

Studenci, którzy uzyskali już stypendja na ten rok, są:

1. Wł. Michejda, z Akad. Górniczej w Krakowie, będzie studjował Organizację Pracy w Harvard University.

2. W. Wrzesień, z Politechniki Warszawskiej, będzie studjował inżynierję w Columbia University.

3. W. Bielecki, z Uniw. Wileńskiego, wstępuje do Syracuse University.

4. J. Cender, ukończył gimnazjum w Rzeszowie, 3 lata studjował w Wiedniu, udaje się na kurs handlu międzynarodowego w Columbia University.

5. W. Krzyżanowski, asystent na wydziale geografji ekonomicznej w Uniw. Lubelskim; udaje się na studja ekonomiki w Yale University.

6. M. Olekiewicz, z Uniw. Warszawskiego, wstępuje do Columbia University, Teachers College.

7. M. Moszkowska, z Uniw. Warszawskiego, do Columbia University.

8. F. Wolski, z Uniwer. Jagiellońskiego, do Dartmouth College, Hanover, N. H.

9. K. Kozłowski, z Uniw. Poznańskiego, do Amherst College.

10. Z. Zieliński, z Uniw. Lwowskiego, do Johns Hopkins University.

Umyślnie przytoczyliśmy nazwiska tych pierwszych pionierów na niwie naukowego sojuszu Polski z Ameryką, by społeczeństwo nasze wiedziało, kogo wysłało, i jaki pożytek państwu naszemu przyniosą oni w przyszłości.

Pan Mierzwa w swym komunikacie o tej sprawie wyraża wielki żal, iż narazie fundusze zebrane nie pozwoliły na udzielenie większej ilości stypendjów. Podług opracowanego jednak planu, w następnym roku liczba stypendjów ma być powiększoną do 25 dla studentów z Polski, oraz 5 do 10 stypendjów dla studentów amerykańskich, udających się na studja uniwersyteckie do Polski.

Jak widać z powyższego, studenci pochodzą ze wszystkich uniwersytetów w Polsce, względy więc dzielnicowe nie grają żadnej roli. W celu uniknięcia błędów w wyborze aplikantów, stypendyści są wybierani przez komisje kwalifikacyjne przy uniwersytetach w Polsce, i zatwierdzani przez Ministerstwo Oświaty w Warszawie. Ostatecznego wyboru dokonywa Komitet Stypendjalny, który powoduje się wszechstronnemi kwalifikacjami kandydatów.

Każde stypendjum wynosi 500 dol. Oprócz tego studenci z Polski otrzymują kartę okrętową i 50 dol. na podróż. Są to kwoty minimalne, wystarczające zaledwie na bardzo skromne wyżywienie w ciągu roku szkolnego.

Powiększony program działalności stypendjalnej będzie wymagał wzmożonej akcji zbierania funduszów na rzecz Komitetu Stypendjalnego, przeto byłoby rzeczą wskazaną, by społeczeństwo nasze, pod kierownictwem sfer naukowych, zajęło się sprawą utworzenia na gruncie naszym pewnego organu, któryby był ekspozyturą krajową Komitetu Stypendjalnego w Ameryce.

Oprócz ofiarodawców, którzy ofiarują na Fundusz Stypendjalny mniejszy lub większy jednorazowy datek, statut Komitetu przewiduje werbowanie stałych członków. Członkowie dzielą się na: 1) członków zwyczajnych, z wkładką roczną przynajmniej 5 dol.; 2) członków wspierających, z roczną wkładką 50 dol.; 3) członków dożywotnich, z jednorazową wkładką przynajmniej 1.000 dolarów.

Ofiary jednorazowe oraz roczne wkładki przyjmuje Skarbnik Komitetu, p. Jan F. Smulski, North Western Trust and Savings Bank, Chicago, Ill., U. S. A.

We wszystkich sprawach informacyjnych i organizacyjnych należy się zwracać do: Stefan P. Mierzwa, 10 Alpine St., Cambridge, Mass., U. S. A.

Za przykładem Ameryki

(Dalszy ciąg ze str. 33)

łem narazie jedną z tych darowizn, by podzielić się z czytelnikami jej obecnym stanem i losem.

STEFAN BENZEF

Ujrzałem więc przed sobą człowieka niewysokiego wzrostu, w sile wieku, z bystrym, silnym, lecz zdradzającym wiele spokoju i nawet łagodności wzrokiem. Pamiętam wzrok zmarłego kilka lat temu Morgana, najpotężniejszego finansisty doby ubiegłej: był to symbol potężnego spokoju, lub spokojnej potęgi — tak chyba patrzy w świat bezkresny i w epoki dziejowe tylko sfinks egipski. Ten silny spokój w oczach p. Stefana Benzefa, fundatora na cele nauki polskiej, mimowoli nasunął mi to porównanie.

Trudno mi się powstrzymać i od innego, mniej dyskretnego, porównania: p. Benzef jest raczej niskiego wzrostu i w tym fakcie naturalnym doszukuję się przyczyn jego wielkich intencyj, zamierzeń, planów i celów. Jest to prawo kontrastu, które tak często przejawia się i w przyrodzie i wśród ludzi. I dlatego też p. Benzef otacza się najbliższymi swymi współpracownikami, którzy co chwila wchodząc do gabinetu, przerywają naszą rozmowę, ludźmi o wzroście ponad zwykłą miarę wysokimi. Snać temu samemu prawu ulegał Napoleon, otaczając się świetną świtą swych generałów.

— Czy pan w sprawie wywiadu? — z pewnym odcieniem niechęci w głosie, zapytał fundator.

— Tak, panie. Proszę, niech to pana nie przeraża. Zarówno pan jak i ja mamy pewne obowiązki względem społeczeństwa. Pan uczynił dobrą rzecz, o której nikt nic nie wie, ja zaś mam obowiązek informowania o wszystkich dobrych rzeczach. Podkreślam, tylko dobrych, ponieważ o złych, o całej ohydzie życia, o wszystkich zbrodniach, występkach, o szkalowaniu ludzi, instytucyj, narodów i państw cała prasa polska tak drobiazgowo i z takiem zamiłowaniem zawsze pisze, że żadna inna w świecie dorównać jej w tem nie może.

— Czy pan z nieba zleciał na grunt naszej rzeczywistości? — śmiejąc się, zagadnął p. Benzef.

— Nie, panie prezesie, raczej z piekła i dlatego może umiem lepiej cenić każdy dobry czyn, który dodatnio wpływa na kształtowanie życia.

— Niechaj to pana więc nie zdziwi, że pierwszą obszerniejszą wiadomość o Fundacji Benzefa wyczytałem nie w polskiem, lecz w zagranicznem piśmie, mianowicie w „L'intransigeant".

Niesprawiedliwy pan jest względem naszej prasy. Np. „Świat" zamieścił wzmiankę o Fundacji.

— „Wzmianki" były i w innych pismach. Ale nie o wzmianki mi chodzi. Chciałbym, by cała prasa była najsurowszym kontrolerem tej i wszelkiej innej fundacji. Społeczeństwo ma prawo żądać tego od niej, ponieważ każda fundacja jest własnością społeczną. Wszakże tak nietrudno najlepsze dobro przenicować na najgorsze zło!

— Więc pan, jako przedstawiciel prasy, przyszedł skontrolować stan mojej fundacji?

— Jeżeli pan nic nie ma przeciwko temu...

Tu pan Benzef odszukał w biurku specjalną teczkę i, przerzucając papiery, mówił:

— Zarzucają mi niektórzy przedstawiciele sfer gospodarczych, że jestem człowiekiem nierealnym, że marzę o fantazjach życiowych, wkraczających w dziedziny sztuki, muzyki, literatury, że, jako finansista, zbaczam ze swej drogi zawodowej, z której łatwo wpaść na manowce...

— Przypuszczam — przerwałem — że takie zarzuty, jeśli istotnie mają one miejsce, nie bardzo chyba ranią pańskiej świadomości i ambicji, albowiem fakty zawsze najlepiej mówią za siebie. Najrealniejszym zaś faktem, świadczącym o realizmie pańskich zamierzeń i pańskiej pracy, jest goły fakt istnienia tego oto gabinetu, w którym pan obecnie siedzi. Ponadto z gabinetu tego promieniuje bardzo realna pańska wola, panująca nad całą armją ludzi w tej okazałej Centrali Banku, jednego z największych w Polsce, oraz nad całą siecią jego rozgałęzień nietylko w kraju lecz i sięgającej daleko po za jego granice.

— Istotnie, bank nasz jest rzeczywistością niezaprzeczalną i skryć tego faktu ani przed sobą, ani przed innymi, nie mogę, że gdy piętnaście lat temu przystępowałem do jego założenia i organizacji, z lilipucim kapitałem zakładowym w sumie 6.000 rubli, wszędzie, gdzie obecnie wznoszą się jego gmachy i lokale, były puste miejsca. Puste, rzecz prosta, w przenośnem znaczeniu, bo takich miejsc niema, i trzeba było głęboko orać, chwasty wyrywać, głazy z pola usuwać, miedzę wyrównywać i rozszerzać, z sąsiadami zaciekłe spory graniczne prowadzić, by wreszcie tę znaczną już teraz połać naszej gospodarki finansowej obrobić i doczekać się plonu bogatego i radosnego.

Słowa powyższe dziwnie harmonizowały z obrazem, wiszącym na ścianie tuż za biurkiem prezesa zarządu Banku dla Handlu i Przemysłu. Jest to duże pochmurne płótno Ruszczyca — „O r k a", symbol pracy jeszcze ciężkiej, nużącej, prymitywnej, pracy czarnej, jak ten skrawek czarnej kuli ziemskiej. Chłop, uzbrojony w knut, napędza parę wołów, ciągnących za sobą pług. Wrzyna się on z ogromnym trudem w glebę, która ma wydać plon życiodajny dla chłopa, narodu ludzkości.

Tak zapewne musiał trudzić się sam fundator, przechodząc od najniższych szczebli pracy biurowej i bankowej, wysiłkiem ogromnym zdobywać

szczeble wyższe, coraz wyższe, aż wreszcie staje na szczycie niezmiernie skomplikowanej struktury gospodarczej, jaką jest wielki bank nowoczesny. Zjawisko, które w Ameryce jest na porządku dziennym, u nas jest rzadkością niezwykłą, jest faktem, który winien przyświecać całemu pokoleniu „młodej Polski" w dążeniu do budowania silnego społeczeństwa w swojem własnem państwie.

— A jaki jest majątek Banku dla Handlu i Przemysłu? — zagadnąłem.

— Dowie się pan wkrótce po przewartościowaniu na złote naszych aktywów i pasywów w ogólnym bilansie. Mogę jednak panu powiedzieć teraz, że bank posiada około 70 nieruchomości w Polsce oraz sto kilkadziesiąt swoich oddziałów w kraju i zagranicą. Z tych ostatnich filje nasze znajdują się: w Paryżu, Brukseli, Roterdamie, Londynie i oddziały na północy Francji.

— Oto statut Fundacji Benzefa. który pana najbardziej interesuje — ciągnął p. Benzef, dobywając z teczki zbroszurowany dokument.

— Statut ten jest zaopatrzony krótką przedmową, skreśloną przez prof. K. Lutostańskiego i mec. A. Osuchowskiego. w której czytamy, że dn. 9 stycznia 1924 r. Stefan i Róża małżonkowie Benzefowie powołali do życia „Fundację Benzefa", której celem jest podejmowanie i popieranie prac naukowych, zmierzających bezpośrednio ku pożytkowi Narodu i Państwa Polskiego, zwłaszcza w zakresie języka polskiego, historji, prawa, gospodarstwa i przyrody Polski.

Materjalne podstawy fundacji stanowi darowizna małż. Benzefów 150.000 akcyj Banku dla Handlu i Przemysłu.

Zarząd fundacji oparty został o polskie instytucje naukowe: Polską Akademję Umiejętności, Kasę im. Mianowskiego, oraz Towarzystwo Naukowe Warszawskie.

Art. 20 statutu stwierdza, że majątek oddany fundacji stanowi „owoc pracy i oszczędności" ofiarodawców. Tem samem podkreśla się fakt, że ta nowa placówka, mająca służyć njwiększym wartościom Narodu i Państwa, zawdzięcza swój byt nie bogactwu odziedziczonemu, lecz pracy usilnej dwoiga ludzi, którzy wierzą, że p r a c a da odnowienie Ojczyźnie, da Jej fundamenty trwałej przyszłej wielkości.

— Nie obeszło się podczas tego aktu, zdawałoby się zupełnie poważnego, bez interesującej humoreski, która dosadnie charakteryzuje pewne dziedziny naszego prawodawstwa. Okazało się bowiem — żywo i wesoło mówił fundator — że darowizna moja, która w chwili zdeponowania akcyj równała się bezmała pięciu miljonom franków, przewyższała pewne normy, gdzieś w jakichś księgach ustawowych zapisanych, na zasadzie których zobowiązywano mnie do zapłacenia na rzecz skarbu opłaty stemplowej tak wielkiej, że mimo szczerej chęci uiszczenia tego podatku, nie rozporządzałem dostateczną gotówką.

— Jednakże fundacja doszła do skutku?

— Jak pan widzi, lecz był moment, kiedy wisiała na włosku. Dzięki nieprzebranej mądrości naszych jurystów uratowaliśmy ją, a to w ten sposób, że sporządziliśmy początkowo zasadniczy akt fundacji tylko na 1000 akcyj, wymagającej stosunkowo nieznacznej opłaty stemplowej, a 149.000 akcyj dodaliśmy do fundacji w formie darowizny.

— Są to paradoksy życiowe, bez których życie straciłoby wiele uroku — zauważyłem, chcąc bronić powagi litery prawnej.—A jaką też wartość przedstawia obecnie fundacja?

— Proszę pana, my finansiści sądzimy o wartości kapitału nie zawsze na zasadzie jego liczbowej wielkości, lecz raczej dochodowości. Dochodowość fundacji pragnę opierać zarówno na pracy licznych placówek naszej instytucji, jako też i na całym szeregu przedsiębiorstw, związanych interesami z naszą instytucją. Obliczam więc, że roczny dochód z fundacji winien przewyższać 150.000 zł., zwłaszcza gdy zważymy, że w miarę możności staram się je zasilać ze źródeł pobocznych, np. wszystkie moje żetonowe honorarja za pracę w Zarządzie Wodociągów i Kanalizacji przy Magistracie. w Zarządzie Cukrowni Szpanów, w Komisji Rewizyjnej Banku Polskiego i w Polskiem Towarzystwie Elektrycznem, przeznaczam stale na cele fundacji. Fundacja więc, w osobie jej Zarządu, jest jednym z poważniejszych akcjonarjuszów naszego banku, i zależnie od jego stanu finansowego, a w większej jeszcze mierze od ogólnego stanu gospodarki narodowej, dochód Fundacji będzie się zwiększał lub zmniejszał.

— Panie prezesie, z tego, co słyszałem, wiem już, że fundacja została oddana w najwłaściwsze ręce, jakie można było znaleźć w kraju, mianowicie w ręce najpoważniejszych naszych instytucyj naukowych. Kto jednak bezpośrednio będzie zarządzał funduszami, kto będzie ich włodarzem?

— I pod tym względem mogę pana najzupełniej uspokoić. Dotychczas jeszcze fundacją opiekuje się Komitet Organizacyjny, złożony z pp. mec. A. Osuchowskiego, prof. K. Lutostańskiego, prof. J. Lewińskiego, prof. S. Okolskiego, Z. Święcickiego oraz samego Fundatora. Otóż nie czekając na zorganizowanie stałego Zarządu, Komitet Organizacyjny przystąpił do pracy i niedawno przyznał z nagromadzonych już dochodów 5.500 zł. na budowę Instytutu Radowego im. Marji Curie-Skłodowskiej oraz 5.000 zł. na utworzenie gabinetu Matematycznego przy Towarzystwie Naukowem Warszawskiem.

— Ta właśnie okoliczność, że początek już zrobiony, że dobroczynny wpływ fundacji zaczyna już działać, jest bodaj że najlepszą stroną czynu pańskiego. Wiadomo nam bowiem, że los innych polskich fundacyj napotyka na większe jeszcze trzę-

sawiska biurokratyczne, niż to, na które pan osobiście się natknął — na tę opłatę stemplową. Nawet głos Żeromskiego: „Ratujmy! Wspierajmy! Stwórzmy na nowo Kasę imienia Mianowskiego", nie może rozbudzić do żywej i szybkiej działalności tych, od których zależy wykorzystanie fundacji dla najniezbędniejszych potrzeb społeczeństwa.

— Jeszcze jedno pytanie, panie prezesie: czy odczuwa pan pełne zadowolenie z dokonanego czynu i czy nie uważa pan, że kapitał, którego się pan tak hojnie wyzbył, nie mógłby być lepiej, osobiście dla pana, zużytkowany?

— Przyznam się panu — była prędka odpowiedź—że zajęty sprawami banku nie mam wprost czasu na rozmyślania w tym kierunku. Co najwyżej, wyczuwam chwilami, że spełniamy wraz z żoną nasz prosty obowiązek względem tego społeczeństwa, z którem i dla którego pracujemy.

— Miarą istotną wartości człowieka — po głębszem namyśle mówił p. Benzef — jest stopień jego pożyteczności dla ogółu, a jeżeli niektórzy mali przedstawiciele rodzaju ludzkiego pożyteczności tej nie chcą lub jej nie rozumieją, to należy z nimi postępować, jak z chorem, rozkapryszonem dzieckiem, któremu lekarstwo wlewa się niekiedy do gardła.

— Zapewne panu wiadomo, że żona moja pracuje nie mniej ode mnie: występuje na koncertach, jeździ po prowincji, rozwija działalność pedagogiczną. Pracujemy nie dlatego, by dzieciom naszym przekazać majątek, lecz by wpoić w ich dusze to zamiłowanie do pracy, które nas samych ciągle ożywia, i które jest najwłaściwszą drogą do szczęścia zarówno jednostek, jak i całego narodu.

— Niestety jednak, gdy społeczeństwo nie jest zdrowe i gdy ludzie, zamiast tworzyć ambitnie swój żywot na potrzeby innych ludzi, urządzają się egoistycznie i wiszą przy życiu, jak utrzymanka przy swym amfitrjonie, — uśmiechając się, ciągnął fundator — wtedy za każdym czynem rzetelnym, za każdą cnotą biegnie karzeł-zawiść albo tchórz-złośliwość; znikają jednak, gdy społeczeństwo krzepnie moralnie...

— Wypowiedział pan złote słowa — odparłem. Nawet Ameryka, jeszcze kilkanaście lat temu, wylała więcej pomyj i brudów na największego swego dobroczyńcę, Rockefellera, niż my, Polacy, na pierwszego lepszego działacza społecznego. Jednak nie zrażony tem, uszczęśliwia on nadal swój naród i ludzkość całą. Najwidoczniej tym maleńkim przedstawicielom rodzaju ludzkiego, o których pan mówił, są potrzebni Napoleoni, którzy ich mordują i jak mięso armatnie traktują; wówczas dopiero zasługują sobie na miano wielkich.

— Sądzę jednak z naszej krótkiej rozmowy, że entuzjazm pański do dalszej pracy w kierunku wspierania nauki i kultury polskiej jest niewyczerpany, pozostaje mi więc tylko życzyć szanownemu panu jak najpomyślniejszego rozwoju banku, ponieważ od jego to głównie interesów zawisł los Fundacji.

— I jeszcze jedno życzenie na pożegnanie: jeżeli orka Ruszczyca ma symbolizować pracę polską wogóle, to pragnąłbym, aby już przy następnej mej wizycie w gabinecie pana prezesa wisiał obok tego obrazu obraz inny jakiegoś polskiego Marinettiego, istotnego „futurysty", któryby „przyszłą" pracę polską symbolizował już nie wołami i chłopem w łapciach, a jakimś ogromnym traktorem — „Tytanem" lub „Mogulem", ciągnącym za sobą cały kompleks najdoskonalszych maszyn rolniczych, miejsce zaś chłopa zajął wykwalifikowany maszynista, nowożytny proletarjusz-dżentlmen, który poprzez naukę doszedł do stokroć spotęgowanej w stosunku do chłopa naszego wytwórczości.

— Dziękuję, dziękuję za życzenia — wesoło mówił pan Benzef, wstając od biurka. — Tak, tej pracy starej, polskiej mamy dużo, bardzo dużo — dobrze jednak dać się porwać czasem marzeniom o przyszłości, — to odmładza i nową energją zapładnia nasze czyny.

Pożegnałem polskiego Amerykanina z żalem, że obowiązki nie pozwoliły mu przedłużyć naszej rozmowy.

A. Mikulski.

P R O T O K Ó Ł

Posiedzenia Pierwszego Zjazdu Delegatów Zrzeszeń Naukowej Organizacji Pracy podczas Pierwszego Zjazdu Polskiego Naukowej Organizacji w Warszawie w gmachu Stowarzyszenia Techników Polskich

Dnia 6 grudnia 1924 r. Początek o g. 15 m. 10

Obecni następujący delegaci zrzeszeń:

(Koła w porządku ilości członków, najliczniejsze na początku. Liczby członków i liczby głosów przyznanych spisano stosownie do orzeczenia Komisji Kwalifikacyjnej, której członkami byli pp.: S. Rażniewski, J. Sykała, W. Waszczyński).

	Liczba delegatów	Liczba członków	Liczba głosów
Warszawa	4	114	12
1) Adamiecki Karol			
2) Borkowski Stanisław			
3) Kaczmarski Czesław			
4) Łubieński Stanisław			
Śląsk	1	88	9
5) Górkiewicz Eugenjusz			
Dąbrowa Górnicza . . .	3	40	4
6) Janota Walery			
7) Rażniewski Stanisław			
8) Sykała Juljan			
Łódź	2	22	3
9) Dyljon Jakób			
10) Kinel Konstanty			
Bydgoszcz	1	20	2
11) Wdziękoński Teofil			
Lwów	2	20	2
12) Hauswald Edwin			
Sosnowiec	1	20	2
13) Jacobi Józef			
Bielsko	1	15	2
14) Staś Karol			
Gdańsk	1	15	2
15) Krzyżanowski Tadeusz			
Wilno	2	15	2
16) Nieciengiewicz Władysław			
Poznań	1	14	2
17) Waszczyński Wiktor			
Grudziądz	2	5	1
18) Markowicz Władysław			
Kraków	1	?	1
19) Vetulani Kazimierz			
20) Żórański			
Razem	22	388	44
Nieobecni:			
Radom	1	?	1
Toruń	1	6	1

W charakterze gości uczestniczyli panowie:

1) Bornstein M. (Winnica)
2) Bratkowski S. (Ostrowiec)
3) Heybowicz Adam (Kraków)
4) Dąbrowski (Katowice)
5) Kucharzewski Adam (Warszawa)
6) Lehrbach Juljan (Warszawa)
7) Olszewski Antoni (Warszawa)
8) Pisarski Adolf (Starachowice)

Przewodniczył p. S. Łubieński; protokół prowadził p. S. Borkowski.

Przyjęto następujący porządek dzienny:

1) Sprawa Zjednoczenia Kół,
2) Utworzenie Instytutu Organizacji Pracy,
3) Program współpracy Kół,
4) Wydawnictwa,
5) Sprawy stosunków ze Stanami Zjednoczonemi:
   a) wysyłanie techników na praktyczne doszkolenie,
   b) wysyłanie studentów do szkół technicznych,
   c) sprowadzanie ekspertów-organizatorów,
   d) sprowadzanie literatury,
   e) wycieczka do Stanów Zjednoczonych.
6) Przyszłe kongresy Naukowej Organizacji.
7) Wolne wnioski.

1) Odczytano i przyjęto do wiadomości protokół Komisji Kwalifikacyjnej Pierwszego Polskiego Zjazdu Naukowej Organizacji, ustalający liczbę delegatów oraz głosów przysługujących delegatom poszczególnych Zrzeszeń. Stwierdzono przytem, że na Zjazd przybyło 22 delegatów, reprezentujących 388 członków Zrzeszeń, przy ogólnej liczbie głosów 44.

Stwierdzono, że istnieją obecnie następujące środowiska zainteresowane sprawami naukowego zarządzania:

1) Koło Naukowej Organizacji Pracy, Czackiego 3, Warszawa.
2) Koło Naukowej Organizacji Pracy na ręce p. Teofila Wdziękońskiego, dyr. fabryki „Kabel Polski", ulica Gdańska 153, Bydgoszcz.
3) Koło Naukowej Organizacji Pracy na ręce p. Stanisława Ambrożewicza, dyr. Polsk. Tow. Elektrycznego, róg Groblowej i Mickiewicza, Grudziądz.
4) Koło Naukowej Organizacji Pracy w Gdańsku na ręce p. Antoniego Glassa, wicedyrektora ruchu kol. gdańsk., Stacja Tczew.
5) Koło Naukowej Organizacji Pracy na ręce p. Stanisława Celichowskiego, ulica Mickiewicza 72, Toruń.
6) Koło Naukowej Organizacji Pracy na ręce p. Wiktora Maćkowiaka, dyr. Szkoły budowy maszyn, ulica Kluczborska 5, Poznań.
7) Koło Naukowej Organizacji Pracy na ręce Stowarzyszenia Techników, ulica Andrzeja 3, Łódź.
8) Koło Naukowej Organizacji Pracy w Dąbrowie Górniczej na ręce p. Stanisława Rażniewskiego dyr. kopalni Grodziec II, Grodziec, pow. Będziński.
9) Koło Naukowej Organizacji Pracy na ręce dyr. Romana Rygiera, Królewska Huta, Pole Wschodnie, Śląsk.
10) Koło Naukowej Organizacji Pracy na ręce p. Józefa Jakobi, ulica Staszica 13 (Huta Katarzyna), Sosnowiec.
11) Koło Naukowej Organizacji Pracy, na ręce p. Jerzego Stonawskiego, dyr. Szkoły Przemysłowej, ulica Sixta, Bielsko.
12) Koło Naukowej Organizacji Pracy, Akademja Górnicza, ulica Smoleńska 7, Kraków.
13) Komitet Organizacyjny Koła Naukowej Organizacji Pracy, na ręce Towarzystwa Politechnicznego, Zimorowicza 9, Lwów.
14) Komitet Organizacyjny Koła Naukowej Organizacji Pracy, na ręce p. J. Zielińskiego, Towarzystwo Akcyjne „Olej Skalny", Borysław.

15) Koło Naukowej Organizacji Pracy, na ręce p. Władysława Nieciengiewicza, Wileńska 33, Wilno.

16) Komitet Organizacyjny Koła Naukowej Organizacji Pracy, na ręce inż. Karolca, ulica Lubelska 41, Radom.

17) Korespondentem w Stanach Zjednoczonych jest Towarzystwo Techników i Handlowców Polaków w Ameryce, Society of Polish Engineers and Businessmen in America, Polish Circle, 105 W 76, New York City, U. S. A.

Prócz tego od czasu Pierwszego Kongresu Międzynarodowego w Pradze istnieje:

18) Korespondent Kół N. Organizacji P. przy Towarzystwie Polsko - Czeskiem na ręce: Legacji Polskiej (p. Łaciński), Legation de Pologne, Praga, Czecho-Słowacja.

Członkami Komisji Kwalifikacyjnej byli pp. S. Rażniewski, J. Sykała i W. Waszczyński.

2) Odczytano wniosek Koła Warszawskiego w sprawie zjednoczenia wszystkich zrzeszeń Naukowej Organizacji Pracy. Po wyczerpującej dyskusji wniosek przez głosowanie przyjęto w następującej formie: Pierwszy Zjazd Delegatów Zrzeszeń Naukowej Organizacji Pracy zebrany w dniu 6-go grudnia 1924 roku z okazji Pierwszego Polskiego Zjazdu Naukowej Organizacji, postanawia wyłonić Komitet Wykonawczy Zrzeszeń Naukowej Organizacji Pracy w Polsce w liczbie 7 członków i 3 zastępców, wybranych z prawem kooptacji, przyczem zebrania członków mają być prawomocne przy udziale co najmniej czterech członków, względnie zastępców.

Zadaniem Komitetu będzie:

1) Wykonanie uchwał Zjazdu i opracowanie sprawozdania.

2) Opracowanie Statutu Kół miejscowych, oraz Towarzystwa, któreby ogniskowało pracę wymienionych Kół i Stowarzyszeń.

3) Tymczasowe kierownictwo ogólne i podział prac, oraz ułatwienie komunikowania się wszystkich Kół Naukowej Organizacji Pracy.

4) Wzięcie udziału w imieniu tychże Kół przy tworzeniu powstającego w Warszawie „Instytutu Organizacji Pracy".

5) Przyjmowanie wpłat, wydatkowanie i zarządzanie funduszami i majątkiem, jaki poszczególne Koła i Stowarzyszenia na rzecz Komitetu przekażą, lub jaki wpłynie z wszelkich innych ofiar, czy zapisów, przeznaczonych na rzecz badań nad Organizacją Pracy, na wydawnictwa, bibljoteki i pomoce naukowe, jak wogóle na wszystko, co mogłoby się do tego odnosić.

6) Załatwianie wszelkich spraw, jakie poszczególne Koła po uprzednim porozumieniu, łącznie lub osobno Komitetowi do wykonania przekażą.

7) Występowanie w imieniu zrzeszonej działalności na polu Organizacji Pracy wobec społeczeństwa, władz państwowych, instytucji i stowarzyszeń w kraju i zagranicą, delegowanie członków na zjazdy, konferencje i wszędzie, gdzieby tego zaszła potrzeba.

8) Ponieważ Komitet nie jest jednostką prawną, Zjazd upoważnia Komitet do wybrania trzech członków, którzy załatwiać będą formalności prawne łącznie na swoje nazwiska.

9) Termin zwołania następnego Zjazdu Naukowej Organizacji Pracy pozostawia się uznaniu Komitetu Wykonawczego.

10) Dla kontrolowania kasowości, wpływów i wydatków Komitetu Wykonawczego, Zjazd wybiera Komisję Rewizyjną, złożoną z trzech osób. Komisja Rewizyjna zda sprawę ze swych czynności przed następnym Zjazdem.

Również do uznania Komitetu Wykonawczego przekazano wniosek p. W. Nieciengiewicza (Wilno) o zwołanie następnego zjazdu do Wilna.

Podkreślono celowość zwoływania perjodycznych zjazdów delegatów w różnych ośrodkach.

3) Członkami Komiteu Wykonawczego wybrani pp.: K. Adamiecki, S. Borkowski, P. Drzewiecki, K. Kinel, S. Łubieński, C. Kaczmarski, J. Sykała. Na zastępców pp.: S. Muszyński i J. Wojciechowski, pozostawiając kooptacji wybór trzeciego zastępcy przez Komitet Wykonawczy.

Do Komisji Rewizyjnej zostali wybrani pp. J. Dyljon, S. Rażniewski i J. Piotrowski.

4) Odesłano do załatwienia w łonie Komitetu Wykonawczego opracowanie statutu ramowego dla poszczególnych zrzeszeń, przyczem ustalono następujące zasady:

a) Wszystkie zrzeszenia nosić będą taką samą nazwę ogólną, a mianowicie: „Koło Naukowej Organizacji Pracy w ......" z dodaniem nazwy siedziby Koła.

b) Członkami Koła będą mogli być nie tylko inżynierowie i technicy, jakoteż wytwórcy i kierownicy przedsiębiorstw, lecz i osoby pracujące w innych dziedzinach.

c) Koła będą miały zupełną swobodę w dobieraniu swego składu osobowego, jak również — po porozumieniu z Komitetem Wykonawczym — w wyborze kierunku pracy, jaki uznano za najodpowiedniejszy dla warunków miejscowych.

d) W statucie mają być pomieszczone przepisy przez prawo wymagane, aby w ten sposób ułatwić rejestrowanie urzędowe.

e) Jako wzór przy opracowaniu ma służyć Statut Koła Śląskiego ze zmianami powyżej przytoczonemi oraz z rozszerzeniem zakresu działania poza przemysłem, jeszcze i na inne dziedziny.

5) Po wysłuchaniu referatu prof. K. Adamieckiego o akcji prowadzonej w celu założenia Instytutu Naukowej Organizacji Pracy, odczytaniu projektu prac tej instytucji i sposobu jej zorganizowania, wyrażono głębokie uznanie za dotychczasową współpracę pp.: K. Adamieckiemu, P. Drzewieckiemu, S. Łubieńskiemu, jako przedstawicielom Kół Naukowej Organizacji Pracy w Komitecie Organizacyjnym Instytutu i w myśl wniosku referenta, postanowiono upoważnić Komitet Wykonawczy do reprezentowania Zrzeszeń Naukowej Organizacji Pracy w pracach Komitetu Organizacyjnego tego Instytutu. Koła zobowiązały się udzielić w odpowiedniej chwili pomocy czynnej przy zbiórce funduszów na Instytut.

6) Przy omawianiu współdziałania Kół w głosowaniu imiennem 25 głosami przeciw 13 postanowiono, że Koła będą co miesiąc, najpóźniej 8-go każdego miesiąca przesyłać sprawozdania ze swej działalności Komitetowi Wykonawczemu.

7) Upoważniono Komitet Wykonawczy do wydawania biuletynu informacyjnego w miarę napływania materjałów.

8) Postanowiono, że każde Koło będzie płaciło po 20 groszy od członka miesięcznie na rzecz Komitetu Wykonawczego. Dla ułatwienia wpłat zalecono otwarcie przez Komitet Wykonawczy konta w P. K. O. Terminem, od którego liczyć się będzie składkę, będzie 1 grudnia 1924 r.

9) Ustalono wytyczne regulaminu dla osób zgłaszających chęć do objeżdżania Kół z odczytami. Ustalono, że prelegent ma prawo do zwrotu kosztów podróży 2 klasą kolei i należy mu się za czas zużyty po 10 zł. za każde całkowite 12 godzin i ponadto dalsze 10 zł. za każdy czasokres dłuższy od 6 godzin. Tematy odczytów mogą być dowolne, stosownie do porozumienia Koła z prelegentem.

10) Ustalono ogólne wytyczne współdziałania Kół nad różnemi kwestjami, wysuwając między innemi następujące sprawy:

a) Zbierania materjałów co do postępów w kwestji naukowej organizacji pracy w okręgu działania danego Koła.

b) Przedwstępne prace przygotowawcze do badania strat w przemyśle (projekty kwestjonarjuszy i t. p.).

c) Badanie oporów przy wprowadzaniu naukowej organizacji pracy.

d) Normalizację obliczania kosztów własnych.

11) Przekazano Komitetowi Wykonawczemu sprawę utworzenia w różnych ośrodkach kursów paro-tygodniowych z dziedziny nauki organizacji pracy.

12) Porozumiano się co do tłumaczeń dzieł z obcych języków, oraz polecono Komitetowi Wykonawczemu objęcie kierownictwa rozdziału tych prac.

Przyjęto z uznaniem deklarację Koła Wileńskiego, które podjęło się drukować nadsyłane tam rękopisy po cenach o 60 proc. niższych od normalnych cen wileńskich, po dostarczeniu potrzebnego papieru.

Przyjęto do wiadomości, że wszystkie referaty z Międzynarodowego Zjazdu w Pradze z lipca r. b. są już przetłomaczone na język polski i będą, w miarę posiadanych funduszów, wydawane. Sprawę tę przekazano Komitetowi Wykonawczemu.

13) Przyjęto do wiadomości, że Koło Warszawskie podjęło kroki celem uzyskania opinji kierowników amerykańskiej delegacji w Pradze co do kolejności dzieł, które należałoby tłumaczyć i że wpłynęły już pewne wnioski w tym względzie. Dalej, że katalog rozumowy dzieł dotyczących naukowego zarządzania jest już w opracowaniu.

Dalsze prowadzenie tej pracy przekazano Komitetowi Wykonawczemu, z dołączeniem dezyderatu, aby książki były wydawane, jeżeli to się okaże korzystnem i wskazanem, jako wydawnictwa własne, na podstawach współdzielczych, niezależnie od wydawców prywatnych. Poszczególne Koła zobowiązały się wszcząć akcję gromadzenia funduszów na wydawnictwa.

14) W sprawie wysyłania techników lub innych specjalistów do Ameryki na studja nad naukową organizacją pracy postanowiono utworzyć przy każdem Kole Komisje Kwalifikacyjne, złożone z 3-ch osób, wśród których przynajmniej jedna powinna znać stosunki amerykańskie. Kandydaci tych Komisyj będą kierowani do Komitetu Wykonawczego, który będzie ustalał ostateczne listy. Wyjazd pierwszej grupy przewidywany jest w maju 1925 roku.

15) Przyjęto do wiadomości, że rozpoczęto starania o wysyłanie studentów do szkół technicznych w Stanach Zjednoczonych. Są widoki na otrzymanie stypendjów.

Postanowiono, aby Komitet Wykonawczy zajął się sprowadzeniem programów tych szkół.

16) Postanowiono prowadzić starania o nakłonienie sfer zainteresowanych do sprowadzenia ekspertów organizatorów z Ameryki.

17) Przyjęto do wiadomości, że poczynione są starania o sprowadzanie literatury fachowej zagranicznej perjodycznej i dzieł naukowych.

W związku z tem 1) Koła Pomorskie (Gdańsk, Toruń, Bydgoszcz, Grudziądz), oraz 2) Zagłębia Węglowego (Katowice, Bielsko, Sosnowiec, Dąbrowa Górnicza), mają się w jak najkrótszym czasie porozumieć, które z nich dla danego okręgu będzie ośrodkiem literatury, dokąd przesyłane będą czasopisma.

Dalej ustalono, że Łódź będzie w tym względzie komunikować z 3) Warszawą, jako ośrodkiem. Ośrodkami dla innych okręgów będą: 4) Lwów, z którym komunikować się będzie Borysław, 5) Wilno, 6) Poznań, 7) Kraków.

18) Wysunięto projekt wycieczki do Stanów Zjednoczonych dla zwiedzenia tamtejszych zakładów.

19) W sprawach amerykańskich (punkty 14, 15, 16, 17, 18) Wydział Wykonawczy będzie wysyłał dalsze szczegółowe informacje pisemne do wszystkich kół.

20) Podano do wiadomości, że przyszły międzynarodowy kongres organizacji pracy ma się odbyć w 1926 r. łącznie z pierwszym międzynarodowym zjazdem inżynierów, w Philadelphii, gdzie zamierzona jest jednocześnie wielka wystawa. Czesi proponują zjazd w Pradze dla omówienia współpracy inżynierów słowiańskich.

21) Postanowiono wysłać od Zjazdu depeszę do prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Prezesa Ministrów, Akademji Masaryka w Pradze, Herberta Hoovera, Amerykańskiej Rady Inżynierskiej w Washingtonie i Taylor Society w New Yorku.

22) Przy rozważaniu sposobów propagowania nauki o organizacji pracy przekazano do rozważenia Komitetowi Wykonawczemu wnioski: a) objazdu po kraju w specjalnym wagonie laboratorjum psychotechnicznego. b) Sprowadzania filmów i przezroczy (firmy Laskera w Berlinie).

23) Z powodu braku fachowców zdecydowano nie zakładać narazie Biura Porad i postanowiono zastrzec przed powoływaniem na autorytet Kół przy poczynaniach w tym kierunku.

24) Postanowiono, aby Komitet Wykonawczy w imieniu Zjazdu wystąpił do władz państwowych z memorjałem o konieczności popierania przez władze działalności na polu naukowej organizacji pracy.

25) Przyjęto po dłuższej dyskusji, pozostawiając umotywowanie Komitetowi Wykonawczemu, wniosek prof. E. Hauswalda treści następującej:

„Zjazd Delegatów poleca Komitetowi Wykonawczemu. żeby zwrócił się w imieniu Zjazdu do Sejmu, aby zmienić w okresie sanacji przepis o 46-godzinnym tygodniu pracy w ten sposób, by zgodnie z umową międzynarodową wolno było w Polsce pracować przynajmniej 48 godzin tygodniowo, zamiast dotychczasowych 46 godzin, co powoduje utratę rocznie 13 dni produkcji o wartości 50 miljonów złotych."

Na tem posiedzenie po przeszło sześciogodzinnych obradach, o godzinie 21.35 zamknięto.

(—) Stanisław Borkowski	(—) Stanisław Łubieński
sekretarz	przewodniczący

Adres: Komitet Wykonawczy Zrzeszeń Naukowej Organizacji Pracy w Polsce, Czackiego 3. Warszawa,

NOWY KONSUL GENERALNY STANÓW ZJEDNOCZONYCH W WARSZAWIE



Theodore Jaeckel.

Urodzony w Nowym Yorku w 1882 r. Ukończył kolegjum Williams'a i wydział prawny w Nowym Yorku, poczem studjował w Harvardskim uniwersytecie i uzyskał stopnie naukowe B. A. oraz L. L. B. Zostawszy urzędnikiem Departamentu Spraw Zagranicznych kolejno zajmuje następujące stanowiska: konsula w Stavanger w Norwegji od 1914 do 1915; konsula w Szczecinie w Niemczech od 1915 do 1917; szefa wydziału wiz w Waszyngtonie od 1917 do 1919; konsula w Bordeaux we Francji od 1919 do 1923; konsula generalnego w Hamburgu od 1923 do grudnia 1924,

KRONIKA

Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce oraz Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego

KRONIKA GOSPODARCZA STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Nowi ambasadorowie w Waszyngtonie: Niemcy: Nowym ambasadorem Niemiec w Waszyngtonie będzie sekretarz stanu baron Ago v. Maltzan, jeśli prezydent Ebert wykona swoje obecne zamierzenie.

Japonja: Mianowanie Tsuneo Matsubaira, vice ministra spraw zagranicznych, jako ambasadora w Waszyngtonie, zostało ogłoszone formalnie.

Meksyk: Manuel Tellez, chargé d'affaires Meksyku w Waszyngtonie, ma otrzymać awans na stanowisko ambasadora.

Pretensje wojenne: Spodziewać się należy rozpoczęcia w najbliższej przyszłości postępowania prawnego dla ustalenia prywatnych pretensyj wojennych Ameryki przeciw Austrji i Węgrom; sędzia Edwin B. Parker, będący sędzią polubownym w Komisji mieszanej niemiecko-amerykańskiej, zostanie prawdopodobnie obrany komisarzem trójdzielnego układu roszczeń.

Procedura będzie prostszą, ma się rozumieć, niż przy rozpatrywaniu pretensyj do Niemiec, a to ze względu, że będzie jeden komisarz zamiast dwóch, jednego ze strony każdego rządu i jednego polubownego niemiecko-amerykańskiego.

Ogół pretensyj do Austrji i Węgier obliczono na $ 20.000.000, co wyrównywa w przybliżeniu ogółowi zasekwestrowanych własności austrjacko-węgierskich w Stanach Zjednoczonych.

Wewnętrzna sytuacja monetarna: Pożyczki banków akcyjnych, należących do grupy Banków Rezerwowych, wzrastają stopniowo w ciągu 4 tygodni, od 15 października do 12 listopada, a lokaty na zastaw podnoszą się ogółem powoli, aczkolwiek papiery ubezpieczeń rządowych powoli spadają. Pożyczki wykazały nową zwyżkę roczną $ 12.872.000.000, a pożyczki, dyskonta i zastawy wykazują zwyżkę dotychczas nie notowaną $ 18.432.000.000.

Ogólnej oceny wzrostu wszystkich banków kredytowych, jakie przetrwały, nie mamy zwłaszcza z ostatnich 6 miesięcy. 14 listopada 1923, suma wynosiła $ 16.419.000.000, tak, że powiększenie roczne było $ 2.012.000.000 czyli około 12½%, podczas gdy 4 czerwca 1924 ogólna kwota wynosiła $ 16.662.000.000 i powiększenie od tego czasu było $ 1.770.000.000. Od 12 listopada 1924 zwyżka w formie pożyczek wyniosła $ 942.607.000, a zwyżka w formie zastawów bankowych—według własnych obliczeń $ 1.070.200.000. Od 4 czerwca wzrost pożyczek wyniósł $ 930.000.000, wzrost zastawów — $ 840.000.000. Wzrost pożyczek handlowych od 14 listopada, 1923 do 12 listopada 1924 obliczono na $ 204.000.000, a od 4 czerwca 1924 do 12 listopada tegoż roku — $ 381.000.000, gdyż między listopadem przeszłego roku, a listopadem tego roku nastąpiła zniżka. Te dane odnoszą się do tych banków akcyjnych większych miast, których obrót stanowi 65% obrotów wszystkich banków akcyjnych.

Narodowy Bank miejski w Nowym Yorku.*) Dyrektorzy tego banku zaproponowali powiększenie jego kapitału zakładowego o $ 20.000.000. Ta akcja prowadzi ku temu, aby Narodowy Bank miejski stał się pierwszą instytucją bankową w Ameryce. Stanie się to w chwili, gdy osiągnie on cyfrę $ 100.000.000 dla kapitału zakładowego. W obecnej chwili fundusze banku wynoszą $ 40.000.000 kapitału zakładowego i $ 45.000.000 rezerwowego, i oprócz tego niepodzielonych zysków $ 9.824.219. Nowy kapitał będzie użyty na powiększenie kapitału zakładowego do $ 50.000.000 i rezerwowego do $ 50.000.000, reszta $ 5.000.000 do powiększenia kapitału i przewyżki National City Corporation o $ 2.500.000 każdego, doprowadzenie jednego i drugiego do $ 12.500.000, a całego kapitału Nation. City Corporation do $ 25.000.000.

To projektowane powiększenie kapitału czyni się z celem przygotowania go do spodziewanego w przyszłości rozszerzenia czynności bankowych i do tego, mógł sprostać przypuszczalnym zapotrzebowaniom zewnętrznego i wewnętrznego handlu. Przy tej nowej wysokości kapitału, stosunek kapitałów i rezerw do depozytów, wynoszących $ 1.000.000.000, będzie w stosunku 1 do 10. W ostatniem sprawozdaniu o stanie depozytów, ogłoszonem 10 października, bank wykazał, że suma tychże wynosi $ 830.000.000, a więc stoi już niedaleko sumy $ 1.000.000.000.

Długi wojenne: Anglja. 15 grudnia. Skarb ogłosił dzisiaj potwierdzenie odbioru sumy $ 91.949.000, jako wpłatę na rzecz skonsolidowanych długów W. Brytanji, Polski, Węgier i Litwy.

Czwarta, półroczna spłata procentów i druga roczna spłata częściowa zobowiązań W. Brytanji została uiszczona w formie obligów skarbowych. Ogólna suma spłat doszła do $ 91.655.000, z czego $ 68.655.000 tytułem procentów, a $ 23.000.000 na spłatę kapitału i była wydana w obligacjach Stanów Zjednoczonych, które zostały przyjęte al pari.

Finlandja. Czwarta półroczna spłata procentów i druga roczna częściowa spłata kapitału. Ogólna suma spłat doszła do $ 179.625, z czego $ 134.325 tytułem procentów a $ 45.000 na kapitał. Spłata została dokonana w gotówce.

Węgry. Druga półroczna spłata procentów, z wyjątkiem tej części, która została skonsolidowana i pierwsza roczna spłata częściowa kapitału zadłużenia. Ogólna suma spłat doszła do $ 24.433, z czego $ 14.833 tytułem procentów, a $ 9.500 na kapitał. Reszta procentów będzie skonsolidowana stosownie do dokonanej umowy. Spłata została dokonana w gotówce.

Litwa. Pierwsza półroczna spłata procentów. Ogólna suma spłat doszła do $ 90.450, którą dokonano w gotówce.

Belgja. Według informacyj kół bankowych, J. P. Morgan et Co i Guaranty Company, stojący na czele syndykatu bankowego, proponują wypuszczenie 6% pożyczki w sumie $ 50.000.000 Królestwa Belgijskiego na lat 30 po kursie 87½. Ta emisja byłaby bezpośrednią obligacją Królestwa Belgijskiego. Sumy otrzymane z pożyczek będą użyte na zmniejszenie bieżącego długu i dla ustalenia finansów rządowych. Kapitał przeznaczony do umorzenia długów, wynoszący jedną-trzydziestą pożyczki, będzie co miesiąc zużytkowany na kupno obligacyj. Po tej pożyczce nastąpi prawdopodobnie druga na tę samą sumę w pierwszych miesiącach r. 1925, ponieważ rząd jest upoważniony do pożyczania $ 100.000.000. Możliwem jest także, że z początkiem 1925 r. zostanie wypuszczona pożyczka $ 25.000.000 przez Towarzystwo Kolejowe Belgijskiego Kongo, gwarantowana przez rząd belgijski.

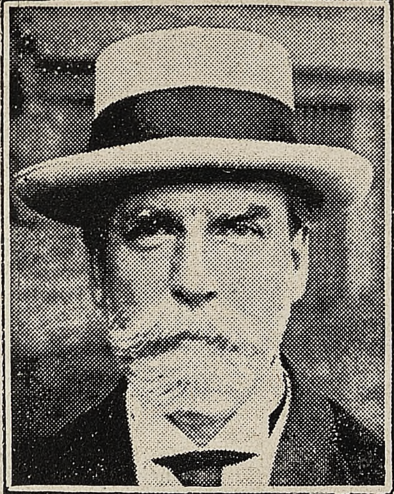
Francja. Ofiarowano na tutejszym rynku na $ 4.000.000 International Power Securities Co. 6½% obligacje w złocie, serji „B", płatne 1 grudnia 1954. Te obligacje są ubezpieczone na $ 4.500.000 6½% obligacjach zewnętrznych w złocie emitowanych przez Union d'Electricite, Paris, Francja. Ta oferta jest prawdopodobnie pierwszem amerykańskiem uczestniczeniem na terenie francuskich przedsiębiorstw użyteczności publicznej.

---

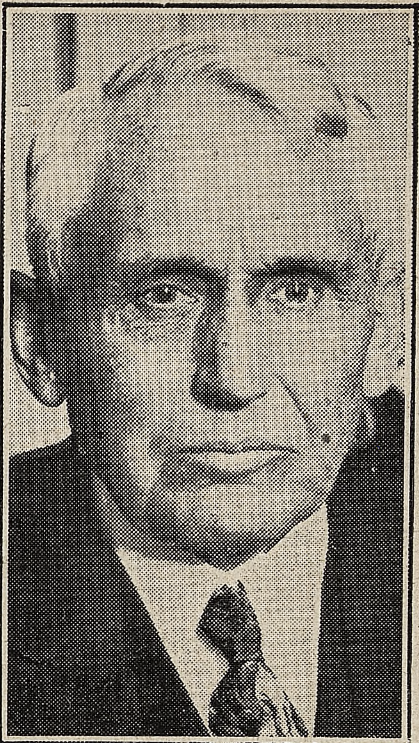
*) National City Bank of New York



A. B. Houghton
(wymawiaj: H a u t o n)
Obecny ambasador Stanów Zjednoczonych w Berlinie, który został mianowany ambasadorem w Londynie, na miejsce ustępującego ze stanowiska p. Kellogg'a.



Charles Evans Hughes
Sekretarz Stanu czyli Minister Spraw Zagranicznych, ustępujący z gabinetu Prezydenta Coolidge'a. Ustępuje, jak sam mówi, celem zajęcia się prywatną praktyką adwokacką, aby podreperować swe sprawy majątkowe. Stanowisko ministra pochłonęło wszystkie jego oszczędności. Z chwilą ustąpienia Hughes'a, dn. 4 marca b. r., jednego z najpotężniejszych mężów stanu Ameryki, kierownictwo Ministerstwem Spraw Zagranicznych będzie spoczywało w rękach triumwiratu, złożonego z Prezydenta Coolidge'a, nowego Ministra p. M. Kellog'a oraz senatora Borah.



Frank B. Kellogg
(wymawiaj: K e l l o g)
Obecny ambasador Stanów Zjednoczonych w Londynie, który został mianowany Ministrem Spraw Zagranicznych na miejsce ustępującego pana Hughes'a.

Niemcy. J. P. Morgan et Co. przygotowali ładunek \$ 3.000.000 w złotych monetach dla Niemiec. Wraz z tym ładunkiem ogólna suma, którą firma Morgan ratowała od czasu, gdy pożyczka Niemiecka została wypuszczona w tym kraju, dochodzi do \$ 10.000.000.

6 grudnia Morgan et Co. wysłała także \$ 5.000.000 w złocie dla Niemiec. To stanowi pierwszy ładunek sum, otrzymanych ze sprzedaży obligacyj na \$ 100.000.000, umieszczonych w tym kraju przez firmę Morgan. Ładunki będą wysyłane dalej w stosunku około \$ 5.000.000 na tydzień, dopóki połowa sum nie będzie przesłana.

Grecja. 17 grudnia. Speyer et Co. wypuścili na \$ 11.000.000 7% obligacyj na lat 40 rządu greckiego, po kursie 88.

Polska. 12 grudnia. W dzisiejszych porannych pismach pojawiło się ogłoszenie o pożyczce miejskiej w imieniu Agencji Wschodniej dla miasta Mysłowice. Ustanawia ona: „Miasto Mysłowice, w Polsce jest zainteresowane czynnie w rozwoju lokat przemysłowych polskiego Górnego Śląska i pragnie rozszerzyć ich wewnętrzny handel bydłem do znacznych rozmiarów. Ta czynność zabierze trzy lata. Potrzebna jest na to pożyczka \$ 800.000, która łącznie z amortyzacją będzie płacić 8%. Zabezpieczenie: duże nowoczesne rzeźnie, dobrze urządzone zakłady gazowe, różne budynki publiczne, jak: Liceum, sale gimnastyczne, domy mieszkalne etc. i nowy, centralny rynek.

HANDEL I PRZEMYSŁ.

Wykaz cen handlu hurtowego. 15 grudnia. Ceny handlu hurtowego towarów były według miesięcznego wykazu Biura Statystyki pracy — przeciętnie wyższe w listopadzie, niż w poprzednim miesiącu. Wykaz liczbowy biura, zawierający 404 towarów czyli pozycyj cen, wzrósł do 152.7 za listopad, w porównaniu do 151.9 za październik, co stanowi zwyżkę 1/2%.

Towary spożywcze wykazały 1 1/2% podwyżki, co było wynikiem zwyżki na maśle, kawie, jajach, mące i olejach. Towary bławatne, metale, chemikalja i lekarstwa wykazały również przeszło 1% zwyżki cen w porównaniu z październikiem, w którym takie towary jak pasza dla bydła, skóra, miazga drzewna i papier pakowy, juta, guma, smary stały o 2 1/2% wyżej. Mniejsze zwyżki wykazują produkty wiejskie, materjały budowlane i opałowe i sprzęty domowego użytku.

Handel zagraniczny. 15 grudnia. Roczny eksport handlowy przewyższy o pół biljona dolarów sumę ogólną r. 1923, ale import handlowy zmniejszył się blisko o ćwierć biljona. Eksport za rok, do końca listopada, wyniósł w walucie \$ 4.145.726.294, podczas gdy w tym samym okresie w przeszłym roku wynosił \$ 3.740.827.561.

Ogólny import wynosi 3.276.672.967, podczas gdy przeszłoroczny wyniósł \$ 3.503.761.197.

Import złota w tym roku przewyższył sumę tegoż w roku przeszłym i za 11 miesięcy wynosi \$ 309.434.074, podczas gdy w tym samym okresie czasu w r. 1923 wyniósł \$ 290.074.586. Eksport złota będzie mniejszy; sumy za ten rok i za przeszły do końca listopada wynoszą \$ 21.973.660 i 27.931.888.

Eksport srebra przewyższył o wiele sumę roku przeszłego, wyniósł bowiem \$ 98.611.403 za 11 miesięcy w porównaniu z sumą przeszłego roku — \$ 62.947.706. Import srebra za 11 miesięcy wyniósł w sumie \$ 68.080.410, w porównaniu z przeszłoroczną sumą \$ 68.281.229.

Bogactwo Stanów Zjednoczonych w r. 1922. Najważniejsze artykuły, stanowiące bogactwo Stanów Zjednoczonych r. 1922, równające się sumie $ 320.803.000.000, oficjalnie podanej przez Biuro ocen, jako „szacunkowa wartość bogactwa narodowego"—są: realności i meljoracje=$ 176.414.000.000, ubrania, meble i innego rodzaju ruchomości=$ 39.816.000.000, wyroby przemysłu = $ 28.423.000.000. Koleje żelazne i ich urządzenia = $ 19.951.000.000; narzędzia i środki wytwórcze = $ 15.783.000.000, żywy inwentarz = $ 5.807.000.000 produkty rolne=$ 5.466.000.000, tramwaje=$ 4.877.000.000 i siecie telegraficzne i telefoniczne = $ 1.949.000.000.

Realności i meljoracje stanowią przeto 54.9% ogólnej sumy; ubrania, meble i innego rodzaju własność — 12.4%, a koleje i urządzenia kolejowe — 6.2%.

Bogactwo Stanów Zjednoczonych, według danych podatkowych, wzrosło z 30 biljonów dolarów w r. 1870 na 321 biljonów w r. 1922.

RUCH PRZEMYSŁOWY.

Produkcja surowca żelaza. Produkcja surowca żelaza w listopadzie dosięgła 2.509.673 tonn w porównaniu z 2.477.127 ton w październiku. Produkcja stali wyniosła 3.107.226 tonn przez listopad w zestawieniu z 3.134.321 w listopadzie 1923 r.

Obstalunki żelaza. Niewykonane obstalunki U. S. Steel Corporation w końcu listopada wynosiły 4.031.969 tonn w stosunku do 4.369.000 tonn z 30 listopada 1923.

Ładunki lokomotyw. Ładunków lokomotyw głównych fabryk było w listopadzie 133, podczas gdy w październiku — 96, a 30 listopada 1923 — 299. Niewykonane obstalunki z 30 listopada wynoszą 397 lokomotyw, a rok temu 691.

Ruch budowlany. Wydatki na cele budowlane, według orzeczeń z listopada, doszły w 27 półn. wschod. Stanach do $ 341.344.000, gdy w listopadzie 1923 wyniosły $ 289.263.000.

Bankructwa. Interesów handlowych zbankrutowało w listopadzie 1.653, gdy w przeszłym roku — 1.704.

Wartość zbiorów 1924 r. 16 grudnia. Wartość zbiorów krajowych w r. 1924 ocenił Departament rolny na $ 9.479.902.000 w ostatniem sprawozdaniu rządowem o zbiorach za ten rok. Wartość zbiorów za 1924 r. była o $ 753.000.000 większa niż zeszłoroczna, a o $ 1.663.000.000 większa niż cała wartość w r. 1922. Z ogólnej sumy 1924 r. $ 6.495.000.000 przypadło na poczet czterech głównych przedmiotów: kukurydzy, pszenicy, siana i bawełny.

Sprawozdanie ocenia wartość 49 zbiorów, z których 26 wykazuje spadek w wartości w porównaniu z r. 1923, a 23 wykazuje wzrost wartości w porównaniu z przeszłym rokiem. Z pomiędzy czterech wielkich zbiorów tylko bawełna, której wartość spadła na $ 85.000.000, przyniosła stratę za rok 1924 w porównaniu z 1923, podczas gdy wprost wartości całej pszenicy określa się na 400.000.000.

Pszenica. Wartość zimowej pszenicy przedstawiała w r. 1924 — $ 799.000.000, a w r. 1923 — $ 543.000.000; w roku 1924 — pod uprawą było 36.000.000 akrów, w przeszłym roku 39.000.000 akrów; produkcja tego roku = 590.000.000 buszlów (półkorcy), podczas gdy przeszłoroczne=572.000.000. Wiosenna pszenica r. 1924 była oceniona na $ 357.000.000 gdy w roku 1923 na $ 192.000.000; obsiano 18.000.000 akrów, a w r. 1923 — 20.000.000 akrów; produkcja wyniosła 282.000.000 buszli, a w r. 1923 — 225.000.000 buszli.

Bawełna. Zbiór bawełny z r. 1924 był oceniony na $ 1.487.000.000, a w r. 1923 — $ 1.571.000.099; ilość akrów tego roku = 40.000.000, a w przeszłym roku — 37.000..000 produkcję oceniono na 13.153.000 bel, w porównaniu z 10.000.000 bel przeszłego roku.

Nasienie lniane. Nasienie lniane wykazuje znaczny wzrost w produkcji i w wartości. Wartość zbioru siemienia lnianego z r. 1924 określono na $ 68.000.000, podczas gdy w r. 1923 wynosiła ona $ 36.000.000, pod uprawą było — 3.000.000 akrów przeciw 2.000.000; produkcja 3.000.000 buszli w r. 1924 przeciw 17.000.000 buszli w r. 1923.

Przemysł tkacki. 14 grudnia. Bawełna zużyta w ciągu czterech miesięcy do 30 listopada wynosi 1.817.532 bel, podczas gdy w r. 1923 w tym samym okresie czasu wyniosła 2.054.110 bel, według sprawozdania Biura ocen.

W zakładach tkackich było na dz. 30 listopada 1.046.612 bel bawełny, a w składach publicznych — 4.914.219 bel, w porównaniu z 1.444.474 bel i 3.769.204 bel w r. 1923 w tym samym okresie.

Wrzecion czynnych przez listopad było 31.789.876, a w tym czasie w r. 1923 — 34.123.732.

Rosja czyni znaczne zakupy. Biuro rosyjskiego państwowego eksportu i importu czyni w dalszym ciągu znaczne zakupy maszyn rolniczych i innych, za pośrednictwem swej Ajencji Amerykańskiej: Amtorg Trading Corporation. Między 24 a 27 grudnia 2.013 traktorów z pługami i częściami zapasowemi, ogólnej wartości przeszło $ 1.500.000, wysłano z Nowego Yorku. Pierwszy ładunek 600 traktorów przeznaczonych do Odesy, na Ukrainę, wyruszył na statku Corson. Drugi ładunek 1.333 traktory wyruszył 27 grudnia. Transporty te przeznaczone są do portu Noworosyjsk. Dodatkowy ładunek 180 traktorów wyruszył z Nowego Yorku z początkiem stycznia.

Dwa pełne ładunki okrętowe mąki kanadyjskiej, wynoszące łącznie 120.000 beczek, sprzedano d. 14 grudnia dla natychmiastowego wysłania do Rosji. Jeden ładunek skierowano do portu Batum na morzu Czarnem, drugi do Piotrogrodu.

Projekt nowej 2.000.000.000 korporacji. Senator Bruce z Maryland ogłosił d. 5 grudnia w Senacie bill, zezwalający na utworzenie korporacji dla handlu wszechświatowego. Kapitał zakładowy tej korporacji będzie wynosił $ 2.000.000.000. Celem jest stworzenie przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, obsługującego gospodarstwo narodowe na „szerokiej podstawie światowej", według wyrażenia billu. Bill zastrzega utworzenie stref zagranicznego handlu w portach Stanów Zjednoczonych, gdzieby przyjmowano surowce z zagranicy i przerabiano je w fabrykach amerykańskich na eksport, nie płacąc podatku.

Czynności korporacji rozciągałyby się na tereny naftowe i plantacje surowej gumy w państwach obcych, na tworzenie ajencyj sprzedaży i kupna w obcych miastach i finansowaniu zagranicznego handlu.

CENTRALNY PATRONAT ZWIĄZKU POLAKÓW Z AMERYKI W RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ — wysłał do p. S. Osady list następującej treści:

Warszawa, dnia 9 grudnia 1924 r.

Do Pana Stanisława Osady 4323 Henderson Street Chicago Ill.

Otrzymaliśmy Pańskie listy i raporty z dat następujących: 11.VI, 11.IX, 2.X, 8.X i 20.X oraz załączone do nich wycinki z gazet. Z materjałów tych widać jasno, że pomimo Pańskiej pracy i starań, idea Patronatu nie doznała przychylnego przyjęcia przez organizacje Wychodzcze i że chwila obecna jest najzupełniej nieodpowiednia do dalszych poczynań w tym kierunku.

Wobec tego, przesyłamy Panu wyrazy szczerego uznania dla Jego pracy i wytrwałości, oraz podziękowanie za dotychczasową działalność dla Patronatu, lecz jednocześnie zawieszamy całą akcję Patronacką na gruncie Amerykańskim aż do nadejścia właściwej chwili.

Stosownie do powyższego prosimy Pana o wstrzymanie wszelkich Swych wystąpień w imieniu Patronatu, oraz o natychmiastowe zdeponowanie Adresu w Poselstwie Polskiem w Waszyngtonie, które otrzyma odpowiednią Instrukcję od Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Z poważaniem Tymczasowe Prezydjum —

(podpisy).

ANKIETA W SPRAWIE PRZYJĘCIA KALENDARZA WIECZNEGO.

Liga Narodów wyłoniła specjalną komisję dla reformy kalendarza. W sprawie tej Międzynarodowa Izba Handlowa, której Komitetem Polskim jest Centralny Związek Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów, rozesłała do 36 krajów w niej reprezentowanych poniższą ankietę, w celu najlepszego uzgodnienia poglądów na tak ważną reformę:

1. Czy jest pożądane i z jakich powodów przesunięcie początku roku z 1-go stycznia na 22 grudnia dla uzgodnienia roku cywilnego z rokiem astronomicznym zgodnie z rezolucją Kongresu Międzynarodowej Unji Astronomicznej, odbytego w Rzymie w 1922 r.

2. Która z poniższych propozycyj dążących do ustalenia ilości dni byłaby lepszą i dla jakich powodów:

a) przyjęcia jednego dnia „białego" w latach zwykłych i dwóch dni „białych" w latach przestępnych, uważając za „biały" taki dzień w roku, który nie wchodzi do żadnego tygodnia, nie jest więc ani poniedziałkiem, ani wtorkiem, ani niedzielą etc.

b) wprowadzenie perjodycznego tygodnia przestępnego mniej więcej co każde 6 lat, co pozwoli oznaczyć okrągłą ilość tygodni w roku normalnym, któryby miał 364 dni.

3. O ile kalendarz wieczny miałby być ustalony, na ile miesięcy powinien być podzielony rok i dla jakich powodów:

a) czy na 12 miesięcy, co najmniej oddaliłoby nas od istniejącego stanu rzeczy, a jednocześnie pozwalało na ujednostajnienie przeciągu czasu poszczególnych kwartałów i półroczy.

b) czy na 13 miesięcy, co pozwoliłoby przyjąć miesiąc za 28 dni, równy okrągłym czterem tygodniom.

4. Gdzie należałoby umieścić w roku 1 dzień „biały" w każdym roku i pozatem 1 dzień „biały" w roku przestępnym i z jakich powodów?

Czy na początku roku, czy na końcu, czy w środku, a dzień „biały" w roku przestępnym po dniu „białym" normalnym na końcu roku lub też w środku roku?

5. Jakim dniem należałoby zakończyć rok?

6. Jeżeli obecny kalendarz miałby być utrzymany, to jaką zmianę i dla jakich korzyści możnaby wprowadzić w podziale roku na miesiące?

7. Czy pożądanem jest przyjęcie stałego terminu świąt Wielkiej Nocy, a jeśli tak, to jaka data lub epoka byłaby najodpowiedniejszą dla obchodzenia tych świąt.

Izba, rozpatrzywszy tę sprawę ze stanowiska potrzeb gospodarczych kraju, wydała następującą opinję:

OPINJA.

1. Ponieważ kalendarz cywilny jest ułożony z intencją, aby rok cywilny odpowiadał astronomicznemu, teraz zaś się okazuje, że pierwszy odstał od drugiego o całe 9 dni, uważalibyśmy zaproponowane przesunięcie początku roku z pierwszego stycznia na 22 grudnia za pożądane.

2. W celu ustalenia t. zw. „wiecznego" kalendarza, t. j. takiego, któryby pozostawał niezmienionym przez wszystkie lata, uważalibyśmy za wskazane zaprowadzenie jednego „białego" dnia w latach zwykłych i dwóch „białych" dni w latach przestępnych, t. j. dni, któreby nie wchodziły do żadnego tygodnia, ani miesiąca. Wprowadzenie perjodycznego tygodnia przestępnego co 6 lat nie byłoby wskazanem, ponieważ spowodowałoby w ciągu pierwszych 5-ciu lat każdego roku rozejście się cywilnego roku z astronomicznym.

3. Uważalibyśmy za wskazane zachowanie podziału roku na 12 miesięcy, co ułatwia podział roku na półrocza i kwartały, natomiast podział roku na 13 miesięcy uważalibyśmy za zbyt odbiegający od obecnego stanu rzeczy dla błahej stosunkowo korzyści umieszczenia równych 4 tygodni w każdym miesiącu.

4. W latach zwykłych dzień „biały" mógłby być umieszczony w połowie roku, t. j. po skończonym czerwcu, a w latach przestępnych drugi dzień „biały" w końcu roku, t. j. po skończonym grudniu.

5. W ten sposób rok byłby zakończony w zwykłych latach ostatnim dniem grudnia, a w przestępnych „białym" dniem.

6. Uważalibyśmy za wskazane podzielić rok, składający się z 364 dni, nie licząc „białych" dni, na 8 miesięcy po 30 i na 4 miesiące po 31 dni, umieszczając te ostatnie w końcu każdego kwartału.

7. O ile zaprowadzenie „wiecznego" kalendarza jest pożądanem, jest również logicznem dążyć do przyjęcia stałego terminu dla świąt Wielkiejnocy, dla których najodpowiedniejszym czasem obchodzenia uważalibyśmy połowę kwietnia.

Oferty i zapytania

Przy zgłoszeniach należy podać numer odnośnej oferty.

2980/24 Firma wyrabiająca metalowe półki i urządzenia bibljoteczne (w stanie rozłożonym) pragnie oddać przedstawicielstwo na Polskę.

2648/24. Poważna firma w stanie Massachusets produkująca: buty gumowe, kalosze, obuwie płócienne, obcasy gumowe i płytki do aparatów radjotelegraficznych, pragnie wejść w kontakt z firmami polskiemi, zajmującemi się handlem tego rodzaju artykułów.

2395/24 Fabryka opon i kiszek samochodowych w stanie Wisconsin pragnie nawiązać stosunki z firmami w tej branży.

2456/24 Wytwórnia obrabiarek metalowych, specjalizująca się w fabrykacji tokarek rewolwerowych, oferuje swe wyroby.

1829/24 Agent importowo - eksportowy w Chicago pragnie wejść w kontakt z firmami polskiemi w celu objęcia przedstawicielstwa tychże na Amerykę.

2321/24 Firma Nowojorska, wyrabiająca budynki stalowe (w stanie rozłożonym), poszukuje odbiorców.

1864/24 Nowojorskie przedsiębiorstwo zabawek mechanicznych poszukuje odbiorców na swe fabrykaty.

1492/24 Poważny Dom Towarowy pragnie nawiązać łączność z polskimi eksporterami drewnianych przyborów kuchennych, oraz małych artykułów metalowych.

4493/25 Przedsiębiorstwo wyrabiające piorunochrony chce nawiązać stosunki z polskiemi firmami.

4477/25 Oddział paryski amerykańskiej wytwórni korb, świdrów i narzędzi precyzyjnych poszukuje odbiorców.

4290/25 Firma nowojorska w dziale pończoszniczym odda przedstawicielstwo solidnej firmie z wyrobioną klijentelą.

4530/25 Firma nowojorska handlująca samochodami ciężarowemi, traktorami, lokomotywami spalinowemi i wagonami, samochodami osobowemi, generatorami, magnetami, przyborami samochodowemi i t. p. pragnie nawiązać łączność z firmami polskiemi.

4527/25 Przedsiębiorstwo nowojorskie poszukuje wielkiej ilości drutu wolframowego, drutu z powłoką miedzi borowej, oraz miękkiego drutu molibdenowego.

Książki o Ameryce

Chcieliśmy podać Szanownym Czytelnikom wykaz dzieł, dotyczących Ameryki, naturalnie po polsku i takie, które można dostać. Zaczęliśmy szperać i, aż wstyd się przyznać, znaleźliśmy zaledwie 26, w tem kilka wydanych za Oceanem, i kilka broszurek. Wymieniamy je poniżej, prosząc jednocześnie Czytelników o dopełnienia, gdyby je znali, i o zapytania, a najchętniej będziemy udzielali informacyj.

Ponieważ jednak nasza literatura nie wystarcza do poznania Ameryki, będziemy podawali także dzieła obce, francuskie, niemieckie i angielskie, w miarę ich sprowadzania przez księgarnię Arcta w Warszawie. Zagranica teraz ogromnie się interesuje Ameryką. Wychodzi masę książek jej poświęconych, ze wszystkich dziedzin, czasopisma są przepełnione wiadomościami zarówno o Północnej, jak i Południowej. Widocznie Ameryka jest hasłem chwili obecnej.

KSIĄŻKI POLSKIE:

Arct St. Odbudowa Polski przy pomocy amerykańskiej, 1920. Jako rękopis.

Baszczyński K. Wrażenia z Ameryki. Wyd. II z dodatkiem szkicu historji Stanów Zjednoczonych, 1922, str. 144 zł. 1,80

Barszczewski S. Polacy w Ameryce, 1902, str. 89 „ 0,25

Bryła S. Ameryka, 1921, str. 247 „ 3,—

Chrostowski T. Parana. Wspomnienia z podróży w r. 1914, 1922, str. 239 zł. 2,70

Dębicki Z. Za Atlantykiem. Wrażenia z pobytu w Stanach Zjednoczonych, 1921, str. 246 zł. 1,70

Dillon E. J. Współczesny Meksyk, 1922, str. 43 „ 0,40

Dyniewicz Wł. Historja Stanów Zjednoczonych. Chicago, 1886, str. 474

Englich J. Kartki z podróży do Ameryki, 1923, str. 133 zł. 3,50

Ford H. Moje życie i dzieło. Z portr. autora, 1924, str. 259 zł. 8,—

Gregor H. H. M. Amerykanin o Polsce i Ameryce. Wrażenia porównawcze, 1923, str. 156 zł. 2.50

Hausner A. Emigracja Polska w Ameryce w czasie obecnej wojny, 1916, str. 86 zł. 0,60

Kruszka. Dzieje Wychodztwa, Milwaukee, 1905, 5 tomów

Młynarski F. Ameryka a Wojna, 1917, str. 32 zł. 0,20

Niklewicz K. Meksyk za panowania Maksymiljana I. Wspomnienia z Meksyku, t. I, 1901, str. 239 zł. 3,—

Pankiewicz M. Z Parany i o Paranie, 1916, str. 80 zł. 0,20

Pecorini Alberto. Historja Ameryki. Po polsku i po angielsku równoległe teksty, 1921, w opr. zł. 9.—

Roosevelt T. Amerykanizm. Tłum. J. Mirski, 1924, str. 88 zł. 0,90

Sawicki Józef. Treściwa Historja Stanów Zjednoczonych. Toledo, 1910, str. 472

Siemiradzki J. Indjanie Południowej Ameryki, 1924, str. 32 zł. —,60

Szawleski M. Wychodztwo Polskie w Stanach Zjednoczonych, 1924, str. 472 zł. 20,—

Wilson Woodrow. Kształtowanie losów świata. Pamiętniki i dokumenty. Wydał R. St. Backer, Z portr. autora, 1924, str. 382 zł. 10,50

Włodek J. Argentyna i Emigracja, 1923, str. 512 „ 12,50
dla prenumeratorów „Ameryki-Polski" „ 8,—

Włodek L. Polacy w Paranie, 1910, str. 47 „ 0,36

— Polskie kolonje w Paranie, 1911. Z mapą Parany oraz szkicem Polacy w San Paulo, str. 148 zł. 1,20

Zachariewicz Juljan. Adam Mickiewicz, Polska i Stany Zjednoczone, 1924, str. 184 zł. 6,—

KSIĄŻKI OBCE.

(Dzieła, dotyczące zagadnień organizacji pracy w Ameryce, obacz poprzedni zeszyt naszego pisma. Tamże podany sposób obliczenia cen).

S. A. Bratter. Amerika von Washington bis Wilson Mit einer Tafel fr. szw. 1,50

Carl Brinkmann. Geschichte der Vereinigten Staaten von Amerika, Leipzig-Berlin, 1924 g. m. 3,30

Victor Cambon. Etats-Unis France. Comment un peuple grandit, 26 fotografij na oddzielnych kartkach, Paryż fr. franc. 10,40

Boni De Castellane. Comment J'ai Découvert L'Amérique, Mémoires, neuvième édition fr. franc. 12,80

Edward H. Cotton, foreword: Corinne Roosevelt Robinson. The Ideals of Theodore Roosevelt. Z portretem Roosevelt'a dol. 3,—

Emil Deckert. Nordamerika. Bierte Auflage gänzlich neu bearbeitet von Prof. Dr. Fritz Machatschek. Podstawowe dzieło o Ameryce Północnej. Z 33 rycinami. Ozdobnie oprawna książka fr. szw. 20,80

Emil Droonberg. Das Gold der Nebelberge. Ciekawy romans życia w Kanadzie g. m. 5,75

Hans Fändrich. Land und Leute in Südamerika. Langenscheidts Handbücher für Auslandkunde g. m. 4,30

J. Gontard. A travers la Californie. 20 fotografij na oddzielnych kartkach. Ładna i ciekawa książka fr. franc. 10,40

F. H. UP. De Graff. Bei Den Kopfjägern Des Amazonas. Mit 31 Abbildungen und einer Karte. Ciekawe opowiadanie podróżnicze g. m. 16,50

J. Greber. L'architecture aux Etats Unis, Paris, 1920, 2 tomy. Wytworne wyd. bog. ilustr.

Werner Hegemann. Amerikanische Baukunst und Städtebau, Berlin, 1924. Wytw. wyd. około 500 ilustr., str. 140

Indianer Märchen aus Südamerika. Z licznemi rycinami oryginalnemi indyjskiemi g. m. 4,90

Indianer Märchen aus Nordamerika. Z licznemi rycinami oryginalnemi indyjskiemi g. m. 4,90

Georges Lafond. L'Amérique du Sud. Colombie, Equateur, Perou, Bolivie, Chili. Niezwykle ciekawy opis Ameryki Południowej fr. franc. 10,40

David Saville Muzzey. Histoire des Etats-Unis d'Amérique traduction de A. de Lapradelle

Roger Nielsen. Presseattaché in Washington, Amerika. In Bildern und Text. Mit Einem Vorwort von Graf J. H. v. Bernstorff. Piękny album, około 1000 rycin g. m. 20,80

Alberto Pecorini. The Story of America. Historja Ameryki po polsku i po angielsku zł. 9,—

Julio Quinones. Au coeur de l'Amérique vierge. zł. 2.80

Colin Ross. Das Meer Der Entscheidungen Beiderfeits des Pazifik. Letpzig: F. A. Brockhaus mit 97 Abbildungen und 7 Kartenskizzen, 1925 g. m. 9,40

— Südamerika die Aufsteigende Welt. Leipzig F. A. Brockhaus mit 54 Abbildungen, 1923

Herman George Scheffauer. Das Land Gottes. Das Gesicht des neuen Amerika g. m. 5,90

Mar Schmidt — Professor an der Universität Berlin. Unter Indianern Südamericas. Wege Zum Wissen, bez rycin fr. szw. 2,—

KSIĄŻKI NIEMIECKIE:

z dziedziny organizacji pracy.

Drury-Witte. Wissenschaftliche Betriebsführung. Eine geschichtliche und kritische Würdigung des Taylor-Systems. Berechtigte übertragung nach Horace Bookwalter Drury, Ph. D., von I. M. Witte. str. 160 zł. 6,65

Dr. Rudolf Lämmel. Intelligenzprüfung und Psychologische Berufsberatung. Wyd. II. str. 193 zł. 6,45

Dr. Fr. Baumgarten. Arbeitswissenschaft und Psychotechnik in Russland, str. 147 zł. 5,55

Dr. Georg Garbotz. Vereinheitlichung in der Industrie. Die geschichtliche Entwicklung, die bisherigen Ergebnisse, die technischen und wirtschaftlichen Grundlagen. str. 218 zł. 4,75

F. W. Taylor. Die Grundsätze wissenschaftlicher Betriebsführug (The Principles of Scientific Management). Deutsche autorisierte Ausgabe von Dr. R. Roesler, str. 156 zł. 6,40

Ernst & Jeannette Lüdecke. Gesamt-Organisation des modernen Detailgeschäftes, str. 339 zł. 13,70

Czasopisma i książki

Wyszczególniamy tylko główniejsze artykuły z treści nadsyłanych do Redakcji czasopism.

„Przemysł, Rzemiosło, Sztuka“ — zeszyty 2, 3 i 4 rocznika IV. Czasopismo, poświęcone wytwórczości przemysłowej i rękodzielniczej oraz sztuce plastycznej. Organ M. Muzeum Przemysłowego w Krakowie.

Najwyższe uznanie należy się Miejskiemu Muzeum Przemysłowemu w Krakowie oraz Redaktorowi K. Witkiewiczowi za pracę, której nie szczędzą na wydawnictwo powyższe. Jest ono par excellence „wycinanką“ z różnobarwnego arkusza naszej kultury narodowej. Daje nam syntezę czarnej pracy i wzniosłej sztuki, jest zbliżeniem się do najogólniejszego i najszczytniejszego ideału ludzkości. Nic to, że pokazuje nam bezbrzeżnie naiwny, elementarny prymitywizm wytwórczości ludu naszego — w porównaniu ze spółczesnym industrjalizmem, któremu my, z natury rzeczy, hołdujemy. Jednak ten prymitywizm jest na tyle oryginalny i swoisty, że może służyć za podstawę do nowych horyzontów i idej w przyszłej naszej działalności wytwórczej. Cel bowiem zaglądania w przeszłość i w głąb nie jest celem samym w sobie, a jest szukaniem podstaw dla teraźniejszości i przyszłości. W tem leży piękno dociekań etnologicznych i archeologicznych i takiem pięknem w pięknej szacie jest „Przemysł - Rzemiosło - Sztuka“.

„Przegląd Wojskowy“. Zesz. I, kwartalnika, poświęconego wojskowej myśli obcej. Wyd. Wojsk. Inst. Naukowo-Wydawniczego, Od. II Szt. Gen. i Tow. Wiedzy Wojskowej. Treść: „Organizacja państwa dla celów wojny“, „Finlandzko-rosyjska granica pod względem wojskowym“. „Dywizja kawalerji w przyszłej wojnie“, „Obrona nowoczesnego fortu“ etc. Na uwagę zasługuje dział bibljograficzny, który daje pokrótce pojęcie o każdym artykule z dziedziny wiedzy wojskowej, ukazującym się w 38 czasopismach zagranicznych.

„Przemysł i Handel Górnośląski“, grudzień, Katowice. Treść: „Kooperacja czy też praca niezrzeszona“, „Naukowa organizacja ruchu“, „Rumunja jako rynek zbytu“, „Zagadnienia gospodarcze, a sposoby obliczania zarobków“, Sprawozdania gospodarcze etc. Pismo stale postępuje naprzód w swym rozwoju i jest jednem z najpoczytniejszych pism polskich.

„Przemysł i Handel“, Tygodnik Min. P. i H. i Min Skarbu. Zesz. 1. „Zadania przyszłego pol. synd. żelaznego“. „Kryzys polskich targów i wystaw“, Nowa ustawa bankowa“; zesz. 2: „Bilans nowej umowy handlowej z Francją“, „Unifikacja prawa wekslowego“, „Prawo o domach składowych“; zesz. 3: „Zastój w ruchu budowlanym a przemysł“, „Waloryzacja zobowiązań“, „Nowa ustawa o organizacji giełd“. Bogate kroniki krajowe i zagraniczne.

„Muzyka“, zesz. 2. Mattia Battistini „Z mych wspomnień, Maria Labia „Na grób Pucciniego“, E. Młynarski „U źródeł przesilenia operowego“, L. Kamieński „Legenda Bałtyku“. Sprawozdania krajowe i zagraniczne. Dod. nutowy „Prelude“ L. Różyckiego.

„Świat Kobiecy“ (Rekord), wyd. Księg. Polskiej we Lwowie. Nr. 2-gi karnawałowy przynosi szereg opowiadań i artykułów oraz kilka barwnych wzorów toalet i robótek. Pismo na wzór pism zagranicznych stale się doskonali i czyni b. przyjemne wrażenie.

„Morze“, organ Ligi Morskiej i Rzecznej. Nr. 3-ci — „Legenda Bałtyku“ — prof. Fr. Flak, „Bałtyk“ — F. Rostkowski, „Gdynia“ — J. Rummel, „Emigracja a flota polska“— T. Bogdan, „Żegluga Morska a Rolnictwo“ — Roman Petelenz i w. in.

„Stadjon“, Tyg. Sportowy, Nr. 51—52. „Ocena skoków narciarskich“, „Dobór i technika starogreckich ćwiczeń cielesnych“, „Kobiece igrzyska Olimpijskie“, „Co to jest sport“, „Przysposobienie wojskowe“, „U harcerzy“ etc.

„Gazeta Bankowa“ — Lwów, Nr. 1: „Metale szlachetne jako surowiec monetarny“, „Streszczenie nowej ustawy bankowej“ etc.

„Czasopismo techniczne“ Nr. 1. Lwów, „Fotografja lotnicza dla celów pomiarowych“. Zarys organ. pracy zawod. w Rosji“, „O wyboczeniu prętów sprężyście utwierdzonych“ etc.

„Rolnik“, tyg. Nr. 3. „Wpływ szachownicy gruntów na kształtowanie się charakteru ludu polskiego“, „Na marginesie hodowli owiec“, H. Targowski — „Zastanowić się trzeba“ etc.

„Iskry“, Tyg. d. Młodzieży, zesz. III. Wrażenia z Turcji“ E. Słońskiego, „O Mysikróliku“ J. Domaniewskiego, „Kazimierz nad Wisłą“ A. Urbańskiego, „Niepróżnujące próżnowanie“ etc.

„Tygodnik Handlowy“ — organ Stow. Kupców Polskich; Nr. 4. „Nasze błędy“, „Reforma waluty i jej skutki“, „Nowe podstawy prawne banków“, „Nowe prawo wekslowe“, „Nowa umowa handlowa z Francją“, „Kłopoty finansowe Rumunji“, „Wiadomości dla akcjonarjuszy“ i bogate działy informacyjne.

„Gazeta Rolnicza“. W-wa, Nr. 3. „Zagadnienia hodowlane w odniesieniu do kresów“, „O kwasowości gleb“, „Uwagi o opłacalności uprawy kilku roślin leczniczych“, „Kartki z podróży do Anglji“ i in.

„Rynki Wschodniej Europy“ — organ Inst. Gospodarczego dla stosunków z krajami Wschodniej Europy w Królewcu, Oddział w Gdańsku. Nr. 1.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

„Przyrodnik“, zesz. 12, XII-1924. Fachowo i ciekawie wydawane pismo daje w tym numerze: „Na rafach koralowych“ prof. M. Siedleckiego, „Wiatr halny i wpływ jego na roślinność“ i w. in. Zeszyt bogato ilustrowany.

„Podręcznik do ćwiczeń zdobniczych“ — Karol Homolacs. Wyd. M. Muzeum Przemysłowego im. dr. A. Baranieckiego w Krakowie, str. 253, 1924 r. Książka przeznaczona jest do użytku nauczycieli, którzy prowadzą ćwiczenia w zakresie nauki zdobnictwa.

„Wycinanki Ludu Polskiego“. Zeszyt I luksusowego wydania, podjętego przez M. Muz. Przem. w Krakowie. Zawiera XIV tablic wielobarwnych. Tekst opracował p. Seweryn Udziela.

AMERYKANIN O POLSKICH PUBLICYSTACH

— Mój byznes wymagał znajomości języka polskiego— mówił nam pewien Amerykanin — więc musiałem się go nauczyć. Ponieważ dla nas prasa jest tak niezbędną, jak pokarm i powietrze, zacząłem też pilnie przeglądać wasze dzienniki. Wyznaję, że jestem zdziwiony — chociaż my tam u siebie nie mamy czasu się dziwić, gdyż każdy „rekord" natychmiast ustępuje miejsca nowemu, większemu.

— Czem że zdołaliśmy w tak wielkim stopniu zaimponować panu? — zkolei zdziwiony zapytałem.

— Powiadam panu, do tego stopnia jestem zdziwiony, że mój zazwyczaj trzeźwy umysł gubi się wprost w koncepcjach i w domysłach. Muszę przytem zaznaczyć, że znam dobrze prasę europejską, jednak takiej prawdziwej rewelacji, jaką mi odkryła prasa polska, nigdzie dotąd nie napotkałem. Jest to istotnie nasz amerykański rekord, do którego jednak myśmy nie dorośli.

— O cóż więc panu chodzi? — nadobre zainteresowany wywodami Amerykanina zagadnąłem.

— O to właśnie chodzi, że umysł mój nie jest dostatecznie wyszkolony w abstrakcyjnem myśleniu, więc nie mogę to panu wyrazić w zwięzłej formie. To, co wprowadza mnie w zdziwienie, jest zjawiskiem bardzo skomplikowanem, i tem trudniejszem, że w żaden sposób nie mogę go zredukować do rzeczy łatwo zrozumiałych. Dochodzę mianowicie do wniosku, że polski żurnalista, a po waszemu publicysta, dziennikarz lub poprostu gazeciarz, jest najbardziej etyczną istotą na świecie. To jakiś ideał doskonałości moralnej...

— ?...

— Widzi pan, wyraziłem się, sądzę, dość wyraźnie, jednak pan mnie nie zrozumiał. Na twarzy pańskiej rusuje się zdumienie. Objaśnię więc dokładniej. Polskiego publicystę nazywam najbardziej etyczną istotą dlatego, że we wszystkich swoich produkcjach pisarskich staje on na niedoścignionym poziomie etycznym. Jego „standards of life", jego poglądy na sprawy życiowe, jego normy postępowania są tak surowe, wygórowane, idealne, iż wszystko to, co w życiu realnem widzi, co z obowiązku fachowego opisuje, co sądzi, krytykuje i interpretuje—jest zgoła nic nie warte. Pragnie on od wszystkich i od wszystkiego takiej doskonałości, do jakiej on sam w swym rozwoju moralnym doszedł. Czy przedmiotem jego uwagi będzie przeciętny obywatel polski, patrjota, czy warchoł, polityk czy poseł, byznesmen, robotnik, ziemianin, radca, urzędnik, minister, wreszcie jego własny towarzysz broni — inny dziennikarz; czy przedmiotem tym będzie instytucja, urząd, firma, przedsiębiorstwo, nawet sejm czy parlament, nawet naród czy państwo, własne czy obce— g a n z e g a l — wszystko to działa na jego nerw optyczny w taki sposób, jakgdyby było jawnem zaprzeczeniem jego zgóry urobionego pojęcia o nich, jakgdyby tylko on jedynie był powołany na to, by dźwignąć ich z amoralnych sfer bytowania na swoje własne szczyty.

— Yes sir, — w zamyśleniu dodał Amerykanin. — Tak tylko nasz Goethals, twórca kanału Panamskiego mógłby sądzić regulatorów waszej przepięknej Wisły. Tak tylko filozof o umyśle Kanta może traktować kandydata do domu obłąkanych. Tak wreszcie wielki artysta z Bożej łaski patrzy się na partacza jego własnej sztuki.

— Tak — kończył Amerykanin swe refleksje — nasi żurnaliści nie dorośli do waszych, a jednak... im to przypisuje się cały ten rozkwit życia publicznego w naszych Stanach.

TREŚĆ NUMERU DRUGIEGO

Na okładce reprodukcja słynnej rzeźby amerykańskiej dłóta Frasera p. n. „Koniec szlaku". Jest to przepiękna alegorja zaniku Indjanów, byłych władców Ameryki.

WARUNKI PRENUMERATY:

Krajowa:		Zagraniczna:	
Roczna.	zł. 27.—	Roczna.	dol. 5.50
Półroczna. . . .	„ 14.—	Półroczna. . . .	„ 2.75
Kwartalna. . . .	„ 7.50	Kwartalna . . .	„ 1.50

Numer pojedyńczy . . . zł. 2.50

Redakcja ma zaszczyt oznajmić, iż wszelkie rękopisy, odpowiadające programowi pisma, będą przez nią z należną uwagą rozpatrywane oraz kwalifikowane. Redakcja zwraca autorom te tylko rękopisy, przy których będzie załączona koperta zaadresowana i opłacona znaczkami pocztowemi.

Warszawa, Nowy-Świat № 72/74, Pałac Staszyca. — Tel. № 26-62. — Konto P. K. O. № 7,136.

ŻĄDAJCIE WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH.

Wydawca STANISŁAW ARCT. Wice-Prezes Amer. Pol. Izby Handl. Przem. w Polsce. Redaktor ALEKSANDER LACZYSŁAW

DRUK. M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41.



— Hej! chłopcze, co niesiesz?

— Z księgarni M. Arcta najlepsze rzeczy na świecie! Książki i książeczki, pisma i obrazki, dla dużych i małych, wesołych i smutnych, bogatych i ubogich!

— Stój, pokaż!

— Nie mogę — wszystko obstalowane. Idźcie do księgarni — tam zobaczycie cuda w papier zaklęte...

KSIĘGARNIA M. ARCTA

WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 35. — POZNAŃ, PLAC WOLNOŚCI 7.

DZIAŁ KSIĄŻKOWY wszystkie wydawnictwa polskie własne i obce książki francuskie, angielskie, niemieckie czasopisma i magazyny we wszystkich językach.

DZIAŁ MUZYCZNY nuty wszelkich wydawnictw krajowych i zagranicznych PIANINA I FORTEPIANY NAJLEPSZYCH FABRYK

DZIAŁ SZTUKI obrazy oryginalne artystów polskich reprodukcje artystów polskich i obcych albumy i książki o sztuce.

DZIAŁ RATOWY sprzedaż na rozpłaty wyżej wymienionych artykułów dla umożliwienia życia kulturalnego inteligencji polskiej.

Księgarnie M. ARCTA należą do Spółki Akcyjnej M. Arct, Zakłady Wydawnicze w Warszawie.

Współwłaścicielami Zakładów wydawniczych M. Arcta oraz stworzonych przez nie Spółek Księgarskich i Wydawniczych w Drohobyczu, Krakowie, Lidzie, Lublinie, Lwowie, Łodzi, Oszmianie, Święcianach, Wilejce i Wilnie **jest przeszło pięć tysięcy inteligencji polskiej wszystkich zawodów,** przeważnie zaś ze sfery nauczycielskiej.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41